





Nr 906



EMANCYPANTKI WARSZAWSKIE



Teodor Skałowski.

Emancypantki *

* warszawskie

Szkic powieściowy

384-3=84

KRAKÓW



KRAKÓW
WYDANIE AUTORA
1898

BIBLIOTEKA ZAKŁADÓW
ANULOWANO
30559

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.

Majej Lilith





474778

**Proszę nie niszczyć
książek.**

Nędzarze, zaprawdę powiadam
wam, pierwiastki i siły, tkwiące w czło-
wieku, należy rozwijać.

Spieszcie się ze zbawieniem wa-
szem!

Ostatnie słowa Buddy.

I znowu powracacie ku mnie, smutki i utrapienia! Zgrają lotnych ptaków, kraczących na źer, spadacie na pierś mą cichą i bezdomną, wołając dumom tęsknym: bywajcie! Gdzieżeś, spokoju mój, gdzieżeście, miarowe bicie serca, niefrasobliwa twarzy?

Tak, gdy wichry zachodnie powieją, gałęzie drzew, okryte cudnem kwieciem na wiosnę, zerwane, żółtkłe, biedne i samotne, polecą w jesieni w strony obce...

* * *



Przed dworzec Skierniewicki zajechała szeroka bryczka dworska — i wysiadł z niej Władysław Wilski, młody literat.

Był smutny i blady.

Gdy znalazł się w wagonie, zamknął przedział, aby nikt mu nie przeszkadzał w myślach, i tu dopiero, czując się zupełnie samotnym, dał wodze nurtom swej duszy.

Katastrofa przebyta spowodowała w nim przełom moralny.

Ufność do ludzi, szczerść i wiara promienna znikły, pozostawiając na duszy osad goryczy, sceptycyzmu i smutku.

Na twarzy czuł jakby maskę żelazną, nieruchomą, martwą.

Zapał dawny do pracy, energia, spętęgowały się, lecz jakże teraz odmienny był bodziec!

Chciał pracować, ach, jaknajwięcej pracować, za jakąbądź cenę pozyskać rozgłos, sławę, aby powodzeniem plunąć w oczy tym, którzy go tak sromotnie odrzucili.

Nie widział już Wandy i jej otoczenia, jako jednostek, tylko miał przed sobą kastę ludzi — spleśniałą, starą.

— Zemsta wam! -- szeptał.

I fantazyja poczęła nasuwać mu obrazy straszne i wzniosłe. Duch twórczy nań zeszedł: łza cicha stoczyła się po twarzy.

Widział siebie w czasach arkadyjskich, jako dziecko natury, pieśniarza — wśród rodaków również niefrasobliwych, oddanych zabawom, — kochających i kochanych...

Wtem łuna zalsniła: okrzyki spiżowe legionów rzymskich zmieniły echo piosnek wieczornych, a miecz, kajdany i hańba --- gałązki wawrzynów i swobodę.

I widział znowu owych władców świata, Rzymian, niecierpliwie oczekujących na rozpoczęcie igrzysk.

Oto lud północny, wyćwiczony odpowiednio, ma dobyć miecza przeciw sobie, aby bawić panów: wzajem mordować się, rznąć, dusić -- za nagrodę, jaką jest swoboda.

A pieśniarz słowem i graniem ma zagrzewać do boju...

I wyszli. Witając cezara, wzniesli rękę prawą. W lewej trzymając miecz, szeptali słowa powitania.

I wkrótce na arenie, w walce bratobójczej, zostali tylko dwaj bracia rodzeni.

Nagrodą... swoboda, nagrodą... widok pól i niw rodzinnych, głęboki oddech wśród lasów dziewiczych i uścisk ciepły kochanki...

Jeden z nich chwieje się, pada...

— Łaski!... Łaski!...

Lecz zewsząd widać dłonie zaciśnięte.

Nie, on musi skonać: panowie chcą się bawić!

A wtedy pieśniarz staje przed zwycięzcą i rzuca nań słowa przekleństwa.

A potem — on pieśniarz, a raczej duch jego nieukoiony w żalu i bólu, błądzi po grobowcach wieków, pragnieniem zemsty pijany.

I znowu widzi łunę pożarów, słyszy rżenie koni, gwar i płacze, słyszy ludzkie wołania o prawa człowieka.

Ale ten odgłos echem radosnem rozlega się w jego duszy. Kurzawa krwi napawa go rozkoszą.

I powstaje, i z mglistych krain schodzi, a kędy przejdzie, dokąd doleci głos jego, pragnieniem zemsty szalony, tam ludzie bledną i zapadają w puszcze, drżąc nawet przed śpiewem słowika.

Aż wreszcie spoczął przed niemożliwym, konającym w plugawej ciemnicy — i w oczach jego poznał wzrok — cezara...

Wilski rozgorączkował się coraz bardziej do swojej wizyi.

Tymczasem pociąg zwolna począł

przystawać, zbliżając się do Warszawy. Otworzył okno: pęd powietrza, szybkie i silne uderzenia kół o weksle orzeźwiły go.

Oto reduta Ordon, tuż lasek morwowo...

Zmierzchało, gdy stanął na progu swego mieszkania.

Rzucił się nierozebrany na łóżko i tak przeleżał długo, bez ruchu.

Nazajutrz, ku wieczorowi, siłą woli dźwignął się i poszedł do kolegi Liwskiego.

Znalazł tam gwarne zgromadzenie, które powitało go życzliwie.

Sam gospodarz, trzymając papier i ołówek w ręku, stał schylony nad płonąącą maszynką benzynową.

— Wszelki duch pana Boga chwali — zawołał, ujrawszy Wilskiego: — co ci się stało? Wyglądasz, jak trup!

— A ty, co robisz? — brzmiała odpowiedź wymijająca.

— Powiadam ci, kochany Władku, mam w tej maszynce cały romans gotowy: nasz romansik kawalerski, niepo-

zbawiony bicia serc, namiętności, przestróg i — złamanego łóżka.

Wilski śmiał się, a za nim inni.

— Twoje łóżko prawdziwie romantyczne — ktoś tam dorzucił.

— Wygniecione w środku, jak hamak.

— I bujające się...

— Ale nie na sprężynach.

— Istna szkapa, ochwacona przy pracy.

— Mniejsza o to — przerwał im Liwski. — Chodźno tylko, Władku. Daj ucho, tyś muzykalny, i powiedz, czy nie mam racyi?

Wilski przysunął się.

— Teraz, słuchaj uważnie, a wy, gamonie, stulcie paszcze!

Naprzód — począł Liwski, — w imbryku, jak w sercu młodziana cicho.

»Pusto... sinutno... głucho«...

Spójrz na zegarek. Przechodzi 3—4 minuty i, słyszysz? — następuje zbudzenie się uczucia, — zaledwie dające się odróżnić dźwięki, jakby pochodzące z pada-

Czyż to nie głos kochanki, odpowiadający tęsknemu basowi lubego, który z coraz wzmagającą się namiętnością woła — słyszysz?...

a — a — a...

y — y — y...

iy — iy — iy...

Schadzka widocznie już ma miejsce: następuje przytłumiony uścisk

cyt! — cyt! — cyt! —

i zaraz, jednocześnie z nim głos

iyyyyyy...

Tak gorą namiętności!

A teraz, nareszcie, — górą kawaleria! — kulminacyjne, gorączkowe

trrrrrrrr...

trrrrrrryyyyy...

I basta!

Wilski odskoczył, śmiejąc się. Para buchnęła.

Gospodarz przykręcił krążek i dodał głosem komiczno-poważnym:

— Lecz posłuchaj, o, piękny panie, końca mojej opowieści. Zbliź ucho: obecnie i w imbryku, i w sercu młodziana

»Pusto, smutno, głucho... jak gdy szczęście minie».

— Dajże mi teraz herbaty — rzekł Wilski, śmiejąc się, a przynajmniej udając śmiech. — Niech przy twoim romansie benzynowym chociaż trochę trzewia sobie rozgrzeję — i zbliżył się do kolegów.

Siedział tu w binoklach chudy, wysoki, z rozczochraną czupryną i brodą poeta-dekadent, dowcipny Wacław Dolski, odzywający się o sobie tylko w liczbie mnogiej «my», i powtarzający co chwila słowa «byczy» i «rzepa».

Obok niego czarno ubrany, sztywny Chawłowski, malarz dużego talentu, impresjonista, znany dziwak, który pewnego razu przyniósł do redakcyi jednego z pism artykuł, zapowiadający mu wielką przyszłość, a także wynalezionemu przezeń sposobowi malowania.

Dalej brudny, niski, w koszuli na piersiach rozwartej, na pół poczytalny znakomity rzeźbiarz Ława zająkliwie opowiadał coś towarzyszowi swemu poecie Sękowskiemu.

Ten, jak go Liwski nazywał, «słodki przerabiacz Heinego», nosił długie włosy, spadające na ramiona, płaszcz obwi-

sły i jedwabną bieliznę. Na zaczepki gospodarza odpowiadał drwiąco-miodowym uśmiechem.

Tuż, rozparty na sofie, na poły leżał, na poły siedział wiecznie niewyspany, poeta dużego talentu i wiedzy, bezwyznaniowiec, zwolennik buddyzmu, Stanisław Lenk. Jedną rękę zasunął za kołnierz i wodził nią po szyi, drugą poprawiał binokle. Głosem krzykliwym rozprawiał z sąsiadem, Bronisławem Chrzońskim, o zasadach moralności buddyjskiej.

O ile pierwszy wyrażał się żywo, namiętnie, o tyle drugi głosem spokojnym, niemal cichym.

Był to ubrany ubogo, ale czysto, o nosie płaskim, twarzy chorowitej, wynędzniałej, młody krytyk, człowiek pracy żelaznej, który, ślęcząc nad książkami od świtu do nocy, zaledwie zarabiał na suchy kawałek chleba. Od niejakiego czasu począł się uskarżać na kłucie w pierśsiach.

Humorysta rudawy, pełen serca, uczciwy i zapalny, Józef Łaśniewski, dalej Fracewicz, kolega Chawłowskiego, a ser-

deczny druh humorysty, których zwano mężem i żoną, i szatyn Jan Lewański, początkujący literat, z podełba patrzący na otoczenie, dopełniali całości.

— Cóż słyhać u Niwickiego? — pytał Wilski.

— Nabył pismo i od nowego roku będzie je wydawał.

— Gdzież jest obecnie?

— Przyjechał doń jakiś obywatel z Piotrkowskiego.

— Jak wygląda? — żywo zapytał.

— Nic nie umiem powiedzieć pewnego. Zapewne miał nos, oczy, brodę, wąsy...

— Z tobą trudno dogadać się!

— Bo... oto biba gotowa. Robię poncz. Panowie! siadać dookoła stołu, ubierać się w prześcieradła i... bacność! Urządzimy ucztę upiorów.

Ruszono z miejsc, pogaszono lampy.

— Liwski, gdzież są prześcieradła? Nie kładźcież mi tych starych... gratów na łeb, — rozpaczliwie wołał Łaśniewski.

— Zabrakło, — jęknął gospodarz.

— Fiu, fiu!... Znać zamożność do-

mu: ja znów dostałem spódnicę — wtórował mu Fracewicz.

Waza stanęła na stole. Rozległ się trzask zapałki... baczność! Niebieskawy płomień buchnął, oblewając światłem trupie twarze biesiadników...

Liwski zaintonował, a za nim inni nucili:

- »Pieśń ma była już w grobie, już chłodna;
- »Krew poczuła: z pod ziemi wygląda...
- »I jak upiór powstaje — krwi głodna, —
- »I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda...«.

Melodya, z początku śpiewana głosem przyciszonym, nabierała coraz potężniejszych tonów i powagi. Entuzjazm ogarnął śpiewaków.

Wilskiemu zdawało się, że mu włosy powstają na głowie, tak był przejęty słowami, odpowiadającymi jego nastrojowi:

- »Tak, zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
- »Z Bogiem — i choćby mimo Bogal...«.

Pieśń pomału konała. Gasł i płomień alkoholu.

Uczestnicy wracali do stanu zwykłego, dyskutując i sprzecząc się wzajem.

— Fraczkę, — wołał Liwski, — dawaj serdelianse, bo czuję duszność, jak gdyby wszystko powietrze z żołądka wyszło mi gardłem, a dla Sęka — dodał — badyjanki.

— Protestuję, — wołał wytknięty — jestem za mięsem.

— Jakże, Heine i serdelki?... Fe!... to się strefi.

— Nie, on i w tym względzie jest *correct*, — objaśniał Łaśniewski.

— ...Ależ kochajcie, jak chcecie i co chcecie, — mówił Chrzoński do Lenka w ciągu dalszym, — abyście tylko kochali całą duszą, a to, co kochacie, było szczytne. Tymczasem, czy kolega myśli, że dzisiejsi ludzie, że dzisiejsze dusze potrafią kochać prawdziwie?... To tylko złudzenie!...

— »My, syny tego wieku, co w rozpacz niemej
»Wije się potępiony, kochać nie umiemy!...«

szeptał obojętnie Lenk.

— Czasy obecne badam pilnie, nie tylko z dzieł literatury, lecz zarówno i z życia, i doszedłem do wniosku, że dzisiejsi ludzie podobni są do tych, któ-

rzy wprost z głębin morza wyrzuceni na miejsce płytkie, starają się w ciągu dalszym pływać i... pływają — po piasku: nic i nikogo nie kochają, ani mogą kochać!

I tak samo, jak ogromne obszary ziemi, należące niegdyś do jednego posiadacza, dzisiaj oddane na parcele włókowe, morgowe, ba, nawet łokciowe, tak samo dusze i umysły naszych przodków, przodków wogóle całego świata, uległy zmiłczeniu, rozparcelowaniu.

W samej literaturze i malarstwie, ileż to mamy tych parceli! Parnasiści, impresyoniści, wibryści, prymitywiści, symboliści, dekadenci: słowem, dość kichnąć na *izci* i dodać jaki rzeczownik, a będziesz miał oddzielną grupę, z których każda sądzi, iż ma monopol na prawdę.

Toż to kpiny!

Chwałę pragnienie doskonalenia techniki, lecz podług mnie, nie dlatego dzisiejsi artyści wszelakiego rodzaju podobni do niemowląt, że nie potrafią mówić, lecz dlatego, że nie mają o czem

mówić. Brak im duszy, duszy potężnej, bogatej, tytanicznej, któraby imponowała...

— Sam kolega to przyzna, że społeczeństwo nasze tak interesuje się malarstwem, jak kościół karczmą, — zauważył Chawłowski.

— To zupełnie inna kwestya...

— Czy kolega po humorze, — pytał Fracewicz Łaśniewskiego, — nie ma jakiej modelki?

— Mam, — odparł zapytany, — starą kucharkę, którą mogę wypożyczać w godzinach wolnych od zajęć żołądkowych.

— Nie kpij kolega, mówmy lepiej poważnie, model męski mam. Jest nim stary konsul Frasuński, który ma szczęście mieszkać na tych samych schodach, co i my. Ale — modelki! — modelki!

-- A możebyśmy się tymczasem czego napili? — intonował gospodarz.

Nalano szklanki.

— Za zdrowie przyszłych pokoleń!...

— Bodajby to były tłuste pędraki

i miały malarzów rodziców, — dorzucił Fracewicz.

— Dlaczego koniecznie malarzów?...

— Bo jeżeli wyjdzie fuszerka, to da się... podmalować.

— Za zdrowie!..

— Otóż, — mówił dalej głosem cichym Chrzoński, — jeżeli zgodzimy się na fakt, że dzisiejsze pokolenie nie ma wielkich zasobów ani serca, ani umysłu, to zjawi się żądanie, aby to, co jest, gdy jest mało, przyniosło możliwy pożytek. Kochać jednostkę, kobietę wogóle, — kończył, nieznacznie spoglądając na Wilskiego, — do niepamięci, do zaniedbania obowiązków, jestto to samo, co, tu użyję znanego zkądinąd wyrażenia, zakopać talenty w ziemię, zamiast użyć je na pracę produkcyjną dla ogółu.

Kaszel suchy, gwałtowny, przerwał mu mowę: chwycił się za pierś i silnie ją przyciskał.

- »Jam cię kochał całą swą istotą,
- »Całym ogniem swych czerwonych żył,
- »Całą życia swojego ochotą,
- »Pulsowaniem wszystkich swoich sił...«

szeptał Lenk.

— Niech nam kolega da rękę, — zawołał chudy Dolski, wstając z miejsca i podchodząc do Chrzońskiego, — my, Wacław Dolski, poeta z Bożej łaski, piszemy się w zupełności na to, co kolega powiada. »Byczego« życia nie warto poświęcać dla byle »rzepy«!

To mówiąc, małym palcem podwinął w górę wąsa i zrobił w powietrzu delikatny ruch ręką, rzucając jednocześnie wyzywające spojrzenie na Sękowskiego.

— Wnoszę zdrowie kolegi Chrzońskiego: niech żyje!

— Szkoda tylko, — cichutko dodał Fracewicz, stukając się kieliszkiem, — że nie jestem jego ojcem.

— Bobyś go podmalował? — pytał również cicho Łaśniewski.

— Bóg was wie, — wołał tymczasem Liwski do Wilskiego, — co o tem wszystkim sądzić. Ten feljetonista, uprawiający sztukę dla sztuki, w piśmie postępowem sypie brudnym piaskiem wyuzdania, w piśmie zaś konserwatywnem przed każdym sprośniejszym wyrazem żegna

się krzyżem świętym, a bohaterowi — to nie obetrze nosa inaczej, tylko... chusteczką, tfu!...

Wilski śmiał się.

— Ty bo, — dodał — nigdy mnie nie zrozumiesz.

— Zrozumiem, ale wtedy, gdy swoje zasady, jeżeli je masz, zastosujesz bodajby do wyrobu pierników...

— Przepraszam, kto robi konkurencyę Sękowskiemu? — przerwał Łaśniewski.

— ...A nie utworów myśli, — kończył Liwski. — Jestem tego zdania, co i kolega Chrhoński: na całuski jesteśmy za ubodzy. Nam trzeba

»Z żywymi naprzód iść!...«

— Panowie! — z całą powagą zawołał nagle Fracewicz, powstając z miejsca, — kolega Lewański zasnął...

— Możeby przeczytał coś, naturalnie, — swojego. To go orzeźwi.

Zagadnięty, z którego bocznej kieszeni wyglądały zwoje papieru, chwilowo rzeczywiście zdrzemnął się, lub może głęboko zamyślił. Na głos Fra-

cewicza podniósł głowę, łypnął blademi powiekami i głosem nosowym zapytał:

— Czegóż szanowni koledzy pozabawiają mnie przyjemności największej, w cichości i skupieniu ducha aż do zapomnienia o własnym bycie — rozważać ich mądre orzeczenia z dziedziny tak różnorodnej?

— Bo chcielibyśmy usłyszeć cośkolwiek lepszego, — odbił się Dolski.

— Z trudnością mi to przyjdzie.

— Nie wątpimy.

— Ale jeżeli tylko chodzi o cośkolwiek lepszego, mogę przeczytać, na przykład, urywek z bajki...

— Trzytomowej?

— Mniejsza o to, z bajki pod tytułem «Małpa i publiczność».

Wyjął zwój papieru i zabierał się do czytania.

— Proponuję, — zawołał Fracewicz, powtórnie z całą powagą powstając z miejsca, — aby kolega Lenk przestał wyławiać pchły z za kołnierza, i przybrał minę inteligenta, gdyż inaczej — gdzie będzie publiczność?

— A niech was z waszym sposobem gadania, — zawołał, zrywając się Lenk. — Liwski, do widzenia! Jeżeli chcecie, to odprowadźcie mnie.

Słowa te były hasłem do odejścia.

— Poczekaj, — wołano zewsząd.

— Do domu, do domu, do domu pójdźmy wraz,
Bo już jest słuszny czas!...

śpiewał Łaśniewski, trawestując znaną piosnkę niemiecką.

Nucąc półgłosem, udali się w Aleje Ujazdowskie i dalej do Łazienek.

Była godzina dziesiąta.

Jak zwykle w lipcu, ruch w Alejach był niewielki.

Kto żyw, a mógł, siedział jeszcze na wsi, rozkoszując się powietrzem czystym, gwarą chłopską i niskim pułapem chałup.

Pozostali, tak zwani słomiani wdowcy, to jest mężowie, którzy powysyłali swe żony na letnie mieszkania, i kawalerowie, związani zajęciem z brukiem miejskim, snuli się parami, przygodnie dobranymi, lub grupą gwarną.

Od czasu do czasu rozlegał się śmiech

głośniejszy rozbawionej «pracownicy igły», która po dniu tak zwanego czasu ogórkowego, pozbawionym pracy i zarobku, szła ze znajomym na przechadzkę, lub tętent dorożkarskich koni, mknących «po kawalersku»; od czasu do czasu migotały światełka jaskrawe przejeżdżających pojazdów.

Przydrożne lipy schylały się ku blaskom latarni, których światło, kąpiąc się w powietrzu, pozbawionem zwykłego w dniu świąteczne kurzu, było czyste, wesołe.

Fracewicz nie czuł się jednak dobrze w swem otoczeniu.

Myśl rzucona Łaśniewskiemu, niby żartem, niepokoiła go rzeczywiście. Miał zamiar stworzyć na konkurs płótno, przedstawiające Satyra porywającego Faunę. Czuł w sobie natchnienie, widział swój utwór żywym: ów nagły przestach Fauny i chytry, cyniczny uśmiech Satyra. Tylko — modelki! modelki!

Od pewnego czasu rzucał propozycję jakiej szwaczce lub pokojówce, zawsze — napróżno.

Szedł więc, zwiesiwszy głowę, nie zważając na docinki towarzysza, i wzdychał.

— Cóż tak zatruwasz powietrze? — pytał go Łaśniewski.

— Pal licha, daj mi swoją kucharkę.

— Ani myślę, jeszcze mi ją zbałamucisz...

— Bój się Boga, taki stary gruchot, dziewięćdziesiąt dziewięć lat, nie licząc drobnych! Ależ weź to pod uwagę, że tylko rozpacz, głucha, szalona rozpacz, może mi narzucić myśl urzeczywistnienia twojego głupiego projektu.

— To znajdź sobie lepszy.

W tej chwili coś zaszumiało koło nich, niby skrzydła roju motyli, niby fruwanie gołębi, i ujrzeli o jakie kilka kroków przed sobą szykowną istotkę, krokiem elastycznym sunącą po chodniku.

— Królestwo przyszłe i przeszłe, własne i cudze za tę sarenkę! — zawołał malarz.

I zanim towarzysze spostrzegli się, już pobiegł naprzód.

Po drodze potrącił jakiegoś przechodnia, jak zdawało się mu, Niwickiego, i pędził dalej.

Łaśniewski dotrzymywał mu pola.

«Sarenka» tymczasem biegła szybko, podrygując cokolwiek, istna laleczka.

Fracewicz minął ją, spojrzął w oczki: śmiały się!

Powstrzymał kroku, spojrzął drugi raz: śmiały się!

— Królestwo, królestwo! — mrucał, mijając ją znowu.

Tym razem zasłoniła sobie buzię chusteczką, niby chcąc ukryć uśmiech, oczy jednak rzucały wyzwanie.

Obawiał się, aby «nie zaczepić» jakiej damy z «towarzystwa»; a tymczasem ta chusteczka, usta, loczki, figurka i te oczy, wesole, uśmiechnięte oczy, działały nań podniecająco.

— Nie, nie można, — szeptał, — po raz trzeci mijając i z zachwytem patrząc na czarodziejkę.

Odśloniła chusteczkę, i nagle kaskada śmiechu wybiegła z jej gardła.

— Czy nie pan Fracewicz?

— Ja? Fracewicz? — pytał z swej strony, uchylając z całą gracyą kapelusza. — Nie! Kwapiszewski, — do usług. Ale to nic nie szkodzi. Niech paniusia łaskawie rozmawia ze mną zupełnie tak, jak gdyby miała przed sobą pana Fracewicza.

— Ha! ha! ha! — brzmiał swobodnie srebrny śmieszek. — Widzę, że pan, to już do śmierci zostanie takim «pędziwiatrem», jak dawniej. Ale wzamian, może pan stwierdzi przynajmniej, iż kolega, który idzie tuż za nami, nazywa się Łaśniewski?

— On? Łaśniewski?... Toć to Frasunkiewicz!

— Lecz i ze mną może szanowna pani rozmawiać, jakby z Łaśniewskim, — dodał tenże zbliżając się szybko z drugiej strony i również z gracyą uchylając kapelusza.

— Ha! ha! ha! — śmiała się towarzyszka. — W takim razie może panowie powiedzą, że i ja nie jestem panią Frasuńską?...

— Żoną konsula i sąsiada naszego z pierwszego piętra?...

— Ha! ha! ha!

— Mojego Satyra? — Ależ pani, czyż możliwą jest podobna kombinacya po za rzeźbą, lub malarstwem?

— A taka trójka hultajska, jak nasza, po za rzeczywistością?!

— A więc triumwirat?...

— Triumwirat!

— Na życie i śmierć? — ciągnął na skalę wysoką Fracewicz, aby przy niżeniu wymagań cośkolwiek utargować.

— Nie, na wesołą kolacyjkę we trójkę. Czy aby tylko macie przy sobie trochę drobnych?...

— Drobne, to mamy, — odparli jednozgodnie.

— Ot tak, chociażby na «gumy» do Marcelina?...

Poszeptali ze sobą.

— Razem jest coś niby koło tego.

— No, to o resztę bądźcie panowie spokojni, gdyż i za dorożkę wam zwrócę, ale, widzicie, pieniądze mam scho-

wane dobrze i nie mogę je tak na prędcę wydostać.

— Ale za to w gabinecie, — dodał Łaśniewski, robiąc minę kota.

— No, no, tylko bez takich min, — rzekła, grożąc mu paluszkami, — bez żadnych takich min, bo wam ucieknę. Znam panów, jako dobrych chłopców, mających zdrowe apetyty, a że i mnie także chce się jeść ogromnie, a lubię wszystko, co oryginalne, ale zachowane w granicach przyzwoitości, zatem... Przyrzeknijcie mi tylko, że mogę liczyć na was, jak na braci.

— Ale pod warunkiem przyjęcia od nas kiedykolwiek odwzajemnienia.

— Dobrze. Zgoda.

— Dorożka! — wołał Fracewicz.

Siadła, mając przy sobie Łaśniewskiego; Fracewicz zajął miejsce naprzeciwko.

— Jak pani na imię?

— Mówcie na mnie... Iza.

— Do Marcelina!...

— A wam?...

— Jeżeli pani zna nasze nazwiska, zapewne wie cośkolwiek i o imionach?...

— Ale jak na was mówić?

— Na mnie, jak zwykle, Fraczek.

— Na mnie... Duduś.

— Siedzi dudek na kościele,
Warzy piwo na wesele...

— Jadą »gumy« bardzo śmieie...
Ejże, czy nie na wesele?

przedrzeźniał sąsiadkę Łaśniewski.

Dorożka stuknęła o mostek i za chwilę triumwirat znalazł się w gabinecie dużym, rzęsiście oświetlonym. Garson z miną byka ogolonego, obojętnie czekał na skinienie, trzymając pod pachą symbol swej niewinności — białą serwetkę.

— Co, Izo, rozkażesz? — pytał Fracewicz, rozkładając przed fundatorką kartę.

— Co jest na prędcie?...

— Połudwica, sznycel po wiedeńsku, rosbeef, — recytował, jak nakręcony, garson.

— Przedewszystkiem koniak... Martel V. O., sardynki, kawior... tylko nie prasowany i nie swojski... makrele...

— Wogóle zakąski, — dorzucił Fracewicz.

— Pani Izo, ja panią rzeczywiście zkądciś znam, — począł Łaśniewski, nalewając drugą kolejkę koniaków. — Niech nam pani przypomni, skąd?...

— Boć, zapewne, nie byłaś pani ani «przychodnią», ani «na stałe», w jakimkolwiek magazynie, — rzekł Fracewicz, — a ja żadnej innej przyzwoitej kobiety, oprócz tak zwanych «pracowniczek igły» nie znałem. Chyba... lat temu...

Tu światło padło na twarz pani Izy...

— Ach! ach!...

— Pamięta pan ciocię Manię?...

— Tak młodą wtedy, a już zwaną ciocią?... A pani, — tu twarz przedłużyła mu się, oczy zaszyły, jakby mgłą, — a pani jej — siostrzenicą?...

Lecz zkąd wzięła ci się ta okrągłość kształtów, te loczki wesolutkie i te figlarne ruchy?...

Więc to pani jesteś tą chudą, jak deska, panną Izabelą Morską, kochanką bezsennych nocy moich, która wyszła za jakiegoś bogatego starca? O, pani

Izo, czyż to godziło się tak postąpić ze mną?

I za coś mnie tak niegodnie odepchnęła?... Czy za to, żem będąc z tobą w teatrze i siedząc w przyzwoitych krzesłach, w pudełku od cukierków ofiarował ci, ku ucieście gawiedzi, parę skromnych bułeczek, ubranych serdeliansami?

— A ta ciocia, do której, jeszcze chodząc w mundurku, wzdychałem? Cóż się z nią stało? — pytał Łaśniewski, chcąc nadać inny obrót rozmowie.

— Obecnie jest na letnim mieszkaniu wraz z moim mężem.

— Więc mężulek używa świeżego powietrza? Zapewne zawiele fatygował się?

— Moi panowie, — rzekła Iza, podsuwając im półmisek z jarząbkami, — kiedyśmy przypomnieli się sobie, to teraz jedzcie.

— Za zdrowie cioci, — rzekł Łaśniewski.

— I mężulka, — dodał Fracewicz.

— Niech na pociechę — rosną!...

— Rogi, — dorzucił.

— Otóż moi panowie, — ciągnęła rezolutnie, poprawiając się na kanapie, — cóż w tem dziwnego, że gdy obecnie porządek rzeczy nabiera innego kierunku na tym wiecznie kręcącym się świecie, to i żony nie chcą jeździć same na wieś, podczas gdy mąż siedzi sobie, haruje, lub hula w Warszawie, lecz wysyłają go na spoczynek, same zaś zostają w mieście?

Czyż taki porządek nie odpowiedniejszy i nie bardziej godny was... pa-nów stworzenia?

— I mężulek kontent?

— Pod opieką cioci?

— Opływa, jak żółtonos w tłuszczu.

— Zdrowie jego!

— Ale z akompaniamentem, — dodał Fracewicz.

Iza usiadła do fortepianu i poczęła grać.

Fracewicz śpiewał:

Siedzą w gaju dwa gołąbki...

Skubią mech:

A więc zdrowie Frasuńskiego:

Bodaj zdechł!...

Iza przerwała grę.

— Dosyć, panowie, żartów!

— Ja dotąd nie żartowałem, — zaręczał Fracewicz, — ale teraz będę, aby panią udobruchać. No, Łaśniewski, udawaj szansonistkę, będę ci akompaniował, niech się nasza fundatorka bawi!

Fundatorka już klaskała w dłonie.

— Panie Łaśniewski, niech pan udaje szansonistkę.

Łaśniewski włożył na głowę serwetkę i począł głosem cienkim.

— To chyba będę śpiewała po niemiecku, jak w moja kochana Vaterland?...

— Machaj po niemiecku! — zachęcał Fracewicz i uderzył w klawisze.

Łaśniewski począł:

Im Restaurant bei... Hm! hm! hm!
 Da sietzt allein und frisch.
 Ein wunderschönes... Hm! hm! hm!
 Allein an einem Tisch...

Auf einmal kommt der... Hm! hm! hm!
 Ins... Hm! hm! hm! hinein,
 Und nimmt das schöne... Hm! hm! hm!
 Ins... Hm! hm! hm! herein.

— Bravo! bravo!... Dudusiu jeszcze, raz!...

I Duduś bisował.

— A teraz do domu, — rzekła po skończonym śpiewie, patrząc na zegarek: — już późno!...

A że mieszkali w jednej kamienicy, więc Fracewicz, jako bardziej znany lokator, miał ich pożegnać na Marszałkowskiej, Łaśniewski zaś odprowadzić do domu.

— Żegnam panią, — rzekł malarz, gdy stanęli u kresu oznaczonego.

— Nie żegnam, tylko do widzenia! — odparła. — Możemy zobaczyć się jutro, lub pojutrze w Łazienkach, przy okrągłaku, ale bądźcie obadwaj.

— Zgoda, pojutrze, lecz tym razem na nasz rachunek.

— Do widzenia!

I śmiało, po męsku, podała mu rączkę, którą ten, uchylwszy rękawiczkę, ucałował.

— Do widzenia!

Gdy Łaśniewski wrócił do domu,

zastał przyjaciela, chodzącego w negliżu, krokami szerokimi.

— Słuchaj, Dudusiu, — zawołał ten na widok humorysty, — ach, gdybym ją mógł mieć na model!

— Tobie tylko ten głupi konkurs w głowie. Idź spać, już trzecia!

— Od czegoż jestem artystą? Toć to moja przyszłość!

— Ty, artystą!... Ależ spójrz na tego zielonego konia, który stoi przy stogu szpakowatego siana i rusza głową, jakby słuwał to paskudztwo: ten jest artystą o duszy niezadowolonej z losu, ale ty...

— Ach, gdyby było można, — szeptał napoły do siebie Fracewicz. — On i ona, tacy kłasyccy: Fauna i Satyr!

— Mój kochany, czyż nie lepiej obrać sposób daleko prostszy i łatwiejszy? Gdybym był na twojem miejscu, machnąłbym do Łazienek, przeschkicował znajdującą się tam grupę, później pomalował i... jazda na konkurs!

— I cóż ja z tobą będę gadał, kiedy nie masz pojęcia najmniejszego o malarstwie dzisiejszem.

Mnie nie idzie o nogi kozła lub ogon satyra, ani o kształty Fauny, lecz o wyraz twarzy, o tę rozpacz, gniew i oburzenie jej, gdy znalazła się w objęciach potwora. O oddanie najbardziej wierne uśmiechu cynicznego, zmysłowej chuci i radości, tryskających z oblicza satyra wobec posiadania tak powabnej istoty, zwięzłej mówiąc, o możliwie wierne odtworzenie danego stanu psychologicznego.

Kielich szampana, owoce, resztki uczy, to tylko dopełnienie, którego, nie wiem nawet, czy użyję.

Tylko zkąd wziąć plastyczne kształty tego stanu, odbicie się jego w rysach?

Jakim sposobem wywołać je na oblicze w całej prawdzie i grozie? W całej naturalności, bez obłudy? Sybarytów mamy dosyć i podpatrzeć wyraz ich twarzy, ust, oczu, byłoby nie trudno. Może to jednak uprzedzenie, lecz sądzę, iż obraz mój dopiero wtedy potrafi sprawić wrażenie, jeżeli sytuacją wywołaną odpowiednio uda mi się wzbudzić ów stan w modelach i podchwycić.

— A chwytaj! — Może dlatego satyra przedstawiono z ogonem, ażebyś go mógł złapać, — mówił rozbierając się Łaśniewski.

— Ty bo zawsze i z wszystkiego lubisz robić kpiny — zawołał Fracewicz urażony.

— No, no, tylko nie gniewaj się znowu, kiedy nie ma o co. Sam widzisz, a może nie widzisz, co nie wpływa na niezmiennność porządku rzeczy, iż świeca już dopala się, a gdy zgaśnie, nastąpi ciemno; po ciemku zaś rozbierając się, łatwo sobie nos przetrącić — i oto sytuacja wywołana odpowiednio.

— Leżysz, — mówił po chwili malarz, stojąc nad łóżkiem humorysty, — powiedz - że mi teraz, dopomożesz, czy nie?

— »I usiadła sikoreczka nad strumykiem wśród bzu...«
śpiewał pod kołdrą Łaśniewski.

— Pomożesz, czy nie?

— »Tiurlu, tiurlu, tiurlu...«

— Pomożesz?

— Ja zwykle umyвам ręce od każdej sprawy, która pachnie kijem.

— Więc mi nie pomożesz?

— Tego nie mówię, lubię facecje.

— Przyrzekasz zatem pomoc?

— Także nie.

— Więc cóż u licha?

— Urządź sobie rzecz, jak chcesz i co chcesz; a gdy urządzisz, wtedy mogę ci w owej scenie kulminacyjnej, końcowej, sytuacji wywołaną odpowiednio wzbudzić w modelach pożądaną stan psychologiczny.

Uścisk Fracewicza był podzięką niemą za tę ofiarność towarzysza.

— Bóg ci zapłać, — szepnął rozczulony.

— Padam do nóżek! — mruknął rozmarzony snem Łaśniewski.

Nazajutrz, mając interes do Wilskiego, zerwali się wcześniej, aby zastać go w domu. Napróżno!

Szwajcar mówił, iż nie przychodził nawet na noc.

— Ho! ho! — król się bawi, — zaśpiewał Łaśniewski.

— Chodźmy do Liwskiego, może tam jest.

Poszli.

Tu niespodzianie zastali prawie całe wczorajsze grono, oprócz gospodarza i Niwickiego.

Wilski leżał w ubraniu na łóżku i palił papierosa. Na twarzach obecnych znać było sztuczne ożywienie. Mówiono cicho, prawie szeptem, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na Władysława.

— Co się stało? — zapytał Fra-
cewicz, patrząc na nich: — Wilski, co ci?

— He? — rzekł tenże, puszczając
kółka dymu.

— Co ci jest?

— Nic.

— Możesz chory?

— Nie.

— Cóż u licha, długo będziesz ku-
rzył nam pod nos z ruchomego trój-
noga i rzucał monosylabami? Gadaj wy-
raźnie, co się stało?

— Mówię wyraźnie, że nic.

Po wielu pytaniach, objaśniono ich
o wypadku, który wczoraj miał miejsce.

Zaledwie odeszli od kompanii, pozostali

stałe grono spotkało Niwickiego z owym obywatelem, i wszyscy poszli razem.

W trakcie rozmowy Wilski wywołał zajście z owym przybyszem, które ma zakończyć się pojedynkiem.

Przyczyną wypadku, jak objaśniono, była Wanda, narzeczona Wilskiego, która zerwała z nim ostatecznie i wychodzi za owego ziemianina.

— Przyjacielu Wilski, więc ty będziesz narażał się dla jakiejś — tfu! — zawołał Fracewicz, ogromnie zmartwiony całym zajściem.

— Milcz! — zawołał ten, zrywając się z łóżka i rzucając niedopałek papierosa na podłogę, — milcz, lub wyjdę ztąd natychmiast.

Był blady, straszny.

— To to tak? — zaśpiewał przeciągle Fracewicz: — No, mój kochany, nie gniewaj się na mnie i nie mnie obwiniaj, tylko skryty swój charakter. Słyszałem coś o tem wszystkim, ale myślałem, żeś już po chorobie. Przepraszam cię stokrotnie, nie wiedziałem, że cała ta sprawa tak bardzo cię obchodzi.

To mówiąc, podszedł do Wilskiego i serdecznie go uściskał.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia.

Znowu silono się podjąć rozmowę, ktoś nawet roześmiał się. Wogóle jednak wszyscy byli pod wrażeniem oczekiwania.

Ta garstka kolegów, wiecznie dysputujących i wiecznie zostających w pozornej z sobą niezgodzie, żywo odczuwała nieszczęście jednego z nich, jak gdyby ono przytrafiło się im samym.

Prócz tego Wilski miał u nich pewne zachowanie, jakie zwykle wzbudza ją ludzie energiczni i prawi.

Okolo pierwszej powrócił Liwski z Niwickim i zakomunikowali treść narad ze stroną przeciwną.

Pojedynek miał odbyć się nazajutrz, w lasku na Czystem.

Wilski uścisnął ich serdecznie i przeproszał za kłopoty, na jakie zostali narażeni.

— Czy nie możesz zatrzymać się do jutra z nami? — pytano, gdy zabierał się do wyjścia.

— Nie, nie mogę! Mam do załatwienia trochę rachunków, do napisania parę listów na wszelki wypadek. No, do widzenia, kochajcie się wzajem i o mnie źle nie mówcie.

— Cóż tak gadasz, jakbyś szedł na stracenie? — pytał Fracewicz, odwracając twarz.

Wszyscy byli przygnębieni, na wszystkich ciążyło złowrogie przecucie.

Na drugi dzień czekali na rezultat, również niespokojnie.

Fracewicz co chwila kurczowo pocierał ręce, Sękowski wybiegał przed bramę, Łaśniewski namiętnie zaciągał się papierosem, a Chrzoński gorączkowo notował jakieś pilne sprawozdanie i w przeciągu półtorej godziny napisał zaledwie dziesięć wierszy.

Biedak pocił się i ustawicznie zacieierał ręce, wodził dłonią po czole, jak gdyby chcąc odpędzić nagabujące go niepotrzebnie myśli.

Nawet gadatliwy zwykle Lenk, milcząc, chodził po pokoju.

Przeszła godzina, dwie, trzy dare-

mnego oczekiwania. Pomimo otwartego okna, duszno im się robiło.

Wybiła dziesiąta, rozległy się kroki na schodach.

Chawłowski pobiegł otworzyć drzwi; ktoś szedł na górę.

Od rana nic nie mieli w ustach i nicby nie mogli przełknąć.

— Uf! — odsapnął Łaśniewski, — jakoś długo ich nie widać.

— Zapewne pogodzili się i oblewają, — dorzucił Sęk.

— Pewno! Inaczej jużby tu byli.

Znowu rozległo się stukanie, znowu pobiegli do drzwi — i znowu napróżno.

— Powinniby jednak zawiadomić nas w razie pomyślnym, — mówił Chrzoński, ciskając pióro i nerwowo przeciągając się.

— Nie, widocznie dzisiaj nic nie będę mógł napisać, a szkoda! — szepnął do siebie.

I jeszcze silniej uczuł potrzebę ciepłego jada, lekarstwa.

Właśnie miał oddać dzisiaj swoje sprawozdanie i prosić o zaliczkę.

— Szkoda, — wycedził przez zęby i począł chodzić z Łaśniewskim.

Dopiero koło dwunastej rozległ się słaby turkot na ulicy, a później stąpienie ostrożne kilku ludzi w sieni.

Gdy otworzono drzwi, ujrzeli Wilskiego.

— Boże, Boże! — szeptali bardziej nerwowi i wrażliwi.

Szybko rozebrano łóżko i złożono na niem rannego.

Doktor wyjął kulę i zatamował krew.



Na łąkach opary, jakby dymy z chat wieśniaczych, białe, nieprzenikliwe, wznosiły się ku opalom nieba, łącząc je z dymami chałup tak, że nie łatwo było odróżnić, czy to błękity nieba spływają ku ziemi, czy ziemia wznosi się ku niebu.

Dwór i chaty, przez których okna błyszcząły wzniecone ognie wieczerzy, tonęły w tej mgle i w tym dymie.

Brodzili w nich ludzie, wracający od pracy...

Żaby rechotały gdzieniegdzie, gdzie-
niegdzie rozlegały się tony ligawki, koń
zarżał.

Ryk bydła z pól gnanego mieszał
się ze skrzypem wozów, wracających do
stodół.

Pył snuł się po drodze.

Jak wąż długi i jaskrawy od słońca,
leciał za wozami i ludźmi..

Po alejach ogrodu dworskiego prze-
chadzała się matka Władysława z mę-
żem, gdy wtem w oddali psy poczęły
szczekać i po chwili na żwirze dały się
słyszeć szybkie kroki.

— Proszę pani, — szepnęła, nadbie-
gając Kasia, pokojówka. — Jacys pano-
wie przyjechali karetą i zażądali otwo-
rzenia pokoju pana Władysława. Nie
wiem, czy dobrze zrobiłam, spełniając
ich żądanie. Mówili, żeby nie trwożyć
państwa, lecz zaraz posłać po doktora.

— Po doktora?... spieszmy!... to Wła-
dek pewno chory, — zawołała pani Wil-
ska i szybko podążyła za Kasią.

Przed dworem, w blaskach księ-

życa czerniała otwarta kareta, której latarnie rzucały silne światło.

Trzej panowie wynosili rannego.

— Cicho! — uspokajał jeden z nich, ujrzawszy matkę. — Niech pani nie przeszkadza i przygotuje bandaże. Chory miał się już dobrze; na żądanie przywieźliśmy go tutaj i oto przed chwilą, gdyśmy dojeżdżali do wsi, w przystępie szału, czy zapomnienia rozerwał bandaże.

Oto papiery, które w dniu pojedynku zostawił dla pani.

Po niedługiej chwili chory leżał w łóżku.

Doktór krzątał się przy nim.

Niebezpieczeństwa nie było.

Chcąc zrozumieć niepojęte dla nich wypadki, rodzice, gdy już minęły pierwsze chwile niepokoju, wzięli się do odczytania papierów syna.

Wkrótce pani Wilska półgłosem poczęła czytać.

List Władysława do matki.

Kochana mamo!

Gdy otrzymacie list ten, ja żyć nie będę.

Nie rozpaczajcie po mnie: życie to nędzna farsa!

Widzę to dzisiaj... późno... ale jakże wcześniej!

Co zaszło, stać się musiało. Widać nie byłem potrzebny przyszłości.

Proszę was, kochani rodzice, a ciebie w szczególności, moja matko, abyście spalili wszystkie załączone jej listy. Ja uczynić tego nie mogę: nie mam odwagi! Ojciec przebaczy mi, że tylko do ciebie to piszę. Przebaczy, że w czasach, gdy wszystko kupić można na targowisku życia za brzęczącą gotówkę, syn jego opłaca swe sentymenty tak nieopatrznie drogo! Ty zaś, matko, co piszę, czytaj; czytaj uważnie i nie wychowuj tak swych córek.

Za uczciwie i po staroświecku hodo-
waliście jedynaka.

Tak! miłość mnie zabiła.

Ja kochałem.

I obecnie ją kocham!

Z jakąż lubością rozkładałam oto, po raz ostatni, te kilkanaście listów, które posiadam od niej!

Wypadki ubiegłe stają mi przed oczyma pokolei, jak żywe.

Wzdrygam się, jakby za dotknięciem wstrętnego przedmiotu, czując w ręku ten papier różnokolorowy, szepczący mi tak ukochaną nutą: «wierz i kochaj!»

Wysmukłą, w sukience bladoniebieskiej, w zarzutce na ramionach widzę ją na balu u ciotki, u której po raz pierwszy ją poznałem.

Kiedym spojrział w jej oczęta
 I uścisnął dłonie białe,
 Na me serce padły pęta,
 Kiedym spojrział w jej oczęta...
 Myśl ma była wniebowzięta,
 W piersi — burze rozszalałe,
 Kiedym spojrział w jej oczęta
 I uścisnął dłonie białe.

Odtąd widywałem ją często.

Odplącała mi sympatyą, która potęgowała się, rosła i obejmowała nas bezwiednie.

O sile tego uczucia przekonałem się, gdy zmuszony na czas dłuższy wyjechać do was, zaszedłem do ciotki na pożegnanie.

W saloniku zastałem Wandę... samą. Grała coś bardzo smutnego.

— Pani, — rzekłem, podchodząc — przyszedłem uścisnąć rękę twoją na rozstanie. I ty wkrótce odlecisz do swoich, ja opuszczam Warszawę jutro. Bóg wie, czy zobaczymy się znowu.

Widziałem, jak pobladła. Czulem łyzy, drgające pod jej ręką, słyszałem tłumione łkanie, gdy, nie mówiąc ani słowa, ani witając się, grała dalej.

Skończyła.

Powstała od fortepianu i zbliżyła się ku mnie.

Staliśmy tak wieki całe, zapatrzeni w siebie, bez ruchu, bez słowa...

Pomimo woli nasze ramiona rozwarły się pod tem spojrzeniem, i zsunęła się w moje objęcia miękka, ciepła i wonna.

Pocałunek... ach, długi, rozkoszny,

wstrząsający duszą do głębi, był świadkiem miłości wzajemnej.

Za chwilę wybiegłem, aby tę jasność, tę ciszę błogą, której piastunką było wtedy serce moje, powierzyć tylko... niebu.

I ona wkrótce wyjechała.

Zaledwie po paru tygodniach otrzymałem pierwszy list, miluchny i skromny, jak fijołek.

Byłem na balu, gdy mi go doręczono.

Tę drogą tajemnicę ukryłem starannie na piersi, aby nikt jej nie podpatrzył i, znalazłszy się zdala od zgiełku tanecznego, delikatnie rozerwałem kopertę, a list dobyty stokrotnie ucałowałem.

Po tem oddaniu hołdu należnego pierwocinom miłości, rozkoszując się każdym słowem, który mi ono nasuwało, czytałem.

Listy, przeznaczone do przejrzenia, są ponumerowane.

Czytaj je, matko!

Sądź po nich o niej!

D. 16 lutego.

Nietylko panu, ale i mnie jest przykro, iż do tej pory nie możemy zobaczyć się, ale rozum każe być ostrożną, z bólem więc serca musimy odmówić sobie tej przyjemności, i uzbroiwszy się w cierpliwość, wytrwale czekać dnia, w którym będziemy mogli przyjechać do Warszawy: wtedy, to chyba zwaruję z radości!

W ciągu tych nieznośnie długich dni oczekiwania, proszę bardzo o częste listy.

Zawsze stała w swoich uczuciach i danemu słowu wierna

Wandziuchna.

Odtąd listy były częste, wciąż serdeczne, zakochane.

Monotonne są, jak odgłos dzwonka, rozlegający się po śnieżystej dali.

D. 24 lutego.

Spełniając prośbę, odpisuję na list jego.

Czynię to z radością, a zarazem i ze

smutkiem, gdyż wolałabym ustnie wszystko opowiedzieć, nie czekając tak długo.

Pocieszam się myślą, że czas minie prędko, a w nagrodę za moją cierpliwość zabawi pan w Warszawie dłużej. Co prawda, wolałabym, żeby pan przyjechał tu, do nas, i nigdy już nie odjeżdżał, lecz wiem, że tak być nie może obecnie, muszę więc kontentować się czemkolwiek.

Nim jednak to nastąpi, skracając sobie czas, liczę minuty i sekundy do dnia, w którym otworzą się drzwi mego pokoju i ujrzę w nich... pana.

Lecz proszę nie zadziwić się, jeżeli nie wstanę na powitanie pańskie; bo radość z ujrzenia go wszelką władzę mi odejmie.

Proszę nie zmuszać mnie do dłuższego czekania, gdyż byłoby ono nad moje siły.

Trzy tygodnie ubiegłe wydają mi się rokiem, a czas oczekiwania będzie wiekiem!

Nie, daremno, chcę zobaczyć pana jaknajprędzej i nie pozwalam na zwłokę.

D. 10 marca.

Nie mniej zapewne w podobnych razach od ciebie, (piszę «ty», jak prosisz), ucieszyłam się, gdy mi doręczono list, na który stęskniona czekać musiałam długich pięć dni!

Oj, nie godzi się tak robić.

Musisz znać przysłowie: «nie rób drugiemu tego, co tobie nie miło», jednakże postępujesz inaczej.

Pomnij, żeby na drugi raz tak nie uczynić, bo jeżeli to powtórzy się... buzi ci nie dam.

D. 18 marca.

Niewypowiedziana radość spotkała mnie dzisiaj. Dostałam dwa listy twoje!

Lecz i tego mi mało! Ja pragnę... ciebie.

Przyjedź do Warszawy na dni parę, choć wołałabym — na całe życie.

Niestety, nie tak to łatwo przyjdzie. Trzeba popracować, by zasłużyć na posiadanie cię aż do śmierci. Wszystkich sił zatem użyję, każdy opór napotkany

zwalczę jedynie dlatego, abys ty był moim.

Zbytecznem byłoby mówić o gorączkowem oczekiwaniu i pośpiechu, poprzedzającym przybycie moje i zobaczenie się z nią w Warszawie.

Po nocy spędzonej bezsennie, w południe stałem w progu mieszkania ciotki.

Przeze drzwi słyszę chód lekki, pospieszny, odsuwanie zamka... drzwi odchyliły się — i już tuliłem Wandę.

Była sama.

Boże, jak ona troskliwie patrzyła na mnie!

Kazała przechadzać mi się po pokoju, aby, jak mówiła, napawać się całą moją postacią. Cudną rączką wygładzała zmarszczki na czole...

Ze swej strony zauważyłem, że pობadła i zeszczupląta.

Dzień drugi, trzeci i następne, miały równie rozkosznie i szybko, aż nadszedł czas wyjazdu Wandy na wieś, na święta, do kuzynów.

Odprowadziłem ją z ciotką na kolej.

Oto ciąg dalszy urywków.

D. 21 marca.

Nie wiem, dlaczego jakiś niepokój panuje w mem sercu, a mianowicie, by kto inny nie odebrał mi ciebie.

Może będziesz śmiał się z tego, lecz nie zapominaj, że pierwszy raz w życiu jestem w posiadaniu takiego skarbu, jakim jesteś dla mnie.

Pierwszy raz kocham taką miłością, jak ciebie.

Do czasu poznania ciebie, świadome mi było tylko uczucie, jakie ma się dla rodziców, siostry i brata. Inne znane mi jeszcze nie było.

Nie dziw więc, że dla ciebie gotowa jestem wszystko zrobić, i nie zważając na to, czy otrzymam pozwolenie od rodziców, lub nie, zostać twoją.

W porównaniu z tobą, mój Władku, niczem mi są wszyscy i wszystko, i ciebie nikomu nie oddam, chociażbym śmiercią miała miłość mą ku tobie i posiadanie ciebie przypłacić.

Nie śmieję się tylko ze mnie i z listu mego, bo to przykrość wielką zrobi twojej na zawsze

Wandziuchnie.

P. S. Dlaczego w tej chwili nie mogę objąć ciebie i ucałować?

D. 11 kwietnia.

Miałam chęć wielką napisać do ciebie w sobotę, ale spowiedź przeszkodziła mi w skutecznieniu tej chęci.

Zawdzięczając tobie, muszę teraz odmawiać straszną pokutę, a obiecawszy poprawę księdzu, bądź pewien, że cię nie pocałuję.

Na oryginale drobniuteńkim maczkiem dopisano: (n-i-m n-i-e z-o-b-a-c-z-ę).

D. 10 maja.

Zadziwiłam się, iż prosisz mnie, abym nie wierzyła, gdyby co złego mówiono o tobie.

Czy sądzisz, że mogę dać wiarę jakim plotkom na ciebie?

Przy tem, ja żadnych plotek nie usłyszę, bo kto ma prawo źle mówić o tobie?...

Komuś ty zrobił co złego?

A gdyby nawet zaczęto mi cokolwiek opowiadać, to odważyłabym się ręką zamknąć usta tej osobie. Niech nie śmie źle mówić na tego, kogo tak kocham, iż gotowa jestem życie za niego oddać.

W tym tygodniu oczekuję odpowiedzi od mamy na list, w którym nadmieniam ogólnikowo o tobie.

Może zgodzi się na wszystko?

Ach, wtedy całą moją sypialnię przewrócę do góry nogami, a ty... Może przyjedziesz do mnie? Czy mógłbyś?... Cieszylibyśmy się razem.

D. 20 maja.

Jadę do rodziców w dniu 5 czerwca pociągiem południowym. Jeżeli będziesz mógł, odwieź mnie jak najdalej.

Chcę poradzić się, czy mam rozpocząć rozmowę z rodzicami sama, czy

tylko przygotować ich do twego przyjazdu, co do którego życzę sobie, aby nastąpił na Zielone Świątki.

Teraz powiedz mi, mój panie Władysławie, po co w liście dałeś mi tytuł «szanowna»?

Czy myślisz, że zmienię się w cokolwiek, gdy rodzice sprzeciwią mi się?...

Nie, nigdy, nigdy nie cofnę i nie złamię danego słowa.

Bądź pewien, iż jedno twoje skinienie więcej ma znaczenia dla mnie od stu słów matki i ojca, bo chociaż Kocham ich bardzo, ciebie jednak więcej i... jakąś inną, silniejszą i głębszą miłością.

W dniu piątym czerwca, stosownie do jej życzenia, wyjechałem z Warszawy pociągiem odpowiednim, rezerwując dla siebie wolny przedział.

Gdy pociąg zbliżał się do miejsca naszego spotkania, gdy rozległo się gwizdnięcie, zwiastujące bliskość stacyi, zerwałem się z miejsca.

To krew uderzała mi do głowy, to wstrząsały całą mą istotą dreszcze niepokoju.

Serce biło silniej, ręce zimne, pocierałem nerwowo i zaciskając zęby, gorączkowo, szerokimi krokami, począłem biegać po przedziale.

Słowo — »kocham«! — tysiąc razy wybiegało na me usta.

Byłem bliski szaleństwa...

Pociąg, zwalniając biegu, zbliżał się ku stacyi.

Wychyliłem głowę przez okno: dworzec był pusty.

Rozpacz mnie ogarnęła.

Z chęcią rzuciłbym się pod pociąg.

Nie ma jej! Nie ma jej!

Wtem drzwi budynku rozwarły się z trzaskiem i szybko cofnąłem głowę.

Mignął mi przed oczyma jej szary paltocik.

Zręcznie, jak zbrodzień, śledziłem z ukrycia, czy jest sama i do którego wsiądzie wagonu.

Była sama. Lokaj niósł za nią walizkę.

Konduktor wskazał na mój przedział...

Wsiadła... Walizka umieszczona... Drzwi zatrzaśnięto...

— Boże mój, — Wando!...

Na przedostatniej stacyi miało nastąpić rozłączenie.

Po pierwszych przywitaniach i pieśzcotach nie tałem trudności, jakie nas czekają wobec dumy jej rodziców.

Pocałunkami zamknęła mi usta.

— Wierz mi i kochaj!...

Pytałem, dlaczego nie używa w listach słów zwykłych apostrofy?... Tak lubię, gdy mówi mi po imieniu!

Odparła na to głosem, płynącym z głębi serca, głosem, jaki — pragnę, aby brzmiał nade mną w chwili skonania.

— Pisać ci samo «Władziu» nie chcę; wszelkie zaś epitety «kochany», lub «najdroższy» wydają mi się za słabe na określenie potęgi mego uczucia.

Z tem rozstaliśmy się.

Powróciwszy do Warszawy, według danego przyrzeczenia, napisałem list do jej matki.

W kilka dni później otrzymałem list Wandy.

D. 18 maja.

Wczoraj odebrałyśmy list twój.

Matka odesłała go ojcu do Lwowa.

Zgadza się, abys na próbę przynajmniej rok u nas bywał.

Przetrwajmy zatem czas ten, a jeżeli mnie nie zdradzisz, przysięgnę przed ołtarzem, iż nie opuszczę cię i nie przestanę kochać aż do śmierci.

Uprzedź mnie, czy wytrwasz, aby później nie spotkał mnie cios bolesny, który opłaciłabym śmiercią.

Lecz po co o takich rzeczach pisać! Wszak pewną jestem, iż tego nigdy nie zrobisz, bo jesteś za szlachetny, aby nie dotrzymać słowa, od którego zależy życie.

Mój Władziu! jeżeli doczekamy roku przyszłego, to w lipcu lub sierpniu będę mogła nazywać się twoją.

Pomyśl, co wtedy będzie?!

Mnie, na jedno wspomnienie tej chwili, serce mocniej uderza... Czy i tobie?

O, dlaczego nie jesteś teraz przy mnie?

Tak chciałabym ucałować cię, uściśnąć i pozostać w twym objęciu.

«Do końca świata i po końcu świata!»

Jeszcze czuję ostatni twój pocałunek na mych ustach i ostatnie uściśnienie dłoni...

Dlaczego chwila szczęścia trwa tak krótko?

Dlaczego nawet modlitwą nie mogę ukoić tęsknoty do ciebie i twego pocałunku, który dla mnie jest wszystkim?...

Przyjeżdżaj do nas, mój jedyny!

Prosi cię o to bardzo, bardzo biedna i bardzo stęskniona twoja Wandziuchna, której obiecałeś nigdy niczego nie odmówić, a cóż dopiero zobaczenia ciebie!

Do widzenia! Mój jedyny, do widzenia!...

P. S. Nie mów matce mojej o tem, że pisuję do ciebie, bo mówiła mi:

— Wanda, pamiętaj, aby z panem Władysławem nie prowadzić żadnej korespondencji.

Ale, chociaż to jest grzechem nie

słuchać rodziców, lecz jeszcze większym nie słuchać tego, kogo kocha się bardziej, aniżeli rodziców. Pisywać zatem do ciebie nie przestanę.

Nie widzieć, i nie pisywać!... Nie, stanowczo, na to nigdy się nie zgodzę!...

P. S. Kochaj i wytrwaj ten rok. O to bardzo prosi twoja

Wandziuchna.

D. 29 maja.

Chociaż może to nie wypada, ze względu na pierwszą wizytę, spodziewam się, iż zabawisz u nas ze dwa dni. Ja tak chcę. Konwenanse dobre są, ale dla obojętnych.

Wieczorem, gdy wszyscy udadzą się na spoczynek, lub raniutko, o świcie, pójdę do ogrodu, w aleję najbardziej cieniastą, by móżdż spotkać się i spokojnie spędzić jaką godzinkę na rozmowie z tobą, mój jedyny i najlepszy Władziu!

Wczoraj byłyśmy z mamą i kuzynkami w pobliskiej fabryce. Widziałam jednego obywatela z pobliskiej wioski,

który także ją zwiedzał. Powiadają, że bardzo ładny.

Pytano, dlaczego nań nie patrzę?

Odpowiedziałam, że wolę «maszyny oglądać».

Bo co mi po wszystkim i po wszystkich, kiedy mam ciebie?

Już tak przyzwyczaiałam się myśleć ciągle o tobie, że nieraz zdaje mi się, że jesteś przy mnie, i chcę przemówić do ciebie, lecz oglądam się... nie mamego jedyne go Władzia, a wtedy następuje smutek, omdlenie, i zapadam w rodzaj snu, w którym zawsze jesteś nieodstępny.

I gdyby nie ruszano mnie, przesiedziałabym tak dzień cały, myśląc o tobie.

Bardzo więc cieszę się, gdy nadchodzi chwila spoczynku, gdy nikt mi nie przeszkadza chociażby noc całą tak myśleć i śnić...

W środę przyniesiono mi list od ciebie.

Ucieszyłam się niezmiernie, że nie zapomniałeś o moich urodzinach.

List twój zrobił mi większą przyjemność, aniżeli życzenia rodzonej matki i ojca.

Widzisz, Władziu, coś ty narobił: miłość ku tobie, osłabiła uczucie moje ku rodzicom...

Kończę, bo matka nadchodzi.

P. S. Dlaczego, gdy patrzysz na mnie, doznaję tak dziwnego wstrząśnienia?...

Czy dlatego, że tak bardzo kocham ciebie?...

Dnia 4 czerwca.

Dostałam wczoraj straszego napadu waryacyi, gdy przypomniałam sobie, że za tydzień, o tej porze, jeżeli będzie sposobność, ucałuję ciebie.

Dlaczego, nie zważając na nikogo, gdy przyjedziesz, nie mogę rzucić się tobie w objęcia?

Przecież i dzisiaj już jesteśmy na takiej stopie, jakbyśmy zupełnie należeli do siebie.

Tego dokonał pierwszy twój pocałunek. Uderzył we mnie niespodzianie i

obudził nieznane dotąd uczucie i dziwny pociąg ku tobie.

Przyjedź, przyjedź koniecznie!

Będę czekała dzień cały, a chwilę ostatnią, to przechoruję, gdyż zapewne będzie dla mnie rokiem.

Pomyśl tylko, mój jedyny, że za pięć dni będę miała ciebie przy sobie!

Ach, kiedy to nastąpi, że przyjedziesz do mnie i nigdy nie porzucisz, a jeżeli odjedziemy, to tylko razem!

Czy wiesz, że w tej chwili takbym ucałowała ciebie, że aż byłbyś niekontent.

Mój Władziu, czy i ty podobnie cieszysz się z tego, że zobaczymy się prędko i czekasz chwili, od której już nic nas nie rozłączy?

Tu znowu mam napad waryacyi z powodu tego, że zobaczę ciebie. Po prostu nie daje mi pisać.

Gdy przyjedziesz, to zobaczysz, jakiego rodzaju są te napady. W nich chcę całować... ciebie!

Do widzenia teraz, mój Władziu, mój najdroższy!

W niedzielę lub sobotę przyjeżdżasz zatem do nas... pamiętaj!...

P. S. Za takie bazygroły bardzo przepraszam, ale piszę w spiżarce, na oknie, siedząc na kufrze.

P. S. Kochaj i ufaj, a nigdy cię nie zdradzę.

Taki jej list ostatni. Składam go i, jak inne, chowam starannie do koperty.

Opowieść moja i życia mego zbliża się ku końcowi.

Znalazłem się nareszcie wśród «śmie-tanki» obywateli ziemskich.

Tyś nie widziała, matko, powiatu, rozparcelowanego na kawałki drobne pomiędzy tych członków wzajemnej adoracyi, u których codziennym gościem jest sekwestrator, którzy tylko potrafią *arte* opychać żołądek, a za najlepszy pokarm dla ducha, jeżeli pomyślą o tej bagatelce, uważają dowcip Boccacia.

Nie patrzyłaś na tych plebejuszów myśli w dziurawej todze patrycyusza, jeżdżących niezbędną czwórką rosynan-

tów o bokach zapadłych... na ludzi, nie widzących dalej końca misternie podkreconych wąsów i pulchnych wdzięków «połowic», i nie życzyłaś im, jak ja, z głębi serca, aby te ozdoby twarzy przedłużyły się do nieskończoności, te pulchne wdzięki nabrały niebywałej tuszki, ażeby chociaż w ten sposób, na zasadzie rozszerzenia wrażeń dotykowych, przyzwyczaili się do objęcia widnokregu szerszego.

Kochani rodzice! Przebaczcie mi jeszcze raz ten wylew żółci, bo syn wasz wycierpiał tyle od nich, iż lichwą sowitą opłacił są te słowa.

Pocóż mam dodawać cośkolwiek?

Dość, że byłem u nich, oglądałem tę całą czeredę, nawet podziwiałem — narzeczonego Wandy.

Wanda zaręczona!

Czy wy to rozumiecie?

Tyle przysiąg, tyle zapewnień, tyle pocałunków zatrutych, fałszywych!

Ach, szczytęm doskonałości w swoim rodzaju była chwila rozstania.

Szeregiem, jak rozwinięta kolumna nieprzyjacielska, stały same panie.

Podeszłem do jej matki.

— Wierzaj mi pan, bardzo mi przykro, że to u mnie spotkała go taka nieprzyjemność, ale nie mogę zbyt mocno obwiniać Wandy. Wszak pan nie posiada najmniejszego nawet dowodu jej wzajemności?

Na te słowa Wanda zadrżała, pobladła i wpila we mnie błagalne spojrzenie.

Ja nie miałem dowodów!

Z jakąż rozkoszą pod nogi im rzucałbym i te wyznania, i te listy, i te pocałunki!

Byłbym pomszczony.

Na myśl zadośćuczynienia rozkoszny dreszcz przebiegł mi po karku.

— Tak, — odparłem, — pani ma zupełną rację. Córka jej nic tu nie winna. Nigdy od niej nie miałem najmniejszego dowodu głębszego uczucia.

Żegnam!...

Gdy nareszcie, po długiej podróży, znalazłem się w domu, padłem na łóżko

i tak nierozebrany, bez jadła i napoju, przeleżałem w osłupieniu dni parę...

Czem była jej miłość, godność własna, przekonania, czem słowo dane, przysięga wierności, jeżeli to wszystko odmienić zdołał lada kaprys, lada wąż, misterniej podkręcony do góry?

I czem jest, wobec tego, moja i innych mi podobnych wiara w talizmany, odziedziczone i wysrane z mlekiem matki: kult ubóstwiania i miłości, jeżeli posiada takie święte do kankana? Czem owa miłość, opiewana przez wszystkich bardów, odczuwana przez wszechświat?... Ta miłość, która podnosi serca, uszlachetnia umysły i wiedzie na szczyt poświęcenia, widokiem swoim budzi bohaterów, wyciska łzy zachwytu, źrenice przygasłe opromienia blaskiem młodości, wiecznie świeża i wiecznie piękna, której czaru nie ograniczają ani czas ani przestrzeń: pean na cześć jej miliony świadomie lub bezwiednie głoszą ustawicznie od wieków; a chociaż, pomimo swojej cudownej krasy i potęgi depce serca, spycha ze szczy-

tów w bezdeń nicości, łąą boleści ryje niezatarte hieroglify w sercu i obliczu, a świeże i młodzieńcze kwiaty ułudy łamie bezlitośną ręką: piękna jest, gdy cicha, wonna i tajemnic pełna, sunie pośród ludzi, szukając kapłanów i ofiar swoich...

O, niech raczej kona serce, gdy tak zbrukane niebo tej religii, a wystąpią na oltarze... zmysły!

Byłem tak zrozpaczony, iż przyznam się, myślałem o śmierci.

Lecz lepiej stało się.

Gdym po raz pierwszy wyszedł na ulicę, los podsunął mi jej narzeczonego. Powiedziałem mu, co o nim myślę. Jutro pojedynek.

Padnę... takie mam przecucie.

Przebaczcie mi to wszystko, przebaczcie mi, drodzy, a ty, matko, zważaj na swe córki.

Niechaj nie chodzą drogami nowemi!

* * *

Pani Wilska ukryła twarz w dłonie.

— Moje córki, podobne do tej! Boże, raczej zabierz je do siebie, niżbyś miał pozwolić, by chodziły drogami takimi.

— Amen, — dorzucił poważnie ojciec.

Przez cały czas czytania listu, Niwicki stał we drzwiach oparty o framugę.

Był to brunet, wzrostu wysokiego. Energia i spryt przebijały się na jego twarzy matowej, okrytej bujnym zarostem.

Z początku czytania chciał pójść śladem przybyłych z nim towarzyszków, Lenka i Liwskiego, którzy na prośbę gospodarza udali się do jadalni; jednak, nie wiedząc sam dlaczego, pozostał.

— I to pisała Wanda! panna Wanda! hm, — szeptał, słuchając wyznania Wilskiego.

Chory jęknął.

Wyszli doń cichutko, na palcach.

Spał mocno, od czasu do czasu wymawiając imię Wandy.

— Przepraszam pana za ten brak opieki nad nimi, — rzekł gospodarz do Niwickiego, — i uprzejmie proszę za mną na spoczynek.

W jadalni lampa wisząca zalewała pokój snopami światła.

Dębowe staroświeckie krzesła o wysokich poręczach, szeregiem stojąc pod ścianami, jakby ze zgrozą patrzyły na jedno z nich, wysunięte bliżej stołu, na którym rozstawione napoje rozmaitego gatunku i przekąski świadczyły o odbytej uczcie.

Drzwiczki kredensu otwarte na oścież zdawały się nie przeczyć temu.

Tuż na otomanie, odwrócony z całą pogardą do owego krzesła, twarzą ku ścianie, leżał Lenk.

A na krześle owem, włożywszy ręce w kieszenie, w pozie pół leżącej drzemał, kiwając się na wszystkie strony, Liwski.

Miny, jakie przy tem wyprawiał przez sen, zmusiłyby do śmiechu nawet... konającego gladyatora.

Takie przynajmniej zdanie szeptała

zgrabna i szykowna blondynka swojej towarzyszce szatynce.

Były to siostry Władysława, Janina i Helena.

Obie, przed chwilą powróciwszy ze spaceru do domu, stały zdziwione i bez ruchu nad tymi, jakby z księżycy spadłymi, a tak sennymi bohaterami ja-dalni.

Liwski nie był piękny, może zaledwie przystojny, lecz myśl, piętno pracy umysłowej, rozlana była na jego twarzy. Oblicze wyraziste, nerwowe, blade, czoło wyniosłe, wąs ciemny, miały w sobie coś przyciągającego.

Twarz Lenka, niestety, nie była widzialną.

— Janko, — szepnęła Helena, — nie schylaj się tak nad nim, bo jeszcze oczy otworzy.

— Ach, już obawiasz się jego oczu — również cicho odparła blondynka, — ja bo nie, a na dowód, poczekaj, zaraz zadowolnię ducha poety i urządzę na prędcę jednę

...»Pierś, jak pierś Memnona«.

To rzekłszy, pusta i nagła chwyciła leżący w kącie pióropusz od ścierania kurzu i wyrwała z niego piórko.

— Janko!...

Liwski tymczasem otworzył nieznacznie jedno oko.

— »Ach, gdyby choć jedna pierś, jak pierś Memnona!« szeptała psotnica.

I stanąwszy nad nieruchomą ofiarą swego humoru, patetycznie a cicho szeptała:

— Oto ja ciebie, kimkolwiek jesteś, nieznajomy, a spiący panie, dzisiejszej nocy, tak suto oświetlonej światłem nafty, do której Fajbuś dolewa zwykle półnapół wody, przemieniam na wzór i podobieństwo pożądanej mary: stań się Memnonem!

To rzekłszy, piórkiem lekko dotknęła nozdrzy Liwskiego.

Rozległo się rozpaczliwe kichnięcie.

— Uha! — i nowożytny Memnon rzucił się naprzód całym kadłubem.

Gdy przetarł oczy, ujrzał przed sobą gospodarza z Niwickim.

— Przepraszam pana, — rzekł — za tak bezceremonialne zachowanie się w jego domu, lecz od rana prawie nic nie mieliśmy w ustach, o porządnem zaś spaniu od pewnego czasu nie mogło być nawet mowy.

Przy tych słowach nieznacznie zbliżył się do chrapiącego Lenka i rozpaczliwie go uszczypnął.

Ten zerwał się na równe nogi i począł na swe usprawiedliwienie, poprawiając binokle.

-- Uwaa pan...

Wilski nie dał mu kończyć.

-- Serdecznie przepraszam panów za pozostawienie ich losowi, a zarazem dziękuję za wszystko, coście zrobili dla mego syna. A teraz pozwólcie na spoczynek i, proszę, bądźcie u mnie nadal, jak u siebie w domu. Co moje, to i wasze.

Liwski udał się za innymi.

Zanim jednak zamknął drzwi, rzucił okiem po za siebie.

W drzwiach przeciwnych ujrzał śliczną małą rączkę, przesyłającą mu na

pożegnanie coś niby buziaka — i w ten sam sposób oddał go natychmiast.

— Cóż Niwicki, — pytał kolegi — gdy znaleźli się sami, — jakże ci się dom podoba?

— Dom?... stare pudło, — brzmiała odpowiedź.

— Nie udawaj naiwnego, mnie idzie o panny. Ba, ale musisz być głodny, boś siedział przy chorym. Pozwól więc sobie teraz, mój kochanku. W ręce twoje — dodał, nalewając duży kielich wiśniówki.

— Paradna! Lenk, a ty?... może poprawimy?

— Nie piję i nie jadam — rzekł zapytany, idąc do przyległego pokoju, — mam was na dzisiaj dosyć! Dobranoc!

Liwski opowiedział o swoim zdarzeniu.

— Panny znam z Warszawy, — rzekł Niwicki, smarując masłem kawał chleba wiejskiego, — należą do obozu emancypantek, do których zalicza się i Wanda Otocka. — Lenk, śpisz?

W odpowiedzi z drugiego pokoju rozległo się stłumione chrapanie.

— Ależ ta Wanda zalazła Władkowi za skórę, zalazła!

— Mój kochany, — rzekł na to Niwicki, — znam ich dobrze, mogę zatem mówić o zaszłym wypadku z pewnem prawdopodobieństwem. Wilski dla takiej Wandy nie ma odpowiedniego utrzymania. W tem sęk. Panna to bogata, omal nie arystokratka, a on...

— On uczciwy, zacny, szlachetny, energiczny, pracowity i utalentowany, a ona...

— Wszystko to bardzo piękne, — przerwał skwapliwie Niwicki, jakby mu zależało na tem, by nie słyszeć sądu kolegi, — ale... «papu»... nie daje. Tak sądzili i jej rodzice.

— Dzisiaj mniejsza o sąd ich, chodźmy spać!

— Chodźmy. Dobranoc!

— Dobranoc!

Pomimo jednak tego życzenia obadwaj nie mogli prędko zasnąć.

Liwski ciągle widział przed sobą obraz dwóch młodych panien, Niwicki — Wandy.

Położenie jej obecne i możliwe szanse, wynikające dlań z tego położenia dawały mu wiele do myślenia. A gdyby... starać się o jej rękę? Obecny narzeczony, jak mu to było wiadomem, po pojedynku z Wilskim, zwrócił jej pierścionek. Dobra jej sława zatem była narażoną podwójnie. Przypuszczalnie każdy konkurent w tym rodzaju, co on, mógł liczyć na pewne powodzenie.

A Wilski?...

Wzgląd na kolegę najmniej obchodził Niwickiego.

Wszak pomiędzy nim, a Wandą wszystko skończone.

Jej miłość, o której nie wątpił po wysłuchaniu listów, była miłością nerwów. Nerwy tu tylko działały, nic więcej: ani serce, ani głowa.

A gdyby nawet jedno i drugie?... i to głupstwo!

Panna bogata... *primo*; rodzina wpływowa... *secundo*...

I począł obliczać, co można otrzy-
mać wzamian za to, gdyby zajęte były
i serce, i głowa?

— Tak, — zakonkludował, — gra
możliwa — i ja rzucam stawkę. Trzeba
wyjeżdżać!...

Jednak mimo tego postanowienia, nie
wyjeżdżał.

Co go trzymało?...

Z góry zapowiedziano im, iż nie
zostaną wypuszczeni ze wsi do czasu
zupelnego wyzdrowienia Władysława i że
mogą używać wywczasu w najwygo-
dniejszy i najpożyteczniejszy dla siebie
sposób.

Na to Niwicki i Liwski stanowczo
nie zgodzili się, mówiąc, iż dostatecznie
odpoczęli i mogą nadal pilnować cho-
rego.

Wobec tego, po paru dniach wy-
poczynku, zostali zaliczeni do służby sa-
nitarnej, Niwicki pod opieką panny He-
leny, Liwski — Janiny.

Lenk zaś używał na wsi całą pełnią,
wiodąc życie koczownicze, niknąc od

rana do nocy, a często przepędzając Bóg wie gdzie doby całe.

Nieraz, włóczęc się od wsi do wsi, zdawało mu się, że wpadał na ślady grobowców, starych odkopalisk, podań, lub zwyczajów, robił poszukiwania, badał, słowem, był czynny, jak nigdy.

Nie obyły się i jego dni słodkie bez goryczy, bo, ach, gdzieżby goryczy brakło?

Raz naprzykład nad brzegiem strumienia, ujrzał dziewczynę wiejską, piorącą bieliznę.

Jak zwykle w takich razach bywa, miała zakasaną sukienkę za kolana, dając możność tym sposobem ujrzenia okalającej prawą nogę, tuż przy kolanie, tasiemki.

— Talizman! — szepnął Lenk, pochichu zakradając się do dziewczyny.

— Zkądęście, dziewczeczko? — począł.

— Z tej wsi, co nad rzeką w(i)si, — brzmiała żwawa odpowiedź, i zanim poeta zdążył zadać drugie pytanie, już zabrała bieliznę i zniknęła mu z oczu.

— Ki djabeł? — szepnął do siebie w zadumie.

I nie miał odtąd spokoju, myśląc o tym wypadku, o tej tasiemce.

Co oznaczała? Od czego mogła bronić, a co sprowadzać?

Rozpytywał o to wszystkich, nawet Kasi, — napróżno!

Wreszcie pani Wilska zlitowała się nad nim i objaśniła, iż tasiemka ta jest to zwykła pamiątka... po pończosze, którą dziewczyna wdziewa co święto, zostawiając na codzien... podwiązkę.

Drugim znowu razem zdarzył mu się wypadek, który poniekąd może służyć za naukę dla pragnących czegoś się nauczyć.

Najczęściej zachodził do chałup chłopskich, wdawał się w gawędę, zdążył nawet trzymać do chrztu jakiegoś zucha.

Słowem, znały go baby, chodzące po grzyby, znali parobcy na łąkach i w stajniach, znały dziewczuchy przy sianożęciu.

Do każdego — to grzecznie zagadał, to poczęstował papierosem.

— Tęgie zuchy, — mawiał często do siebie, patrząc na sprawność ich przy robocie i zwinność przy jadle. Dobry materyał! aby tylko nie zrobiono z niego jakiej lichoty, boć różnych szalbierzy wielu i propagatotów wybranych, choć nie powołanych.

I począł myśleć, czyby nie było dobrze, gdyby to on tak z nimi pogadał i rozwijając sąd krytyczny, nauczył, aby nie dawali wiary pierwszemu lepszemu.

— Walek, — rzekł, zachodząc do spichrza i wybierając na pierwszą pogadankę włodarza, którego uważał za najsprytniejszego z gromady. — Walek, — powtórzył, siadając sobie wygodnie na zydelku i zapalając papierosa, — wierzysz ty, uważasz, dajmy na to, w nieśmiertelność duszy?

Walek otworzył gębę, spojrział na panicza szeroko rozwartemi oczyma i począł drapać się po głowie.

— Bo widzisz, kochany włodarzu, nie trzeba nikomu i niczemu wierzyć ot, tak sobie, na gołe słowo. Lecz myśl mą

najlepiej objaśni przykład. Gdybym tak powiedział:

— Walek, daję ci ten oto półkorczyk pszenicy, cóż ty na to?...

Walek schylił się czapką do kolan i pocałował go w mankiet.

— Bóg zapłać i za to, proszę łaski panica.

— O, chłopska, przechytra naturo, — mruknął poeta, — kto odgadnie tajne głębie twego ducha, będzie umiał przemówić do ciebie i pchnąć w daną chwilę do działania, jakiegoż pozyska w tobie sprzymierzeńca! Jak on to zręcznie zażył mnie z mańki!

Tem spieszniej należy nam zająć się nimi.

— No, dobrze, — rzekł po chwili, — weź go na mój rachunek. — Wracając zaś do rozpoczętej kwestyi: — ty, widzisz, znasz mnie już dobrze, wiesz, że co powiem, to zrobię; zatem możesz wierzyć mi na słowo; znasz mnie z czynów, rozumiesz, — powtórzył — z czynów, ale gdyby tak ktoś pierwszy lepszy gadał do ciebie, uwierzyłbyś mu?

— Jo.

To «jo» można było przyjąć za «tak» i «nie».

— Tak? hm!.. widzę, trzeba ci będzie myśl mą wytłomaczyć dokładniej, na przykładzie.

Walek nieznacznie uśmiechnął się.

— A zresztą, na teraz, dajmy pokój przykładom.

Otóż, uważasz, jak nie uwierzysz byle komu, tak samo powinienes przedewszystkiem dokładnie rozebrać daną myśl, aby ją potwierdzić, przyjąć, lub przeciw niej głosować.

A gdy za pomocą metody dedukcyjnej lub indukcyjnej, co, mówiąc nawiasem, na jedno wychodzi, chociaż potworzyły się oddzielne szkoły uczonych, którym radzimy z Goethem, aby trzymali się obydwóch metod, gdyż obie potrzebne są w naukach, tak samo jak wdychanie i wydychanie niezbędne jest do podtrzymania organizmu, otóż — powtarzam — gdy przyjdiesz do wniosku ostatecznego, trzeba, abyś zwrócił się ze świata ducha, jak powiada Fichte, do świata

zjawisk, w którym to świecie, wbrew temu filozofowi, przechylając się nieco ku Comte'owi, twierdzimy, że następstwa czynów ogromną mają wagę...

Tylko wiedz, ostrzegam, że jak owo bezwzględne odbijanie się wszechświata w monodach Leibniza, lub w człowieku idealnym Spencera, nieco niewyraźne, tak również strona praktyczna wniosku ostatecznego może pozostawiać wiele do życzenia.

Niech cię nie dziwi i nie głuży, że do ciebie, chłopie, przemawiam, jak do człowieka cywilizowanego, lecz zrozum tylko jedno, iż jak najmniejsza trawka w ziemi, tak uczucie w sercu i myśl w mózgu prostaka i największego mędrca rodzi się, rośnie i kojarzy na zasadzie jednych i tych samych praw, które dyktuje najwyższa logika.

To wszystko, widzisz, trzeba było powiedzieć, aby ulżyć ci zrozumienie dokładne kwestyi nieśmiertelności duszy.

Otóż materyjaliści, jak Maleschoff, Büchner, a szczególnie jeden Niemczyk, nazywa się, jak ty Cap, tak on Vogt,

postępując z myślą w wyż pomieniony sposób, doszli do przekonania, że jak nerki produkują mocz, a wątroba żółć, tak samo mózgu wytworem jest... zga-dnij, co?...

Oto, ni mniej, ni więcej, ci Niemcy zawsze tacy sprytni... oto... myśl.

I cóż ty na to, gdyby tak zjawił się przed tobą i powiedział ci to wszystko ów Niemczyk? Wierzyłbyś mu?...

Ty nic na to?

Było cicho.

Cisza ta zwróciła wreszcie uwagę młodego «nauczyciela ludu». Obejrzał się i spostrzegł, że jest sam, a co gorsza, że drzwi zamknięto.

— Walek, — zawołał, stukając klamką, — Walek, — powtórzył. Nikt nie odpowiadał.

Włodarz tymczasem wpadł do kuchni i zastawszy tam Kasię wrzasnął w przestraszu.

— Jasny panic osialał!...

— Gdzie, jak, który?...

— A no, ten... w ctery ocy, a w śpichsu. Psysed na wiecór, dał mi półkorcyk

zyta..., e, dobre jest, mówię sobie. A potem siada na zydelku, tym starym, i zaczyna o jakiejś dusycce, co to niby na tamtym świecie tak się nazywa, jak jo... Cop. A godoł, co ino święta ziemia wytsymać może, a jo, na ten psykłod, nic nie rozumiem. Wreście dostałem takiego pietra, co ino nogi zaczęły mi dygotać się, jak w frybrze. Zamknąłem sobie tedy, panie święty, cichutko drzwi śpichrza, raz i drugi, sumiennie, i duchem lecę do kuchni. Tak mi odrazu choroba i przeszło.

— Ja to sama zauważyłam, że z paniczem źle, bo dzisiaj zrana powiedział mi, że z nudów, to mnie chyba poklepie.

— Po czym? — zrobił ruch ręką.

— Walek, odknaj, bo rondlem!

— O la Boga, Kasiu, co ja robię, zajmaj po pana.

— Pan w polu...

— To duchem po niego, bo mi ta mizerota jesce zamrze.

Wilski znużony jazdą, trawiony smutkiem z powodu choroby syna, powoli

wracał do domu, a tuż za nim Liwski, gdy wtem, wjechawszy na dziedziniec, ujrzeni coś niezwykłego.

Pod spichrzem, zwartą gromadą stały baby, dzieci, parobki i dziewuchy, a pomiędzy nimi rej wodził włodarz Walek.

Naraz głosy ucichły, szyby wysoko umieszczonego w spichrzu okienka rozbite z brzękiem upadły na ziemię i w otworze pokazało się oblicze poety.

— Panie Adamie, tu, bij, harapaa!...

Na głos ten gospodarz szybko zeskoczył z konia. schwycił od Walka klucze i, nie zważając na perswazyę włodarza, uwolnił więźnia.

Szybkim krokiem, pełen myśli czarnych biegł Lenk do siebie. po drodze tłómacząc to wszystko, co dlań samego było niezrozumiałe.

— I któż mnie tak urządził? — kończył sprawozdanie przed Wilskim. — ten, któremum dał z pańskiego spichrza pół korca żyta, zapisz pan to sobie na mój rachunek, któremum babę wyleczył, dziecko trzymał do chrztu! Z nich wszy-

stkich najlepszy i najsprytniejszy. Cóż więc inni gotowiby zrobić?

«Ślachta, jednemu worek, drugiemu płachta», powtarzają, naigrawając się z nas ich bachory, a starzy?

Może zechcą powtórzyć rok 48?...

— Ależ, kochany panie Stanisławie, — mitygował gospodarz, — tu musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Zresztą, opowiesz mi to dokładnie przy kolacyi, a rzecz cała zapewne wyjaśni się. Idź do siebie i przebierz się. Nie są ci chłopci tacy źli, jak ci się wydają, tylko... bydlę. I najtrafniej oceniłeś sytuację w chwili, gdyś zawołał:

— Bij, harapaa!...

Chory tymczasem czuł się coraz lepiej.

Rana goiła się prędko, rumieniec okraślił oblicze. To też i atmosfera domowa stała się weselszą.

Złowrogą dotychczas ciszę, jaka panowała, poczęły przerywać dźwięki fortepianu.

Panna Helena grała prześlicznie.

Tony, wychodzące z pod jej rączki

białej nie były tonami, a wprost głosem duszy wielkiej smutnego Beethovena, melancholijnego i marzycielskiego Szopena, Mendelsohna, lub czułego i namiętnego Masseneta.

Wieczorami, o ile nie odbywano spacerów wspólnych, lub w noc późną, pobudzały one do marzeń, do zapomnienia o troskach, wyciskały łzę zachwytu, lub unosiły ducha na skrzydłach natchnienia.

— Pozwól pani, — rzekł do niej pewnego razu, ze zwykłą emfazą Lenk, — złożyć sobie hold uznania, jako kapłance sztuki głębokiej, nawskrós uczuciowej, która, wyrażając myśli nieokreślone, nieskończone pragnienia, życzenia bezprzedmiotowe, rozpacze bez przyczyny, niejasne drżenia dusz niespokojnych, w tonach szukających rozkoszy niewypowiedzianej marzenia, najgodniej odpowiada potrzebom naszego wieku. Zasłuchana w taką melodyę dusza łatwiej składa ciężary życia, mając jedno jedyne pragnienie — słuchania tych niebiańskich tonów po wieki.

— A o kapłance pan ani pomyśli?

— Patrząc w oczy kapłanki, można by wyśpiewać wspaniały hymn rozpaczy.

— Niech go pan wyśpiewa, a może dozna równie przychylnego uznania, jak i muzyka moja.

— Heleno, nie flirtuj z nim. — wołał Władysław, — bo jeszcze gotów unieśmiertelnic cię w łokciowym poemacie.

— Czy nie wiesz, że kobiety ogromnie lubią taką schlebiającą ich próżności nieśmiertelność, a wreszcie chociażby dedykację do niej.

— To też Liwski dobrze zrobił, że, opierając się na tej słabostce kobiecej, jedną ze swoich prac zadedykował: mojej Lili. A że, doręczając książkę każdej ze znajomych, odpowiednio wzdychał, ztąd książka cieszyła się ogromnem powodzeniem. Każda znajoma udawała, że jest ową Lili.

— Ha! ha! ha! — śmiała się Janka, grożąc Liwskiemu paluszkami.

— Niech pani tak nie pogardza radą brata. — rzekł do Heleny Niwicki.

który, chociaż zostawał z nią w ciągłej pozornej niezgodzie. niechętnem jednak okiem patrzył na umizgi Lenka. Kolega Lenk pisze cudownie, ale, jako człowiek wysoko wykształcony, każdą rzecz, chociażby najbagatelniejszą, zaczyna od górnego *czs.* a to — niebezpieczne.

— Przepraszam, nic w tem nie ma niebezpiecznego. — Poezya pana Lenka zachwyca mnie i porywa — odparła Janka.

— Porywa? — szeptał Liwski. — Ach, gdyby tu był Fracewicz. miałby gotowy model.

— Wolę być modelem dla kogo innego, — odparła, patrząc mu figlarnie w oczy.

— A pani, czy podziela zdanie tego Zoila? — pytał Lenk Heleny, wskazując na Niwickiego.

— Tym razem nie ma pomiędzy nami dwóch zdań. Pańskie poezye są dla mnie wprost niebezpieczne.

— Ten sąd uszczęśliwia mnie i w zupełności wystarczy do poematu...

— Kiedyż go zaczynasz? — pytał Władysław.

— Niech tylko odnajdę — miarę.

— Doręczy mi go pan osobiście? —
pytała Helena.

— Dobrze.

— Słowo?

— Słowo.

Jakkolwiek Helena bardzo podobała się Lenkowi, jednak powyższa rozmowa dotknęła go do tego stopnia, że postanowił wyjechać.

Był niezmiernie czuły na najmniejszy nawet docinek, lub żart z siebie. Przy tem zrażały go niebezskuteczne widoczne zabiegi Niwickiego koło Heleny, ich częste przejażdżki i spacery samnasam.

Pewnego więc dnia narysował na bibule ogromne serce, przebite strzałą, użył ją za podstawkę do atramentu i, nie powiedziawszy nikomu nawet: do widzenia! — na drugi dzień wyjechał do Warszawy.

Za nim, pomału, ociągając się, zaczęli zbierać się i dwaj pozostali.

Niwicki już parę razy pakował i rozpakowywał swe rzeczy.

Helena podobała mu się bardzo i

jak wszyscy szeptali dokoła, nie bez wzajemności. Była jednak za uboga na to, aby mógł myśleć o stalszym z nią stosunku, aby dla niej miał zapomnieć o pierwotnym swoim zamiarze względem Wandy.

Przeciwnie, z każdą ubiegłą godziną utwierdzał się w przekonaniu, iż może pozyskać jej rękę — i dlatego nie chciał działać za prędko.

A przy tem dom Wilskich, jakkolwiek niezasobny, miał w sobie tyle uroku, tyle serdeczności, ciszy i spokoju, iż mimowoli czarował umysł nawet tak suchy, jakim był umysł Niwickiego.

O Liwskim --- cóż da się powiedzieć?

Ten pod komendą panny Janiny wychodził wcale nieźle.

Codziennie miał na swem biurku świeże kwiaty, codziennie świeże pismo, lub książkę.

Nieraz, gdy wszedł do swego pokoju. chwycił zapach subtelny, rozkoszny, kobiecy, wdychał go głęboko, delikatnie, po raz setny, wyczuwając wszystkimi nerwami błogie zadowolenie, ja-

kie sprawiały mu kojarzące się wraz z tym zapachem obrazy.

Przymykał oczy, marzył..

Tak, któraś z nich była. lecz która?
Janka, czy Helena?

Za pierwszą przemawiała jej żywość, wesołość, jej pewność siebie, jej wreszcie lekka kokieterya, niewinna, ale zawsze coś mówiąca.

A przytem czuł, bezwiednie może, iż po za słowami ust coś tam szeptały mu i oczy jej i uścisk dłoni... Czuł, że pomалу zawiązuje się pomiędzy niemi jakaś nitka przeznaczenia, które, być może, ciągnęło go tutaj za Wilskim... Ha, niech tam!

Za drugą przemawiałaby w tym razie tylko zwykła ciekawość.

Intuicyjnie, śledząc postać Heleny, jej temperament, głębokie spojrzenie szafirowych oczu dużych, przeczuwał, iż o ile Janka mogła być w każdym bądź razie tylko kotką dla tego, kto zgodziłby się na rolę myszy, o tyle ta... Nie, z tą lepiej nie igrzać..

Tamta, w razie niebezpieczeństwa,
upadnie na łapki, ta zaś...

Nie, lepiej z nią nie igrać!...

— Liwski, spisz? — zawołał Niwicki, który, wszedłszy niespodzianie, zastał go nad świeżym bukietem w chwili napadu takich rozmyślań, i począł deklamować, klaszcząc go po ramieniu:

- »Zakochanyś, przyjacielu!
- »Wciąż miłosne snujesz baśni:
- »W głowie twojej coraz ciemniej,
- »W sercu za to coraz jaśniej!...

— No, no, — odciął się zaczepiony, —
i ja

- »Widzę już miłosny płomień
- »Przez twą jasną kamizelkę!

Na ten niespodziewany zwrot Niwicki zmieszał się i, poprawiając ognisty kwiatek, wpięty do dziurki surduta, rzekł:

— Nic nie przeczę, ani twierdzę.
Na tym padole płaczu i... bukietów, —
dodał, wskazując na trzymany przez Liwskiego, —
wszystko może być, lub nie być...

— Więc dajesz na zapowiedzi? Boć

nie możesz nie widzieć, że panna Helena coś blednie i nieraz staje się tak smutną i zamyśloną, że aż przykro patrzeć na nią.

— Tymczasem rozweleję cię wiadomością, iż na jej smutek nie będziesz dłużej patrzył: jutro wyjeżdżamy!

— Jakto?

— I ty jeszcze możesz pytać z takim zadziwieniem! — jakto? Ależ to bezczelność! Władek już ma się zupełnie dobrze, jakież powód do odsiadki tutaj uczuć?... Tak, tak, lowelasku, jazda do Warszawy na świeże serdelki z kocięgo mięsa i randki ze szwaczkami pod podartym parasolem!

— Dlaczegoż tak nagle? — pytał Liwski, któremu przykro było opuszczać te kwiatki, te pisma, książki i te rączki, tak zręcznie dostarczające mu to wszystko. — Czyż nie możesz zostać jeszcze dni parę? Możesz pokłócić się z panną Heleną, to urządzimy przeprosiny i basta!

— Nagle! To u niego nazywa się: nagle! Siedzimy przecież tutaj miesiąc

cały, lecz — widocznie awansujemy. No, raz kozie śmierć, jutro bez apelacyi — jazda!

— Ha, to jazda, kiedy tak!

Tegoż samego jeszcze wieczora ogłosili swój zamiar.

— To i ja z wami jadę, — zawołał Władysław, widząc, iż wszelkie perswazye i prośby nie mogą wpłynąć na Niwickiego. — Bo, przyznam się, że i na mnie czas już. Wyjeżdżam za granicę po nowe wrażenia — po nowe farby do obrazów.

— Przyjrzyj się tylko sobie w lustrze, jak wyglądasz, jaki jesteś zmizerowany, — tłumaczyła mu matka.

— Jak wyglądam? Ależ nigdy paradniej nie wyglądałem! Niech no mama tylko spojrzy na mnie, czy nie jestem zuch?

I począł okręcać się przed nią na wszystkie strony, mówiąc:

— A chociaż to udo wygląda, jak żart, te plecy, jak parodia, a brzuch, jak istna farsa, jednakże z tą wcieloną humorystyką cudów jeszcze dokażę! Napewno!

— Więc pana nic nie zdoła zatrzymać? — szeptała tymczasem Janka do Liwskiego.

— Wszystko mnie tutaj zatrzymuje...

— Pocóż pan odjeżdża?!

— Bo tak wypadła.

— I nie żal panu niczego?...

— Niczego? to nie, ale kogoś, to bardzo.

— A tym »kimsiem« jest? — pytała żartobliwie, patrząc mu w oczy.

W milczeniu uścisnął jej rękę.

— Janko, jedziemy do Warszawy! — wołała Helena, wbiegając do pokoju i podając jej list. — Oto list od Izy; wyszła za męża!

Janka czytała:

Kochana Helenko!

Donoszę wam przedewszystkiem, że wyszłam za męża bardzo dobrze. On ma lat sześćdziesiąt, ja dwadzieścia parę.

Z tego obliczenia widzicie, że jestem bardzo sprawiedliwą, bo jemu nic nie ujmuję, a sobie nic nie dodaję.

Ogromnie kochamy się.

Mąż mój na liście lokatorów figu-

ruje, jako były konsul i podobno był nim rzeczywiście. Jednak nie mogę sobie wyobrazić, co on wizował?

A może to tylko tak zwane miodowe miesiące onieśmielają go do tego stopnia, iż, powiadam wam, przy swej żonie o wszystkim, co dawniej umiał zapomina.

Wobec tego powtórnie proszę was i Jankę, abyście przyjechały do mnie. Mam duży apartament i nasmażyłam wiele konfitur.

Poznałam prócz tego, a raczej przypomniałam się znajomości paru wesołych i dobrych chłopców, malarza Fracewicza i humorysty Łaśniewskiego.

Ubawimy się z nimi szczerze.

Ja tu już pozuję. Łaśniewski, któremu przeczytałam to ostatnie zdanie, pyta się, kiedy ja nie pozowałam?

Może i ma rację!

Proszę was, przyjeżdżajcie na pewno.

Wasza

Iza Frasuńska.

P. S. Zapomniałam prosić o pozwolenie waszych rodziców. Przepróście ich

za to i wytłómaczcie mnie miodowym
miesiącem... szóstym z kolei.

Ach, jak ten czas wolno idzie!...

— Mamusiu, mama pozwoli, abyś-
my pojechały na jesień i zimę do Izy? —
wołała Janka, rzucając się jej na szyję.

Była to tylko forma, gdyż w rze-
czywistości córki rządziły rodzicami.

— Panowie znają panią Izabelę Fra-
suńską? — pytała pani Wilska.

— Tak, ze słyszenia.

— A panów Fracewicza i Łaśniew-
skiego?

— Jak siebie, — odparł Wilski.

— Zatem na wrzesień jedziemy!

— Ha, jedźcie.

— Zapoznamy was z całą naszą pa-
ką, — rzekł Wilski.

— Któż będzie moim ciceronem? —
pytała Janka, rzucając «oko» na Liw-
skiego.

— Zapewne Niwicki, — odparł
Liwski.

— Brrr... to dla Heleny, a co dla mnie?...

— Dziękuję za szczerość, — rzekł tenże. — Czy i pani, panno Heleno, powie na mnie: brrr?!...

— W każdym razie dam sobie radę.

Po wyjściu kolegów Władysław uściśnął obie siostry, dziękował im za opiekę, szczególnie zaś Helenie, którą kochał bardzo.

— Zostań jeszcze z nami, — szepotały jej różowe usteczka.

— Nie mogę: duszę się!

*

— Warszawa! — zawołał konduktor.
Warszawa!

Ile w tym okrzyku treści!

Bo taka siła w przedmiotach ukochanych niejako niezmysłowo, abstrakcyjnie, iż nawet wtedy, gdy wszelkie inne sympatyje osłabną, lub zanikną, one głosem silnym tęsknoty zdołają zmusić serce do przyspieszonego bicia.

Warszawa!...

Ileż to w niej nieznanym, a uroczych zakątków, kamiennych schodków, tarasów i cudownych widoków!

Przypatrzcie się jej o zmroku, gdy latarnicy, te miejskie świętojańskie robaczki, nie rozlecieli się jeszcze po ulicach, aby olśnić wzrok światłem, i ono nie walczy jeszcze z blaskiem konającego dnia, po raz ostatni rzucając jaszkrawe spojrzenie na kolumny domów i ulice.

Czyż domy te nie mają wtedy wyglądu oblicza w agonii?

Miliony okien, jakby oczu trupich, zewsząd patrzą na przechodnia. W powietrzu drżą miliony westchnień i szeptów i pajęczyn łagodnej mgły z niewidzialnych trybularzy, wzbudzając uczucie smutku, żalu i trwogi...

Lecz sza!... za chwilę błyska niespodzianie światelko jedno, drugie, trzecie... i dookoła widać jakby roje pochodni, asystujących przy pogrzebie dnia, jakby roje pochodni sunącego z oddali orszaku tryumfującej nocy, na czele których

wypływa na ciemno szafirowe niebo —
księżyc.

Witaj, o, nocy, władczyni snów czarodziejskich, knowań zbrodniczych, szeptów miłosnych i hazardu!

Po tobie znów powraca świt i każdą dzielnicę budzi do pracy trzeźwej, do życia, czy to promieniem słońca, czy też żydowskimi:

— *Dawene!*

Któż nie kocha Warszawy o świcie, gdy zaledwie gdzieniegdzie na betonie lub kamieniu, zadzwoni noga wczesnego mieszkańca?

Powierzchnia ulicy gładka, nieopstrzona sześćkroćstotysięcznym tłumem, ma fizioznomją oblicza ogolonego mieszczucha.

Domy, opromienione różanym wschodem, węzłem różnobarwnym rozwijają swe kolumny, stojąc niemo, jakby współsenne, w zadumie płodnej.

U stóp ich korony drzew, poruszane wiatrem wschodnim, świergot ptasząt, jakby szepczących pacierze, zapowiadają, iż maluczko, a olbrzymy z granitu ożyją,

wysypią z wnętrzy swych żwawe rojowisko, które hukiem i świstem, wrzawą i turkotem, śmiechem i przekleństwami, kurzem i dymem, napelni te głucho dotąd przestworza.

I ulice znowu nabierają ruchu.

Od strony rogatek nadciągają włościanie, ogrodnicy i wyrobnicy podmiejscy na wozach, ładownych cegłą lub produktami i lokują swe towary po rynkach i domach.

Nieco później rozlega się turkot pospieszny wozów piekarskich i trzask podnoszonych żaluzji sklepów, otwieranych na ich przyjęcie.

Dalej słysząc chód i ziewanie rzemieślników, dążących na fabryki, kupców hurtowych, mamrotanie pod nosem żebraczki, którą stróż spędził z legowiska nocnego pod krzakiem, lub z ławki skweru... Ta idzie szukać innego miejsca, skrobiąc świerzbując, ziębnięte ciało, okryte łachmanami.

Od czasu do czasu zaturkocze dorozka, wioząc pasażera na kolej, lub

wracającego z zabawy tancerza, widocznie dla gospodarstwa — najmilszego.

Wreszcie z trzaskiem otwierają się bramy i na ulicę wysypuje się tłum kucharek z koszami, praczek z zawiniątkami i tym podobnych pracowniczek.

Wnet otwierają i sklepy z wiktuałami, kawiarnie, cukiernie.

Już wybiega na ulicę uczeń z tornistrem na plecach, i szwaczka biedna, i z uwagą śledzą godzinę na zegarach miejskich: — po ósmej!

Już i pan urzędnik powstaje z łoża, o ile raczył się położyć.

Najpierwej spieszą sklepowe a za nimi szwaczki — panny od »dziurek«, od »staników«, od »upinania« i od »sukni«.

A każda trzyma jakieś zawiniątko w ręku. To bułka, lub kawałek chleba ze szmalcem.

Każda idzie rażno, wesoło, jak gdyby przez noc całą nie siedziała nad zmudną pracą, jak gdyby była po dobru, lub co najmniej ciepłym pierwszym śniadaniu; każda lekka, posuwista i zgrabna, w sukience ubogiej, jedna-

kowej i zimą i latem, szykowna, jak każda warszawianka, o których jakiś kplementencista z doby romantyzmu powiedział, że

»W płóciennej nawet spódniczce,

»Podobna jest księżniczce«.

Po tych legionach, lub jednocześnie z nimi, suną inne, odprowadzając małe dzieci do szkół i szkółek, do ogrodów miejskich. To są o dużych i płaskich stopach *Fräulein*.

Zresztą badacz uważny może poznać bonę nie tylko po rozroście stóp i po niezbędnem dziecku, lecz także po objętości kieszeni jej sukni.

Kieszeń niemki — to istny sklep norymberski.

W niej, na wszelki wypadek, mieszczą się: nici, igły, szpilki, guziki, bawełna, pończocha z drutami, druga do przymiarki, chustka do nosa, szalik na szyję, lusterko, włóczka, zapalniczka, szczoteczka i proszek do zębów, portmonetka, grzebień gęsty i rzadki, szuwaks, kawałek świecy stearynowej i — mydło.

O tej porze Warszawa już jest na

nogach. Chodzi, pracuje, myśli, złości się, ziewa, klnie i — rozmnaża.

O tej porze idzie do biura nawet pan naczelnik, nawet pan bankier.

Rozlatała się już na dobre --- z lekcyi na lekcję — nauczycielka — chuda, o wynędzniałej, bladej twarzy i spiczastym histerycznym nosie.

Idą do konserwatorium muzycznego i do rozmaitych pracowni artystycznych tak zwane «panny na wydaniu», które wbrew radom poety:

»Sąsiadeczko, nie bij w klawisz,
»Bo tem gości nie zabawisz...«

nie mają nic lepszego do roboty nad wybijanie na fortepianie, skrzypcach, klarnetach i trąbkach potrzebnego im taktu, lub wbrew temuż poecie:

»Lepiej powiedz swemu taty,
»By ci składał asygnaty, —

tracą czas i pieniądze na dorabianie porcelanie niezbędnych dodatków: zielonych zajęcy, lub niestrawnych owoców.

— Warszawa! — zawołał powtórnie konduktor, otwierając drzwiczki prze-

działu, w którym powracali Wilski z kolegami.

Ci, zaledwie wychylili z wagonu głowy, już kolejno znaleźli się w objęciach Chrzońskiego, Fracewicza, Dolskiego i innych, którzy stawili się na powitanie, jak jeden mąż.

— No, dawnom już nikogo tak nie ścisnął — wołał Łaśniewski.

— Rzepy z was — szeptał Dolski, wszelkimi siłami swej suchej figury starając się pogiąć im boki.

— Wilski, chwat jesteś, żeś się wygramolił, bom myślał, że będzie z tobą «bzdetes», — kończył Chawłowski, rzucając mimowoli ukradkowe spojrzenie na Chrzońskiego, który na wyraz «bzdetes» pogroził mu palcem.

— A teraz, pozwólcie, niech i ja wam coś rzeknę, — począł przedzierając się przez innych Fracewicz. — Przed chwilą oto otrzymałem list, w którym pan Zenon Frasuński, były konsul, wraz z małżonką swoją Izabelą vel Izą z Morskich, zaprasza was do siebie na niedzielę, na obiad.

— Na obiad?... Zwarjowałeś, czy co? My ich wcale nie znamy, — rzekł Wilski.

— Ale ja znam, — wołał Łaśniewski. — Pan konsul jest moim osobistym przyjacielem, a kto ubliża memu osobistemu przyjacielowi, ten mnie ubliża, a kto ubliża mnie, ten ubliża Fracewiczowi, dalej Chrzońskiemu, Dolskiemu, Sękowi, nie mówiąc już nic o niewypierzonym kurzeju, ponurym Lewańskim, jako o początkującym literacie.

— Panowie, — dodał Fracewicz, — bierzemy do serca tę odmowę i prosimy o satysfakcję, — nieprawda Łaśniewski?

Na wyraz «satysfakcja» Łaśniewski zachmurzył się.

— A tak. — rzekł, — o satysfakcję — objadową.

— Zrozumcież jednak, że nie chcę być w oczach cudzych zwykłym pieczeniarem.

— Gdzie tam, wcale niezwykłym, — począł znowu Łaśniewski. Zresztą Fraśński składał ci wizytę. Nawet parę razy. Trzeba zatem być bez wychowania, aby nie przyjąć żarcia w tak przy-

zwoitym sosie ofiarowanego. A przy tej sposobności możesz podziękować i za życzliwość pani Izy dla twoich sióstr. Powiadam ci, ogromnie życzliwa.

Staneło na tem, że Wilski tegoż jeszcze dnia złoży konsulowi wizytę wraz z Liwskim, który, mając na myśli przybycie Janki do Warszawy, uważał tę okazję za szczęśliwe zrządzenie losu.

Co prawda, tym losem kierowali Łańniewski i Fracewicz.

Po powrocie ze wsi stary Frasuński okazał się tak zazdrosnym o młodą żonę, iż o lada bagatelkę urządzał jej znane w całym domu sceny dramatyczne, podczas których Iza pękała ze śmiechu, on zaś o mało nie dostawał apopleksyi.

Był to człowiek podeszły, wzrostu średniego, łysy jak kolano, mający za ledwie kilka kosmyków siwych po bokach głowy, bródkę napoleońską, wąsy spiczaste, nos duży smakosza, usta wystające i wiecznie przymróżone oczy, które całkowicie otwierały się tylko w razach nadzwyczajnych gniewu lub admiracyi, gdyż przyznać mu to należy, iż ja-

ko warszawiak z krwi i kości, pomimo późnych lat, przepadał za spódniczkami.

Fracewiczowi łatwo przyszła z nim znajomość.

Od pewnego czasu poczęła przychodzić do nich odnaleziona «wypadkowym sposobem» przez Łaśniewskiego modelka, młodsza z domu sąsiedniego, pysznie zbudowana i kształtna brunetka.

Subretce tak podobała się uprzejma obojętność młodego malarza i gościnność serdeczna Łaśniewskiego, iż, to biegnąc po węgle do samowara, to po cukier, herbatę lub bułki, co chwila wpadała do nich, pytając: — czy panom przypadkiem czego nie potrzeba?

A że do mieszkania ich szło się po schodach, wiodących i do konsula, ztąd trafiały się częste mimowolne spotkania jej z Frasuńskim.

Doszło do tego, iż pan konsul, zamakowawszy w dziewczynie, literalnie czatował nieraz przed domem lub na schodach, pokojówka jednak na zaczepki jego, odpowiadała hardo i ani chciała nań patrzeć.

Wreszcie, widząc, że zwykłym sposobem nic nie wskóra, stary postanowił zapukać na trzecie piętro.

Było to po kilkunastu spotkaniach, jakie pani Iza naznaczyła swym «dobrym chłopakom», po spacerach w Wilanowie, Łazienkach, Jabłonie.

Obaj koledzy wybierali się na świeży z nią spacer, nie wiedząc, z kąd dostać »mamony«, gdy w tem rozległo się uderzenie kłamki i jednocześnie ukazał się we drzwiach Frasuński z ogromnym kijem w ręku.

— Czy tu mieszka pan Fracewicz?

Przyjaciele byli już za parawanem.

— Łaśniewski? — brzmiała odpowiedź Fracewicza.

— Właściwie Fracewicz, ale mniej-
sza o to, niechaj będzie i pan Łaśniewski.

— Kto, Fracewicz? — pytał delikatnie Łaśniewski.

— Albo szanowny pan Fracewicz, albo Łaśniewski, przecież panowie obydwaj zajmujecie ten lokal, — słodziutko brzmiało pytanie.

Tak nazwany lokal, był to pokój z przedpokojem i alkową.

— Słuchaj, Fracewicz, załatw go w sposób polubowny — szeptał Łaśniewski, pokazując ruch kolanem, — bo ja mówiłem ci, że nie lubię sprawy, która pachnie kijem, a ten stary coś za słodko mówi.

— To właściwie szanowny pan zapewne kupił ten dom i przychodzi po komorne?

— Ależ przeciwnie...

— Czyżbyś pan chciał za nas płacić?

— I to nie.

— Więc czemże mogę służyć? — pytał Fracewicz, wychodząc z za kulisy i energicznie na wszystkie guziki opinając na sobie tużurek.

Stary instynktownie cofnął się o dwa kroki.

— Właściwie, jako sąsiad, czułem się w obowiązku odwiedzić panów, o których talencie i mówią i piszą tak wiele...

— Trzymaj się, Fracewicz, — szeptał kolega.

— ...I obejrzeć ich pracownię.

Pracownię składał pokój, służący zarazem i za jadalnię. Biurko przy oknie, książki porozrzucane bezładnie, przybory malarskie, stalugi, a na nich płótno dużych rozmiarów z rozpoczętą o dziwnych kształtach kompozycją na ów konkurs, kilka figur gipsowych i biustów, parę rozmaitego rodzaju parawanów, kotara oddzielająca alkowę, — oto wszystko.

Jako oryginalny całkiem przedmiot, wysoko nad biurkiem leżała na półeczce trupia czaszka, przystrojona w fez turecki, z fajką w wyszczerzonych szczękach.

— Ależ to wcale nie humorystyczne i nie malownicze, — szeptał konsul, wzdychając okiem po czaszce.

— Jak dla kogo, — dorzucił gospodarz. — *De gustibus non est...*

— Co pan mówi?

— Że o gustach dałoby się wiele do pomówienia.

— O, pan ma gust stanowczo artystyczny, — rzekł konsul, cmokając ustami, — pan ma gust...

— Może szanowny sąsiad pozwoli papieroska?

— Łaśniewski, chodźno, konsul chwali mój gust, — szeptał Fracewicz do kolegi.

Z za kotary rozległo się chrapanie.

— Arcy, arcy gust.

— I czemuże to objawił się ten mój arcy... tak pan powiada? ten arcy gust?

— Łaśniewski, nie udawajże, jucho, i chodź tutaj. We dwóch lżej będzie przyjmować szanownego konsula.

— ...Że to palce lizać, — kończył stary.

— A dlaczegóż nie stopki? Czyżby i na przedmiot lizania nastąpiła teraz moda?

— Łaśniewski, chodź, bo cię obleję pokostem.

— Moda nie moda; lecz, widzisz pan... Przepraszam, ale zapalę swoje cygaro. Wasze papierosy są... — tu wstrzymał się, jakby nie znajdując odpowiedniego wyrażenia się...

— Za lekkie...

— Ot, to właśnie chciałem powiedzieć.

— Trzymaj się, Fracewicz, a najlepiej weź go z góry za kark i za drzwi, — rozległ się znowu doradczy głos Łaśniewskiego.

— Tylko, widzi pan, — kończył stary, — palce oznaczają co innego...

— A stopki co innego. Szanowny konsul ma zupełną słuszność. Lecz, właściwie, o czym to chcieliśmy mówić?

— Czy pan nie ma jakiego obrazka na sprzedaż?

— Nie wierz mu, — szeptał Łaśniewski.

— Czy konsul seryo myśli o kupnie?

— Zupełnie seryo.

— I za gotówkę? — dorzucił Łaśniewski.

— Naturalnie.

— Ale w monecie kurs w kraju mającej?

— Nieinaczej.

— I to chęć nabycia mej pracy była jedynym powodem pańskiego przybycia tu do nas aż na trzecie piętro?

--- Zapewniam pana.

— Niech się przysięgnie, — radził Łaśniewski.

— Słowo honoru?

— Ależ słowo, słowo! Nie rozumiem, dlaczego bym nie mógł dać wam coś utargować z wolnej ręki? Zkądże ten niepokój?

Z alkowy ukazał się Łaśniewski.

— Witaj, szanowny sąsiedzie i łaskawco, — wołał, wyciągając ku niemu obie dłonie. — Przebacz, że aż dotąd nie mogłem go przywitać, gdyż dopiero co wstałem. Ale pozwól, — dodał, — że tę laseczkę postawię w kąciuku.

Tak zaczęły się komplementy, uściski, po skończeniu których Łaśniewski wyciągnął z za parawana obraz mały, ale rzeczywiście ładny, przedstawiający kobietę nagą, bawiącą się z kotką na puszystym tureckim dywanie.

Staremu rozszerzyły się powieki, oczy błysnęły... Drżącymi rękami schwycił za obraz.

Patrzył, lubując się kolorytem, cudownymi liniami ciała.

— Hm! hm! — szeptał. — Ale też model, bo model... Chociaż ten dywan, to zupełnie taki sam, jak mój.

— Robiony intuicyjnie, — dorzucił Łaśniewski.

— Wiele chcesz pan za niego?

— Nic.

— Fracewicz, — szepnął rozpaczliwie humorysta, — nie mamy ani grosza, a tu randka...

— Chcesz, żeby ci mąż dał na randkę z swoją żoną?

— Jakto nic? — pytał stary.

— Przyjmij go pan odemnie w dowód szczerego uznania jego wiedzy i prawdziwie patryarchalnej gościnności.

— Gościnności? Któż panu o tem mówił?

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. A owe proponowane czwartki?... My, szanowny konsulu, mamy stosunki z całym domem — przez kuchnię.

Iza wspominała, iż chcąc ich wprowadzić do siebie, proponowała mężowi wieczorki czwartkowe, lecz ten ani dał sobie o tem mówić.

— Ach, te wasze stosunki, stosuneczki! — cedził konsul. — Mówiąc tak otwarcie, między nami, wy macie cudowne stosuneczki i, jeżeli chcecie okazać mi swą uprzejmość i jaką taką życzliwość, to po pierwsze: weźmiecie za ten obraz to, co daję, powtóre pogadamy obszerniej i swobodniej o tych stosuneczkach.

— Nie ma głupich, — szepnął Łaśniewski, podejrzliwie cofając się za kotarę.

W tem rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

Powieki konsula po raz wtóry szeroko rozwarły się, a rumieńce wybiegły na oblicze, gdy, przeciwnie, twarz Fracewicza pokryła się bladością.

— Łaśniewski, ona! — krzyknął, zrywając się, aby podbiec do drzwi i ostrzedz, gdyby to przypadkiem była Iza.

Konsul trzymał go za połą.

— Pozwól, niech sam otworzę, — błagał.

— Ależ, ja tu przecie jestem go-

spodarzem, -- odparł Fracewicz, trzymając się ze swej strony poły konsula.

-- Pozwól się wyręczyć...

— Za nic w świecie!...

Malarz nie wiedział, co ma począć.

Łaśniewski przypadł.

Użył więc ostatniego zaklęcia.

— Konsul narazi swą dobrą reputację, jeżeli go zobaczą z kim takim...

— Właśnie dla tego chcę drzwi otworzyć, aby za nie schować swą dobrą reputację...

W tej chwili zawiasy skrzypnęły, ukazał się koszyczek i jednocześnie rozległ się głos:

— Czy panom, przypadkiem, czego nie potrzeba?

Fracewicz, ciężko oddychając, puścił połę i upadł na krzesło, konsul zaś przykucnął za parawanikiem.

— Sto rubli dam za obraz, tylko zapoznaj mnie, — szeptał do malarza.

Bronka usłyszała głos jego i z góry spojrzała za parawan.

-- E, to ten stary, — rzekła, robiąc w swoim rodzaju wspaniałą gry-

mas, — na to jeszcze mam czas, — do widzenia!

I przesławszy Fracewiczowi całusa, zgarnęła w rękę sukienkę i zniknęła za drzwiami.

— A co, nie mówiłem? Gdybym się był schował za drzwi, toby została, a tak... Ależ śliczna, bestyjka, bo śliczna. Niech ją lichy weźmie! Musicie mnie zapoznać bądźcobądź, — wołał wzburzony.

— To już rzecz Łaśniewskiego.

Ruda głowa humorysty znowu ukazała się z za kotary.

— Oto wasze pieniądze za obraz. Zajdcież do mnie. Co czwartki przyjmujemy. Zgoda?

— Zgoda, zgoda! -- wołał Łaśniewski, zgarniając szybko pieniądze, aby Fracewicz znowu nie wyrwał się z odmową.

— Odprowadzę konsula kawałek, to pogadamy w tamtej materyi, — dodał.

-- Do widzenia!

— Do widzenia! — odparł malarz.

Po chwili wrócił humorysta, niosąc

pod pachą najrozmaitsze pakunki, butelki, pudełeczka.

— No, jazda teraz na Saską Kępe!..

— Ależ z ciebie kolega, bo kolega! Niech cię лихо porwie z takim koleżeństwem!

— Mój kochany, przypomnij sobie, com ci powiedział. Jeżeli ja wywołam »sytuację odpowiednią«, to twoje; jeżeli ty wywołasz — kije, to także twoje. I jeszcze ci źle? Czegóż chcesz więcej odemnie? Jestem tylko — słowny.

— Albo sprzedaż tego obrazka! Co powie Iza, jeżeli zobaczy siebie u męża? Toć to miecz Damoklesa!

— Mój kochany, nie zwracaj sobie pendzla! Po pierwsze, stary przysiągł mi się na wszystko, że obraz będzie chował jak relikwię, w zamknięciu, modlił zaś do niego w skrytości przed żoną; a że dotrzyma przysięgi święcie, to wiem już bez przysięgi, gdyż myśli, że to podobizna Bronki. — Powtóre wszystkie kobiety są jednakowe, jeżeli tylko zasłonisz im głowę i potrzy masz trochę na dobrym wikcie... Taki to dobry por-

tret pani Izy, jak Bronki. Kto się dzisiaj bawi w szczegóły? Chyba malarze pokojowi, albo — impresyoniści!

— Nie błaznuj! — Która z kobiet może być podobną do Izy?!

— Ha! ha! ha! Znow powracamy do dawnych amatorów... Niech żyje miłość i — golizna! — No, przekaś to paskudztwo parą bułeczek z serdeliankami i popij za zdrowie dobrodzieja konsula. Niech żyje!

To mówiąc, jednym haustem grzmotnął kielich siwuchy.

Fracewicz zrobił toż samo, nie mówiąc, za czyje zdrowie.

Dłuższe i koleżeńskie niejako obcowanie z Izą rzeczywiście wpłynęło na Fracewicza w kierunku wskazanym.

Kochał ją.

Kochał i za jej kształty cudowne i za uczciwość, i za wesołość, i za jej odrębną od innych moralność.

Była-bo w tej kobiecie jakaś dziwna mieszanina obojętności na pozory, jakby umyślne narażanie się na postępowanie

wręcz odmienne, aniżeli inni, i razem — surowe przestrzeganie zasad etyki.

Zachowaniem się swoim drażniła go, dając raz pewne nadzieje na przyszłość, to znowu suchą oziębłością doprowadzając do rozpacz.

Wreszcie, nie wiedząc, co ma już o niej sądzić i co robić, aby przypodobać się, nie wiedząc nawet, komu bardziej sprzyja — jemu, czy humoryście — stracił wszelką ochotę do oryentowania się, naśladowując w tem żeglarza, który, wpadłszy w wir wodospadu, wypuszcza z ręki wiosło, kładzie się na wznak i z zamkniętymi oczyma oczekuje biegu niechybnych następstw.

Myśl o konkursie nie opuszczała go jednak ani na chwilę.

Coraz częściej począł wspominać o napotykanym trudnościach; raz nawet, gdy Iza była w bardzo dobrym humorze, napomknął o pozowaniu.

Z początku spotkało go silne zburzenie. Poznawszy jednak, jak wiele mu na niem zależy, ze zwykłą sobie lekko-myślnością rzekła :

— A więc dobrze, zgadzam się, jeżeli ta moja zgoda może przysporzyć panu chociażby odrobinę sławy. I niech ona służy za dowód, jak dobrze ci życzę. Lecz wprzód przyrzeknij mi, że nie będzie widać mojej twarzy.

— Dobrze! — rzekł malarz, całując z wdzięcznością jej rączki. A do siebie szepnął: ba, — twarzy! — Kiedy mi głównie o nią chodzi.

Po pierwszej próbie był jak oduurzony.

— Dziwna kobieta, dziwna kobieta! — wołał do siebie. Zgadza się na wszystko, ale nigdy i w niczem nie wychodzi z granic. Dziwny typ, dalibóg!

W taki to sposób w kilka dni po wizycie konsula, dwaj koledzy znaleźli się u państwa Frasuńskich.

Pan domu wielce był miły i z należytym uznaniem odzywał się o Fracewiczu, być może dlatego, że ten stale stronił od pani Izy.

Za to Łaśniewski używał za dwóch.

Grał z nią na cztery ręce, jak Mozart, śpiewał przy jej akompanjamencie,

jak anioł, a przy kolacyi, asystując gospo-
sposi, poprostu, zajadał się, pił zaś za
sześciu desperatów.

Przytem tak potrafił zjednać sobie
starego, że ten chodził wciąż koło nie-
go i ze wszystkich stron ogłądał, mó-
wiąc z zadowoleniem:

— Ten — to udał się!

— Czy nie zauważyłeś, — rzekł Ła-
śniewski do kolegi, gdy wyszli na pa-
pierosa do drugiego pokoju, — jak to
wiele znaczy mieć czyste sumienie? Po-
wiadam ci, takem obżarł się, że literal-
nie trzeszczą na mnie guziki, a lacek
od kamizelki pękł już zaraz przy pierw-
szej próbie. Ale to bagatele! Bronka,
z swem wiecznem: czy panom czego
nie potrzeba?... ogromnie będzie rada,
że raz przynajmniej zdarzy się jakaś re-
paracya.

Wpadła też staremu w oko, wpadła!

Jak począł obściskiwac mnie za nią,
takem chciał mu huknac nad uchem:

— Dureń jesteś, mój stary, żeś się
zenił z młodą kobietą! Ot, nie obściskuj
mnie lepiej, a jej pilnuj!

Konsul, w istocie, bardzo polubił Łaśniewskiego i robił wszystko, co tylko zaśpiewał humorysta.

Złożył wizytę Wilskiemu, zgodził się na zebrania koleżanek żony z lat pannieńskich i kolegów humorysty, zgodził się nawet służyć, jako model, do satyra Fracewicza...

Za te ustępstwa miała być jednak nagroda, że to palce lizać, — jak sam kończył.

Łaśniewski przyrzekł.

Właśnie zebrania owe już odbywały się w najlepsze, gdy przyjechały do Warszawy panny Wilskie.

Obie nieco poszczuplały, ale wyglądały prześlicznie.

Trafiły na posiedzenie koleżanek.

W budoarze pani Izy, umeblowanym w guście chińskim, w pół zmroku, na pufach, taboretach i kanapkach siedziało i leżało kilka panien.

Dym z papierosów obłokami gęstymi zwieszał się ku ziemi.

Stojąca lampa, przyćmiona zasłonką jaskrawą, rzucała krwawe blaski na

blade i delikatne twarzyczki zasłuchanych w słowa prelegentki.

— Czas już, — poczęła jedna z nich — aby społeczeństwo wyzulo się z onuczek, któremi krępuje umysł swój, i podobnie jak ćwierć wieku temu przyznało, iż kobieta nie tylko jest lilią i aniołem, lecz i człowiekiem zarazem, obecnie, po upływie tyloletniej walki z przesądami, doszło do następnego wniosku, iż człowiek-kobieta ma te same potrzeby i wymagania moralne i fizyczne, co człowiek-mężczyzna: aby odczuło potrzebę wyzwolenia się z tych zasad, które krępują i poniżają jednostkę płci żeńskiej.

Mam zamiar mówić tu o różnicach w pojęciu honoru mężczyzny i kobiety, o kwestyi tak zwanych kobiet «upadłych».

Po określeniu pobieżnem tego pojęcia, prelegentka w ciągu dalszym poczęła:

— Rozpatrując się w położeniu kobiety przed emancypacją, właściwie do XIX wieku i po podniesieniu sprawy wyzwolenia, to jest, w wieku bieżącym,

spostrzegamy chronologiczne polepszenie jej bytu pod względem materialnym, umysłowym i nadewszystko moralnym, gdyż, o ile kobieta pierwotnie grała rolę, jako samica, później jako matka, bieg dziejów zmusił umysły liczyć się z nią jednocześnie, jako z członkiem społeczeństwa.

Lecz zarazem spostrzegamy fakt nie logiczny uderzającej niesłuszności, jaki spotyka wiele kobiet pod tymże samym względem, a mianowicie: gdy z jednej strony przyznano wagę wielką dla społeczeństwa skłonnościom moralnym kobiety, z drugiej odrzucono wszelką możliwą jej rehabilitację, zwalając na nią całą hańbę tak zwanego upadku, bez apelacyi i bez możności poprawy.

Czyż to słusznie?

Z rozbioru kwestyi powstania pojęcia o honorze, widzimy, iż ono zrodziło się w wiekach względnie cywilizowanych i że różnem jest nietylko dla jednostek, ale i dla całych narodów.

A ponieważ od dawna już mężczy-

zna występował w roli czynnej najrozmaitszej: męża, polityka, wodza i żołnierza, ztąd pojęcie o honorze mężkim nie mogło zasklepić się w jednym jedynym tylko kierunku jego działalności, jak to stało się przy zdawaniu sobie sprawy o honorze kobiety.

A że szczytnym ideałem chrześcijaństwa była i jest — dziewica, ztąd orzeczono, iż wszystkie te, które są w rozterce z tym ideałem, nie mają honoru. (Żywe zaprzeczenia).

Bo honor kobiety, podług pani Georg Sand, jest jej czystość. (Zaprzeczenie).

Rozumiecie, panie, co to znaczy? (Wybuchy tłumionego śmiechu).

Czyż to nie śmieszne, aby i dzisiaj. wobec tak silnie tryskającego źródła emancypacyi kobiet pod względem materialnym i umysłowym, dzisiaj, w chwili, kiedy kobieta może wystąpić nie tylko jako żona, lecz i jako członek społeczeństwa, pełen wagi i znaczenia w historii narodów, aby dzisiaj — powiadam — kiedy zakres działalności kobiecej coraz bardziej się zbliża do za-

kresu działalności męskiej, liczono się z jej wpływem tylko w jednym jedynym kierunku pierwotnym, nie mówiąc już nic o zupełnym jednocześnie braku konsekwencji wobec pobłażliwego usposobienia moralności pozytywnej do głównego winowajcy — mężczyzny?! (Żywe oklaski).

Po rozważeniu tych wszystkich danych, przyjdziecie panie do wniosku potrzeby reakcji, która może nastąpić wtedy tylko. jeżeli kobiety, stanowiące wykwit emancypacji, będą starały się wszelkimi siłami o sprostowanie tak barbarzyńskich pojęć. (Oklaski).

Proponuję zatem na dzisiaj założenie towarzystwa kobiecego pod tytułem »Towarzystwo Mizeryi«, którego członkinie zwałyby się »płatkami«, ze statutem następującym:

§ 1.

Każdy członek towarzystwa »mizeryi«, tak zwany »platek«, powinien wiedzieć, głosić i być przekonany, iż co wolno mężczyźnie, to wolno i kobiecie, z całą

jednak odpowiedzialnością za następstwa czynów.

§ 2.

Hańbią kobietę tylko te czyny, które przynoszą ujmę honorowi mężczyzny.

§ 3.

Obowiązkiem każdego »płatka« jest :

1) w czynach nie krępować się żadnymi pozorami, żadną tradycją, żadnym, chociażby uświęconym, przesądem : najwyższym sędzią postępków jest własna o sobie opinia ;

2) środkami możliwemi rozprzestrzeniać pojęcia, uważane za godne tego na specjalnych zebraniach towarzystwa i t. d. i t. p.

Mężczyzn z towarzystwa wykluczono.

Na prośbę jednak niektórych pań, szczególnie pani Izy, dodano paragraf, iż ci z mężczyzn, którzy, rekomendowani przez panie, okażą się godnymi tego, mogą zapisywać się na zwyczajnych »płatków« i przychodzić na zebrania większe, tak zwane ogólne.

Dla ścisłości trzeba dodać, iż jedna

z obecnych proponowała, aby zebrania większe poprostu nazwano «herbatką tańczącą».

Należało następnie wybrać kilka członkiń na rozmaite godności towarzyskie.

Prezesem obrano jednomyślnie obecną Wandę Otocką, członkiem założycielem Izabelę Frasuńską, Jankę i — pomimo protestu — Helenę Wilską.

Autorkę referatu, Maryę Boską, rzeźbiarkę z amatorstwa, dla swych oczu skośnych, rysów twarzy nieregularnych i żywych, dla długich cienkich rąk, przezwana «Magot» — na sekretarza.

Na członka korespondenta zaproszono z kuchni ciocię Manię.

— Ależ moje kochane, czego wy odemnie chcecie? Mam lat 40, jestem i będę kobietą uczciwą, dobrze gotuję i to mi wystarczy na sądzie ostatecznym.

— Tu nie idzie o uczciwość cioci — zawołała żywo Iza — niech ciocia podpisuje, że duchem lub ciałem będzie na zebraniach i — basta!

— I cóż to tam napisano — dodała pani Marya, patrząc na papier przez binokle — o jakiejś mizeryi? — Może jeszcze bez śmietany? Moje kochane, ależ takiej surowizny nie żądajcie odemnie na waszych zebraniach... Podczas rozmaitych chorób, jak obecnie, strach pomyśleć, ile niedobrego może narobić taka mizerya! A później — na kogo zwałą nieszczęście? Na mnie! Tyś stara, tyś taka, tyś owaka, pilnujże chociaż kuchni!

Na członków zwyczajnych zapisano kilka pozostałych panien.

Siedząc po kątach, zawzięcie paliły papierosy.

Jedna z nich, Stasia Rabkowska, blada, anemiczna, nie paliła, za to gryzła ustawicznie, co chwila wyjmując z kieszeni, ziarnka palonej kawy.

Wargi i dziąsła miała blade, rączki prześliczne, jakby wytoczone, maleńkie, o paznogiach różowych, dobrze utrzymanych.

Druga, Zosia, siostra jej, namiętnie zaciągała się, puszczając kółka dymu.

Była to żywa, wesola i zręczna panna, o cerze twarzy zwiędłej przedwcześnie pod warstwą lichego pudru.

Ta miała prześliczne ząbki i lubiła naśladować chód mężki.

Obie chodziły na lekcye malarstwa na porcelanie.

Trzecia koleżanka, Władzia Korczyńska, wyglądała, jak niedoszły seminarzysta w spódnicy.

Włosy, krótko ostrzyżone, często odrzucała ręką — po mężku.

Deska piersiowa płaska, kibić nikła, krój sukni prosty, nadawały jej wygląd niewyraźny, niesympatyczny.

Ta, paląc papierosa, dym puszczała nosem.

— Wiecie co, moja Izo — rzekła Magot — wczoraj wieczorem jadłam kotlet barani i tak mi teraz niedobrze robi się po nim, że chętnie napiłabym się kieliszek alkoholu w jakiegokolwiek bądź postaci.

— Bardzo mi to na rękę, — odrzekła Iza, — która nawet pośród panien tak urodziwych, jak Helena i Wan-

da nic nie traciła na wdzięku rozbawionego dzieciaka, — bo kiedyśmy już załatwiły kwestye tak poważne, możemy sięść do stołu i spożyć to, co nam raczyła przygotować ciocia. Pozwólcie na zakąski.

Magot, jaką pijasz wódkę?

— Jeszcze pytacie się? Może mam odpowiedzieć, jak ów zawiany?

I poczęła opowiadać, udając pijanego.

— Ja-rzę-binowa... nie; per-ka-li-kowa... nie; czista... nie; ek!... czista, bo mi się jeszcze — przypomniała.

— A wy?

— My? — czystą! — odezwały się na trzy tony głosy panien Rabkowskich i Korczyńskiej.

Helena i Janka odmówiły.

Wogóle w zachowaniu się ich znać było przymus i niesmak. Obecność Wandy, do której miały tyle urazy za brata, paraliżowała wrodzoną żywość Janki i uprzejmość Heleny.

— Nie udawajcie, moje kochane.

— Stanowczo nie pijemy.

Druga kolejka także je ominęła.

— Wiecie, moja Wando, — mówiła Magot, — wczoraj wieczorem jadłam kotlet barani i tak mi niedobrze robi się teraz po nim, że pozwolicie? — Tu nałała: — w ręce wasze!

— Chłop do chłopu, pan do pana, cygan do cygana, złodziej do złodziejki, a ja w ręce waćpanny dobrodziejki! — i jednym tchem wychyliła duży kielich alembikówki.

— Magot, urźniecicie się, duszko, i po tym kotleciku baranym znowu będziemy was musiały odwozić, — przestrzegała Władka. — Chociaż przegryźcie kawałkiem śledzia.

— Śledzia? — piwa!

— Jakto? — pytała Iza.

— W wieku pesymizmu, newrozy i katarynkowych tematów, — jak powiada pewien sympatyczny swojski psycholog, — można pozwolić sobie na takie zadowolenie gustu za cenę dwóch złotych! Macie na dorożkę, — tu rzuciła pieniądze na stół, — piwa na przegryzkę!

— Izo, kaźcie dać na przekąskę po wódce piwa! — zapiszczały jednogłośnie ukontentowane wybrykiem Magot panny Rabkowskie i Korczyńska.

Wanda zaprotestowała przeciw temu żądanie.

— Dajcie już pokój, bo wyjedziecie zagranicę bez biletu.

— Tembardziej, nie potrzebujemy kontrolerów, — odparła Magot obrażona. Widać same boicie się urżnać, aby się z czem niepotrzebnem nie wygadać. Stasiu, w ręce wasze!

Ta ze swej strony zwróciła się do Wandy.

— Arystokratko kochana, w twoje ręce: daj nam Boże, abyśmy miały tłuste dzieci i żeby te dzieci miały długie nogi, aby przed komornikiem mogły dobrze uciekać! I jednym haustem wychyliła kielich.

-- Górą Staśka! — zawołała Magot, — mówi mało, ale dobrze...

— Pije! — dokończyła Wanda.

— Cóż jej do głowy przyszło z temi dziećmi? — protestowała Władka.

— No, tobie one wcaleby nie zaszkodziły, — odparła Wanda, — przynajmniej możnaby było poznać przez pewien czas, że jesteś kobietą.

— Kobietę dzisiejszą, — odparła ta z godnością odpowiednią, — można poznać nie tylko po dzieciach.

— Ciekawam, po czem innem możnaby ją poznać w tobie?

— Dajcież pokój kłótniom, — zawołała Magot, — wiecie co, Heleno, wczoraj wieczorem jadłam kotlet barani i tak mi się niedobrze robi teraz po nim, że pozwolicie, — tu nalała duży kielich, — co? nie chcecie?

— Dobrze, ale allaszu i to mały kieliszek.

— Co? allaszu?! Takiemi mdłościami nie chcę dybać na wasze cenne zdrówko. No, pijemy — czyje zdrowie?

Zosia usiadła do fortepianu i zaśpiewała z chłopska, a za nią inne:

A cyjez to zdrowie, cyje?

Oj, tej pani, co to pije.

Niechaj pije do upicia,

My jej zycym sto lat zycia!

— Wiwat!

— Izo, jeżeli chcesz, ażeby one ja-
dły co, to zabierz te koniaki i wódki, —
zawołała, wpadając na ten widok w swój
zwykły humor, Janka. — One tak ciągną,
jak gdyby miały za kwandrans umrzeć.

I miała rację.

Mieszanina, jaką pochłaniały w zna-
cznej ilości, odebrała im apetyt i za-
wróciła w głowie.

Daremne były prośby gospodyni i
ciotki.

Wreszcie jedna z nich poczęła śpie-
wać kuplety, druga siadła do fortepianu,
pozostałe, zzuwszy z nóg buciki, po-
częły tańczyć na bosaka.

Zostały przy stole Wanda, Helena
i Janka.

Wanda pierwsza spróbowała roz-
mowy.

— Panie na długo przyjechały do
Warszawy?

Obecnie były z sobą na »panie«.

— Pierwotnie miałyśmy zamiar po-
siedzieć tutaj dłużej, lecz brat wyjechał
zagranicę, musimy wracać.

— Ani myślcie o tem, — wtrąciła

gospodyni, — przeproszę rodziców, ale was zatrzymam. A ty, Wando, jak długo zabawisz?

— Zapewnie dni parę. Mam zabrać ze sobą starego znajomego — niejakiego pana Niwickiego.

Na dźwięk tego nazwiska, Helena zbladła, ręce jej lekko zadrżały i poczęła zacierać je gorączkowo.

— To pan Niwicki w Warszawie? — pytała Janka.

— Pisał właśnie do rodziców, że chciałby do nas przyjechać na dni kilka. Daleki to nasz powinowaty. Bardzo sympatyczny, miły i energiczny. Rodzice lubią go bardzo.

— Powiedz, Wando, szczerze, — pytała gospodyni, — zagiełaś na niego parol, czy nie?

— To się zobaczy.

— Tylko z tym ostrożnie, bo to bałamut i do tego bezwzględny, — radziła pani Iza.

— A cóż mi to szkodzi, że bałamut? To nie ze mną. Właściwie lubię flirt nawet taki — pikantny.

— Tylko, że takie flirty... pikantne, jak je pani nazywa, nie zawsze dadzą się tak łatwo tuszować, — dorzuciła Janka.

— Izo, daj mi trochę wody, — szeptała Helena.

— Co tobie, czyś nie chora?

— Nie, tylko... ten dym papierosów tak mi źle robi.

— Poczekaj, zaraz otworzę wentylatory. Ot tak, no, cóż? — przechodzi?

— Dziękuję.

— Kobieta lepszego towarzystwa, — z właściwym sobie spokojem odparła Wanda Jance, — niczego nie potrzebuje tuszować. Tylko poczciwa parafia zwykle najmniejszy nawet flircik kończy historycznym związkiem Numy z Pompiliuszem.

— A pani do jakiej zalicza się parafii? — podchwyciła Janka.

— Od niejakiegoś czasu jestem bezwyznaniową. Kto chce, ażebym przestała z nim flirtować, niech mi zaproponuje — małżeństwo.

— Winszuję.

W tej chwili, przerywając przykrą rozmowę, wbiegły rozbawione koleżanki, dysząc ze zmęczenia.

— Izo, zróbcie już zupełnym ten piknik, poszlijcie po szampitra i sprowadźcie jakich chłopców!

— Ha! ha! ha! — śmiała się gospodyni, — oto na czem skończyły się wasze prelekcyje! Sprowadzić wam chłopczyków! Poczekajcie, zaraz mąż mój wróci od Łaśniewskiego, to będzie was zabawiał.

— Fi, taki stary!

— Ale zawsze chłopczyk.

— To chociaż postawcie szampitra...

— Dobrze, ale małe półbuteleczki i po nim nic więcej.

Szampan, jakkolwiek podany w małej ilości, dobił do reszty i tak słabą inteligencyę rozbawionych towarzyszek.

Zmęczone, zadyszane, padły po tańcu na fotele, krzesła, szezlongi, gdzie stały, i kładąc bosc nogi na stół, zaczęły śpiewać urywki z operetek.

»Jeden z nich patrzył przez szkło...

»Ach, co on tam widział, co?«

Wreszcie Stasię porwał śmiech spazmatyczny.

— Izo, patrzajcie, — wołała Magot — jak ta Staśka urzęnęła się, — i pomagała tamtej śmiać się.

— Dajże pokój — mówiła Wanda. Idź, ubieraj się. Sama zaledwie trzymasz się na nogach.

Magot powiodła bezmyślnie ręką po oczach i chwiejnym krokiem poczęła zbliżać się do otomany.

Wtem, nagle porwana napadem histerycznym, padła na ziemię.

Dla wrażliwych oczu widok ten był straszny.

Rzuciła rękami, biła niemi o posadzkę, wstrząsała się całym ciałem.

Oczy szeroko rozwarte nabierały wyrazu przerażenia, drżała, jak w febrze, od czasu do czasu wymawiając zdania urywkowe.

— Oto wasze zebrania, oto wasze wyzwoliny, oto wasze uzdrowienie społeczne, — wołała z zaciętością niezrozumiałą dla obecnych Helena, biegnąc z pomocą.

Inne stały bezradne, napoły ledwie wytrzyźwione, lub próbowały przyjść jej z wyręką.

— Nie ruszajcie mi jej, a najlepiej idźcie już sobie do domu, wy, które swemi dążeniami, zasadami i zachowaniem się potraficie pchnąć do zguby nie tylko duszę, ale i — ciało.

I zręcznie, z całą przytomnością, przy pomocy Janki i panny Maryi rozebrawszy chorą, powoli domowymi środkami zdołała wpłynąć na złagodzenie i uspokojenie szału rozhukanych nerwów.

W pierwszej chwili i Wanda popieszyła na ratunek, lecz Helena odsunęła ją prawie szorstko.

— Niech pani nie zbliża się. Tutaj mogą być przydatni tylko parafianie.

— Co tej Helenie stało się? — szepotały pomiędzy sobą na wychodnem. Dawniej była pierwsza pomiędzy nami, a dzisiaj..

Po rozejściu się koleżanek, siostry zostały same w przeznaczonym dla siebie pokoju.

— Ach Janko, Janko, — szeptała Helena, tuląc się w jej objęcia, jak mnie serce boli, jak mnie ono boli!

Czemum dopiero dzisiaj spostrzegła, jak utopijne i straszne dla jego spokoju są dążenia tych wyemancypowanych emancypantek?

Może zasady ich dobre dla dusz wyjątkowych, dla charakterów silnych, męskich, przetrawionych, lecz dla zwykłej kobiety, z podkładem charakteru niewieścim i umysłem słabym, jakże zgubne mają one następstwa!

Boże, mój Boże, co się ze mną dzieje i co się ze mną jeszcze stanie!

— Cicho moja droga, uspokój się — prosiła Janka, nie mogąc utulić jej żalu. Powiedz mi, co tobie? Przecie wiesz, jak bardzo kocham cię, jak mi drogi twój spokój, tve szczęście... Dawniej byłaś taka wesoła, taka swobodna, a dzisiaj, od czasu, jak przyjechał do nas ten Niwicki...

— Milcz, milcz! Nie wymawiaj przy mnie nazwiska tego człowieka. Ja nie chcę słyszeć nic o nim. Ja chcę zapo-

mnieć o wszystkim, co pomiędzy nami zaszło, chcę zagłuszyć w sobie wszelki, najmniejszy nawet oddźwięk, przypominający jego przyrzeczenia, przysięgi i jego samego.

A takie silne było jej uczucie żalu, czy miłości zdradzonej, że drżała całym ciałem, coraz mocniej tuląc do siebie Jankę.

— Może on powróci..

— Cicho, cicho, — szeptała, zatykając rączką jej usta. — Nie opuszczaj mnie tylko, moja droga, i nikomu o niczem nie mów.

O, przyjmij tę moją radę, radę proroczą, którą udzielam ci, jakbym już dzisiaj była poza światem — w oddali — i widziała kres wszechrzeczy: pamiętaj, nie chodź śladami Wandy, pamiętaj!

Pamiętaj!

Te słowa długo brzmiały w uszach Janki.

Późno — o świcie zaledwie przestała je słyszeć, uśpiona w objęciach złożonej snem siostry.

Na drugi dzień Helena chciała powracać na wieś.

Wzgląd jednak na siostrę, a może i pewna nadzieja, która nie opuszcza do jakiegoś czasu nawet najbardziej zrozpaczonych, zatrzymywały ją w Warszawie.

— I cóż wy tam będziecie robiły? tłumaczyła Iza. — Wkrótce rozpoczną się codzienne deszcze, wichury, śniegi i ciemności egipskie od godziny trzeciej. Ani to tam betonów, ani gazu, ani kanalizacyi, teatrów, ani chociażby na pokaz jednego nawet malarza, któryby na posiedzeniach z miną gęstą studyował drobną zmarszczkę na twoim nosie. Nie, Heleno, stanowczo cię nie puszczę.

— Zostajemy więc? — pytała Janka.

— Ale nie będziecie mnie zmuszały, abym towarzyszyła wam wszędzie i bywała na zebraniach waszych?

— I owszem! Chociaż, doprawdy, nie wiem, dlaczego. Zaledwieś przyjechała, już jeden pan gwałtownie dowiaduje się, kiedy może was zastać w domu?

— Kto taki? — pytała Janka, widząc rumieniec, wytryskujący na blade dotąd lica Heleny.

— Pan Stanisław Lenk.

Rumieniec zgasł bezpowrotnie.

— Bardzo sympatyczny człowiek — dodała Helena.

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się Iza. — Mówisz, jakbyś wygłaszała nad nim mowę pogrzebową.

— Wcale nie, — przeczyła Helena.

— A czy nikt więcej nie pytał się o nas? — rzekła Janka, nie mogąc wstrzymać dłużej swego nieukontentowania.

— A pytał się, niejaki pan Teodor Li... Li... zdaje się kupiec kolonialnych towarów.

— O, przepraszam cię bardzo, to Liwski.

— Ha! ha! ha! — A to mi się udało! — wołała Iza. — Nie przypuszczałam nawet, że mam takie zdolności dyplomatyczne. Od jednego rzutu do-

wiedziałam się, że pan Lenk *à bas*, a pan Liwski *vive*! Ha! ha! ha!

Z nią razem roześmiały się i obie siostry.

— Rozgospodarujcież się zatem na dobre, a ja tymczasem, korzystając z nieobecności mego starego, pójdę na miasto.

Wkrótce po wyjściu Izy, przyszli panowie Lenk i Liwski.

— Uważa pani, — począł Lenk do Heleny, po przywitaniu się, — poemat mój gotów. Ma łokieć długości uczciwej, polskiej miary, lecz, niestety, nie wiem, czy to, co napisałem, pozyska względy.

Ile bowiem razy, przywiódłszy sobie na pamięć boską melodię i głęboko melancholijne spojrzenia kapłanki mojej, zacząłem brać się do pracy, zawsze ogarniały mnie myśli najsmutniejsze i wyrzuty żalu przeciw naturalnemu porządkowi rzeczy: że nie mogę słyszeć tych tonów, że nie mogę mieć przy sobie — tych oczu.

Myśl moja buntowniczo podnosiła się dalej, sięgała wyżej, ogarniała wszech-

świat, solidaryzowała z nim, odczuwała wszelkie bóle i rozpaczę ludzi niezadowolonych i promoteuszową skargę wiązała rytmem poezji.

Tak powstała moja »ostatnia spowiedź«.

Jest to spowiedź człowieka, który umiera śmiercią dobrowolną.

Tu wyjął z bocznej kieszeni tużurka arkusik zapisany i doręczył go Helenie.

— Niech pani nie czyta tego. To same brednie, bez natchnienia i sensu, ot tylko dla dotrzymania obietnicy pisane.

Widzę to dzisiaj jaśniej, aniżeli wtedy, kiedy tworzył, i podarłbym je, gdybym wiedział, że co lepszego napiszę. Usposobienie moje, jak fatalność, ciąży nad memi utworami, i dlatego wszystkie one nic nie są warte.

Potrzeba pisania jest męką podobną do tej, jaką przechodzi zwierzę, obracające kierat.

Tylko, że temu chociaż oczy zawiązują!

— Dziękuję bardzo za pamięć, — rzekła Helena, — i niechże pan tak źle nie mówi o sobie.

Ja bo, — mówiąc otwarcie, bardzo lubię czytać pańskie utwory. W nich spotykam te pożądane cechy, które obecnie trafiają się bardzo rzadko: głęboką myśl, szczerłość i zapał.

Dziękuję panu jeszcze raz za pamięć i za dotrzymanie przyrzeczenia.

— Panno Janino, — oponował Liwski, — niechże chociaż pani ujmie się za tą bezmyślną, obłudną i chłodną literaturą naszą.

— Gdyby Helena знаła tak dobrze, jak ja, szczerłość i zapał niektórych przedstawicieli literatury doby bieżącej, — tu zrobiła »oko« na oponenta, — zapewne inaczejby głosiła: przebaczymy im, albowiem nie wiedzą, co mówią.

To rzekłszy, skierowała swe kroki do drugiego pokoju, a za nią szedł Liwski.

— No jakże, — pytała, gdy znaleźli się sami, — czy źle zrobiłam, żeśmy tak wcześnie przyjechały?

I wyciągnęła doń obie dłonie.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, — powtarzał, tuląc je w uniesieniu. — Pani nie wie, jakem tęsknił za nią, i gdyby to było w mojej mocy, chciałbym zrobić coś tak dobrego dla pani, abyś czuła się szczęśliwą i wynagrodzoną stokrotnie.

— Czy to nie jest w pańskiej mocy? — pytała cichutko, patrząc do bremini i wesołemi oczyma — po swojemu, prosto w jego oczy.

— Czyż mógłbym uczynić panią szczęśliwą?

— A ja? — pytała. Czy mogłabym? Czy mogę?

— Panno Janino, Janiu... Janko!...

— Niech mi pan tak nie mówi, kiedy uważa, iż nie może uczynić mnie szczęśliwą!

— Kocham! Kocham panią!

— Cyt! o tem — nie teraz. Chodźmy do salonu, czekają na nas, panie Teo... Teosiu, — szepnęła pieszczotliwie.

Lenk z Liwskim już byli na wychodnem, gdy przyszła pani Iza.

Była blada, usta miała zaciśnięte, oczy rzucały spojrzenia ostre.

Widok gości nie zdołał wpłynąć na uspokojenie jej i pomimo starań znać było przymus i naprężoną pracę woli, aby zapanować nad sobą.

Gdy po chwili, widząc jej pomieszanie i bladość, dwaj koledzy wyszli, z impetem pobiegła do budoarku i, rzucając się na szeslong, zawołała:

— Nikomu już na świecie całym nie można zaufać, kiedy nie można wierzyć nawet artystom - malarzom! Ach, podli ci mężczyźni, podli!

— Izo, kochana Izo, co ci jest, żeś taka wzburzona? Napij się wody, — rzekły siostry, nie mogąc wytłomaczyć sobie ani jej okrzyku, ani przyczyny wzburzenia.

— Dajcie mi spokój ze wszystkim, już niczego nie chcę zupełnie, odejdźcie lepiej odemnie z wodą waszą, albo zamiast wody dajcie mi jakiej trucizny: niech umrę! niech umrę!

I poczęła szlochać, zanosząc się, jak małe dziecko.

Twarzyczka jej, okrągła, niewielka, skurczona boleścią i gniewem, wzruszyłaby nawet najobojętniejszego widza.

— Całe życie byłam nieszczęśliwą, nie znałam nawet ojca, ani matki, wychowano mnie, jak lalkę, i z dorosłą bawiono się, jak z dzieckiem. Wreszcie wydano mnie za męża, nie wytłumaczywszy, co ten mąż znaczy i do tego mąż taki stary, i jakie są obowiązki mężatki...

A ta ciotka Kłosowska — dodała — uważa, że kiedym już wyszła za męża, to nie powinna się wcale zajmować mną: siedzi tylko ciągle w kuchni i pitrasi...

Ciocia Mania, która na głos Izy wbiegła do pokoju, aby zapytać się o dyspozycyę, słysząc takie oskarżenia i widząc zapłakaną i zbolaną siostrzenicę, kochaną przez siebie nad życie, stanęła niema, jak wcielone wyobrażenie Nioby, z warząchwią w ręku, z rozwartemi ustami, a w dodatku z lekkim wąsikiem sadzy pod nosem.

— Iziu, co tobie, — zawołała przyszedłszy do głosu, — co tobie zrobili, mój dzieciaczku kochany? — i poczęła

obcałowywać zalaną łzami ofiarę po-
dłości mężczyzn.

— Jeżeli to ten stary ci doku-
czył, to niech go ręka boska broni
przedemną!

I jednocześnie podniosła w górę dłoń
swą, uzbrojoną w warząchew.

Mimo tak wysoce tragiczną sytua-
cję, obie siostry, spojrzawszy na ciotkę
i siostrzenicę, mimowoli parsknęły śmie-
chem.

Iza zrobiła minę oburzoną.

Przypadkowo jednak spojrzawszy
w lustro, parsknęła śmiechem na widok
wąsów, które i jej się udzieliły od uści-
sków cioci.

— Że też ciocia nigdy nie utrzyma
w czystości swej twarzy, nie mówiąc
już o garnkach!

— Ja nie trzymam w czystości garn-
ków? — I to ty możesz tak powie-
dzieć o mnie, wiedząc, że nic nie robię
więcej, tylko siedzę w kuchni i gotuję,
a kucharkę zmuszam do ciągłego chla-
pania statków?

Nie, takiego podziękowania za tyloletnią pracę nigdybym się nie spodziewała na stare lata.

To mówiąc, poczęła ocierać oczy fartuchem, robiąc jednocześnie z swej twarzy prawdziwie godny obejrzenia krajobraz.

Wtem ręka jej nieruchomie zwiśla, oczy za to poczęły biegać niespokojnie.

— Swąd! — Oto masz Izo odpowiedź na wszystkie twoje wymówki! Zaledwiem wyszła!...

I zapominając o tem, co zaszło, pobiegła do kuchni.

Za chwilę, w przedpokoju rozległ się dzwonek, słychać było przeze drzwi uchylone pospieszne zapytanie. Wkrótce weszła pokojówka, anonsując:

— Pan Fracewicz!

Iza podskoczyła, jak ranione lwiątko.

— Nie ma mnie!

Powiedz mu, że nie ma mnie w domu, ani dziś, ani jutro, ani nigdy!

I znowu rzuciła się na szezlong, wołając z płaczem.

— Podły! — podły wiarołomca!

* * *

List Chrzońskiego do Władysława.

Prosiłeś mnie na odjeźdnie, abym donosił ci, co tu słychać u nas.

Co tu słychać?

Szare zaiste czasy, szarzy ludzie!

Chcąc zadowolnić twoje pytanie, z ciekawością rozglądam się po tym naszym partykularzu i patrzę krytycznym okiem na naszych kolegów i przyjaciółki, mając na myśli twą prośbę.

Wszędzie brak szczerości, konsekwencji w czynach, brak wiary w ideały, brak wogóle jakichkolwiek ideałów, a w szczególności poczucia obowiązku.

Wszędzie unikanie jawności, niechęć manifestowania swych przekonań czynami, jeżeli wogóle może być tu mowa o jakichkolwiek przekonaniach.

Wszędzie pozowanie na geniuszów, na zapoznanych, na dusze niezrozumia-

ne, na rozczarowanie, pesymizm lub newrozę.

Na ustach i w spojrzeniu każdego
chęć ogłaszania: — patrz, ile ja
cierpię!

Co te pisklęta mogą cierpieć, jeżeli
niczego nie odczuwają głęboko?

Co oni i one mogą cierpieć, jakie
bóle znosić, jeżeli od kolebki nauczono
ich, czy też sami się nauczyli, na pla-
nie pierwszym stawiać siebie, siebie
czcić i sobie samym składać ofiary?!

Jakże wążutkim strumykiem muszą
spływać te wyczerpujące siły i czyniące
ich niezdolnymi do walki w imię dążeń
i idei wyższych cierpienia i jak pozio-
mego muszą być gatunku!

Smutne to!

I nigdzie, literalnie nigdzie, nie widać
choćby chęci urzeczywistnienia owej
rady:

— Żyj ze swoim społeczeństwem,
lecz nie bądź jego wytworem; czynь swoim
spółczesnym to, czego potrzebują, a nie
czynь tego, co chwają.

Powodzenie, chęć błyszczenia tanim kosztem, — oto Bóg dzisiejszy!

Byłem wczoraj u Sękowskiego i naliczyłem w jego pokoiku portretów i płaskorzeźb, większych i mniejszych, przedstawiających oblicze zacne »wieszczka« w ramach wspaniałych lub bez ram, sztuk — ani mniej, ani więcej, tylko — ośm.

W jednym małym pokoiku, w którym przecież wypadało zachować nieco miejsca dla takiego Mickiewicza, Słowackiego i innych — ośm podobizn tego mizdrzypiórka!

Był Liwski, Lenk, Chawłowski.

Poszliśmy razem do konsula Frasuńskiego, który od niejakiegoś czasu został bohaterem Warszawy.

Fracewicz wymalował go, jako Satyra, pod postacią zaś Fauny przedstawił jego żonę — i otrzymał na konkursie pierwszą nagrodę.

Rzeczywiście, tak oddać intuicyjnie cynizm z jednej, grozę danego położenia z drugiej strony, może tylko malarz pierwszej ręki.

Pomysł bardzo dowcipny: pani Iza wypadła prześlicznie.

Po drodze rozmawialiśmy, naturalnie o literaturze.

Lenk otwarcie przyznaje się, iż pisze tylko dla pieniędzy, gdyż do żadnej pracy stałej nie jest zdolny, a to, co pisze, uważa za rzecz bezwartościową.

Lubię go za jego wiedzę, talent i szczerłość.

Sękowski otwarcie powiada:

— Nie ja do literatury, lecz literatura do mnie należy.

Przecież to jasne i nie potrzebuje komentarzy, a że typowe, zasługuje na uwagę.

Lewański ma podobno duży talent.

Mówię — »podobno« — bo nic do-
tąd nie drukował.

Zdaje mi się jednak, iż jest to jeden z tak zwanych u francuzów *fruits secs*, to jest ludzi cierpiących na świadomą niemożebność przetworzenia myśli w czyn.

A może to tylko zwykły reumatyk?

Nie lubię go: patrzy z podełba, mil-

czy, łypiąc od czasu do czasu złotemi białkami oczu lub białą powieką.

Narzekałem właśnie przed nimi na ten zanik energii, znamienne w naszej inteligentnej i stanowiącej czoło społeczeństwa młodzieży, przepowiadając bliiski koniec takiemu stanowi rzeczy. Wiadomo bowiem, iż w ewolucyi gatunków przyszłość będzie udziałem energicznych, nieobawiających się wysiłku żadnego, śmiało dążących do walki o byt, słowem do ludzi z wolą.

Tak bywa wszędzie.

U nas kilka jeszcze ważnych przyczyn przemawia za przyspieszeniem tej lepszej przyszłości.

— Jakież to? — pytał Lenk.

— Nadzwyczaj proste — odparłem.

Podług mnie, ta dekadencya, ten brak wiary w ideały, ta bezczynność, wogóle zmiany w uczuciowości i woli, spotyka się jedynie, a conajmniej przeważnie, w osobnikach, pozostających pod wpływem zachodu, jego literatury, jego sztuk pięknych i t. p.

Nie trzeba jednak zapominać, że co

na zachodzie jest kwiatem, ciągnącym soki ożywcze z wybujałego organizmu, u nas — jemiołą, pasożytem, — że nas nic, prócz owczego pędu, nie zniewała do tego, abyśmy brali z wszystkiego, co nam ten zachód daje — tylko trąd rozkładu.

Ogół nasz nie jest zblazowany, ztąd podług mnie, wypływa poczytność takich utworów, w których przedstawieni bohaterowie odwagą swoją robią cuda, siłą swego ramienia wysadzają baszty, ba! — zamki nawet całe.

W dziedzinie sztuk plastycznych nie zatrzyma szerszych mas utwór blady, chorobliwy, dziwaczny, tylko ten, który przedstawia jakąś akcyę, myśl dodatnią.

— Jakkolwiek uwagi te mieć mogą nieco słuszności — odparł Lenk — jednakże przyjrzyj się pan odwrotnej stronie medalu.

Przedstaw sobie przyszłość społeczeństwa podług typu kobiecego, przyjmując za zasadę, iż przyszłość narodów zależy od ilości uczciwych matek.

Za jakie lat kilka, kilkanaście, lub

kilkadziesiąt, — o czas mi nie idzie, — gdy poczną owocować owe panny, marzące o zdobyciu praw mężczyzn w szerokim tego słowa znaczeniu, o udzieleniu dzieciom swych nazwisk, zapewne z powodu przewidywanej trudności dopytania się o ojca, i o wielu rzeczach podobnych, czyż społeczeństwo przyszłe nie będzie społeczeństwem podrzutków bezdomnych, ojców bezdzietnych i matek bezmężnych?

Czyż wobec takiego przewrotu moralnego ambitniejszy pędrak nie plunie jeszcze w łonie matki swojej na nędzę żywota ludzkiego?

Bo taką nadaję wagę, — ciągnął dalej, — roli kobiety w życiu, że gdybym zakochał się w najpiękniejszej —

»...jak aniołek z raj«

i gdybym się dowiedział, iż na jej przeszłości ciąży plama, nie ożeniłbym się z nią, chociażby w imię tego pędraka.

— Przewidujecie, — rzekł Chawłowski, — rzeczy przyszłe, jak cesarz niemiecki, który już dzisiaj obawia się warkoczowej... chińszczyzny.

My, — malarze, — pod tym względem jesteśmy szczęśliwsi: mamy tylko tę troskę na przyszłość, aby nam pendzel nie osychał.

— To też i pendzel ten tak wysoko dzisiaj stoi, — z przekąsem rzekł Sękowski.

— Wyżej, aniżeli pierniczki Hajnego! Wreszcie dotarliśmy do państwa Frasuńskich.

Zebranie było paradne, brakowało tylko Fracewicza i Łaśniewskiego. Podobno pierwszego poddano ostracyzmowi, a szkoda!

Tacy to weseli i sympatyczni koledzy!

Pani Iza była bardzo poważna, chociaż: kiedy ona może być poważną?

Gdy mówiłem o wrazeniu, jakie ogólnie sprawiła grupa Fracewicza, widziałem, jak oczy jej tryskały radością. Odparła jednak:

— W zaufaniu mówię, iż tego Fracewicza odtąd znać nie chcę.

— I ja też tego, co słyszę, ponieważ powiedziane w zaufaniu, nikomu,

nawet interesowanej osobie, nie powiem. Taki to przyzwoity człowiek, — odparłem.

— Podobne mniemanie zalicz pan do przesądów, — odparła, uprzejmie podając mi rękę — i zanotuj sobie w pamiętniku życia, jak to ja już zrobiłam, że każdy malarz — to łotr skończony!

Oprócz panny Janiny i Heleny, około których kręcili się Lenk i Liwski, było kilka młodych panien emancypantek, z grupy tak zwanych społeczniczek.

Wszystkie blade, anemiczne, z zarodkiem histeryi we krwi, gryzące bez przerwy ziarnka palonej kawy, kredeę lub ołówek.

Istne ryby!

Wzięły w obroty Sękowskiego i ten czuł się pomiędzy niemi, jak anioł w raj.

Śpiewał też, jak anioł, najrozmaitsze bzdurstwa własnego pomysłu, do własnej muzyki.

Nie dawały także spokoju Lewańskiemu.

Szczególnie kokietowała go niejaka panna Magot.

Przysiadłszy się doń przy kolacyi, poczęła opowiadać o niestrawności baranich kotletów i środkach asekuracyjnych pod postacią koniaku i innych wódek.

A że Lewański rzeczywiście zjadł tegoż samego dnia na obiad w restauracyi kawałek baraniny i czuł się niedobrze, stąd możesz sobie przedstawić, w jakim stanie powstali od stołu.

Poczem, na prośbę, aby przeczytał coś zę swoich niedrukowanych dotąd utworów, usiadłszy na fotelu przy kominku, począł:

— »Małpa i publiczność«.

— E, panie, przepraszam, czy nie ma pan coś nowszego? — przerwała mu nagle jedna z nich, Stasia.

Ten utwór jużem słyszała roku zeszłego, gdyż pan przychodził do domu moich rodziców punktualnie, niby Kuryer codzienny, pozornie w konkury, a w rzeczywistości, aby złapać chociaż jedną naiwną słuchaczkę.

Lewański, nie zbity z tropu powiada:

— Trudno, abym dlatego, że szanowna pani rok temu, coś niecoś, a i to »kiepskoque« słyszała, miał pozbawiać przyjemności zapoznania z tą perłą prawdziwą mojej wyobraźni całego zgromadzenia obecnego.

I głosem melodyjnym począł czytać swą piłę.

Nie ujechał jednak daleko, gdy nagle Magot, ocknąwszy się, zrywa z krzesła i woła:

— Ależ panie, toć to tę samą bajkę czytałeś mi pan już dwa lata temu, kiedyś przychodził do nas w roli konkurenta, a w rzeczywistości w celach pozyskania takiej naiwnej, któraby chciała słuchać jego nudnego kołowrotka... Nie masz pan nic nowego?

Okazało się, iż wszystkie panny obecne — co do jednej — słyszały ten utwór, czytany — każdej poufnie.

Ztąd wrzawa i hałas, jak w ulu.

— W takim razie, — pojednawczo począł autor, łypiąc żółtymi powiekami, — położenie rzeczy ani na włos nie zmienia się.

Słyszałyście, panie, tę perłę każda oddzielnie, pozwólcie zatem, abym teraz zobaczył, jakie ona wrażenie wywrze na was, gdy słuchacie zbiorowo.

I pomimo protestów »perłę« dociągnął do końca.

Potem odczytano statut nowoutworzonego damskiego towarzystwa »Mizerya«, mającego na celu rozkrzewianie pojęć, iż upadłe kobiety, o ile się podniosą, są podniosłemi, a to drogą wprowadzania w czyn zasady, iż co wolno mężczyźnie, to wolno i kobiecie.

Gdym patrzył na tę prawdziwą »mizeryę« damską, pomimowoli przypomniał mi się ów pendrak Lenka.

Wszyscyśmy zapisali się na »płatków«.

I ja także.

Co mi to szkodzi!

I owszem...

Jeżeli będę miał możliwość, z największą uprzejmością podniosę, co tylko się da.

Wtedy nastąpiła chwila uroczysta.

Sękowski wstaje i od ręki kropi jakiś wierszyk okolicznościowy.

Pani Iza, z wdzięcznością ściska mu prawicę i powiada na głos, że co poeta, to nie malarz.

Chawłowski ujmuje się za honorem pendzla i po dłuższej filipice oświadcza, że już nigdy w życiu nie będzie robił portretu Sękowskiego i że nawet obecnego nie dokończy.

Panie zaciekawione pytają, w jakiej postaci będzie figurował ich benjaminek: czy w todze rzymianina, czy też w płaszczu z kołnierzem bobrowym?

Chawłowski powiada, iż w płaszczu, ale takim, którego kołnierz bobrowy poszedł do lombardu, — bo go nie ma.

Panie ofiarują składkę.

Wreszcie wszyscy, jak są, siadają w «gumy» i jadą na kawę czarną z likierami do Chawłowskiego.

Właściwie chciano coś tam u niego zobaczyć. Zapomniałem tylko w tym rozgardyaszu, czy rzymianina w bobrach, czy Sękowskiego w todze?

I dalibóg nie wiem, czy i oni zdołali sobie z tego zdać dokładną sprawę.

Frasuński wziął z sobą likiery.

Gdy zabrakło dorożek, prosił, abyśmy pojechali naprzód. Miał nas dogonić.

Tymczasem przechodzi kwandrans, przechodzi drugi — likierów nie ma.

Przechodzą trzy kwandranse, już i kawa zdołała dobrze naciągnąć, a nawet pomału ostygnąć, a likierów — nie ma!

Wreszcie po upływie godziny przyjeżdża Frasuński, ale sam — bez likierów!

Powiada, że wysypały się z dorożki.

Oj, ty, stary kawalarzu, znamy się na tem!

Pewność ich wsypał po drodze do jakiej damuli...

Od Chawłowskiego pojechaliśmy do Łazienek, podzieleni na pary.

Błogosławione niech będą losy!

Dostała mi się panna Helena.

Liwski, naturalnie, szedł z panną Janiną.

Pani Iza trzymała się Frasuńskiego, aby jej po drodze sam jeszcze gdzie się nie wysypał, — Magot w ciągu dalszym

piłowała Lewańskiego, Stasia — Sękowskiego.

Lenk, jak mówił, na złość panie Helenie prowadził aż dwie damy: pannę Zosię i pannę Korczyńską.

Chawłowski — według słów własnych — trzymał się rękami i nogami niejkiej panny Władysławy.

Dolski, ta ogromna, sucha i kołysząca się na cienkich nogach tyka, której żadna panna nie chciała na podporękę, defilował pojedynczo, przekomarząc się ze wszystkimi potrosze.

Nie wiem, co może być piękniejszego nad nasze Łazienki nocą!

Co chwila posągi marmurowe wychylają swe blade, ciekawe dzisiejszych ludzi i spraw dzisiejszych, oblicza, jakby prosząc przebaczenia...

Liście drzew za lada podmuchem udzielają przechodniowi swych tajemniczych dreszczów...

Ciemnie nocy rozjaśnia księżyc.

Miryady gwiazd wiecznie tych samych wabią ku tajniom nieba.

Duszo poetyczna, duszo marzyciel-

ska, przyjdź tutaj i pomów w noc taką z roztoczonym przed tobą wszechświatem!

Uczujesz, jakgdyby na twą głowę duchy jakoweś kładły swoje ręce, jakgdyby na twe ramiona spadały moce niebiańskie.

Głos zamiera, włosy się jeżą i łzy spadają po twarzy...

I otwierają się ramiona do tego nieba tajemniczego, bez granic, bez miary, do tej przestrzeni bez końca, do tych szeptów nadziemskich i do tych posągów smutnych...

Szliśmy w milczeniu.

Nareszcie przerywa ciszę głos Stasi:

— Akacye spią...

— Dlaczego takie smutne? — anielskim głosem pyta towarzyszący jej Sękowski.

— Bo spią... same! — podpowiedział zjawiający się tuż Dolski, małym palcem podwijając wąsów i rzucając jednocześnie piorunujące spojrzenie na Sęka.

— Jesteś pan niegrzeczny i nie chcę więcej z panem gadać, — rzekła Stasia.

— Nie wiedziałem, — bronił się, — że pani tak dużo rozumie.

— Izo, weź do siebie pana Wa-
cława!

Ów jednak zbliżył się już do panny
Magot.

— Pani, — szeptał jej do ucha — czy pani myśli, że my, Wacław Dolski, szlibyśmy z panią, taką pojedynczą «rzepą»? — My wolimy — mężatki...

— A jakaż to różnica pomiędzy pojedynczą, a podwójną «rzepą»?

— O rzeczywistości nie mogę sądzić. W przerośnięciach bywa jednak pewna i to dość znaczna.

— Zaciekawia mnie pan.

— Panna — to skała, nieokreślona, niewyraźna, to jednym słowem — zero.

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

— A mężatka?

— Mężatka? — Mężatka podobna tej skale, w którą Mojżesz uderzył swą laską.

— Ciekawa jestem, która skała bę-

dzie szczęśliwą, iż posiędzie tak dowcipnego, jak pan, Mojżesza?

— Zapewniamy, że to będzie — Mein Gott.

Lenk, przechodząc koło nich, objaśniał jedną ze swych towarzyszek, która na widok zwieszających się ku ziemi gałęzi brzoź, wyraziła swój zachwyt:

— Niech pani przyjmie to na uwagę, iż każda brzoza na stare lata płacze.

— Tak, tak — chichotał nad niemi Dolski. — Niech pani przyjmie to pod uwagę, iż każda koza na stare lata płacze!

I rzekłszy to, już zgiął się nad Chałwowskim, który puszczał się na ślizgawkę niebezpiecznych porównań.

— Zapach ciała kobiety, — szeptał malarz do panny Władysławy, tuląc jej rękę, — przypomina mi zapach świeżo zoranej ziemi.

— Przed zagnojeniem, czy po zagnojeniu? — pytał Dolski.

Wtem naprzeciwko nas zarysowała się sylwetka dwojga ludzi.

Byli prawie jednakowego wzrostu, szczupli, szykowni.

Szli, trzymając się pod rękę, krokiem elastycznym, jakim zwykle chodzą młodzi i szczęśliwi.

Przechodząc koło nas, ukłonili się pierwsi.

Bezwiednie oddaliśmy ukłony. Panie, znajdujące się bliżej nich, poczęły witać się.

Było to świeżo upieczone małżeństwo.

Zgadnij, kto to taki?

Oboje znasz. Oboje znasz nawet bardzo dobrze!

Dalibóg, strzegę się pesymizmu, jak ognia, boję się go nawet, jednakże, gdym zobaczył tę wesołą parę, pomimowoli rzuciłem sobie pytanie:

— Po co oni pobrali się?

Po co wogóle dzisiejsi ludzie, tak zwani »inteligentni«, żenią się?

Czy po to, aby nazajutrz podać prośbę o rozwód, a co najmniej o separację?

Na ich widok, czy może z innych

powodów, panna Helena głosem słabym poprosiła mnie, abym zbliżył się z nią do ławki i gdyśmy dopadli pierwszej z brzoza, — zemdląła.

Panie podążyły z pomocą.

Lenk pobiegł po wodę...

Ach, czy ty wiesz, czy możesz sobie przedstawić, com bezradny przez tę wiekową chwilę jej nieprzytomności przeszedł?!

Dzisiaj leży jeszcze w łóżku, chociaż ma się lepiej.

Nikogo nie wpuszczają.

Przyjeżdżaj wcześniej, aniżeli przyrzekłeś. Przecież ci to różnicy żadnej nie zrobi?

Przyjeżdżaj, bo nam braknie — ciebie!

Na dworcu skierniewickim rozległ się trzeci dzwonek.

Na peron wbiegła wysoka, szykowna, zawoalowana dama, a za nią lokaj z walizką, i szybko zbliżyła się do pociągu.

Był to pociąg kuryerski, dążący w stronę Warszawy.

Konduktor otworzył jej drzwi najbliższego wagonu, pomógł przy wsiadaniu — i po chwili pociąg, dysząc, hucząc i sapiąc, ruszył w drogę dalszą.

W przedziale, do którego weszła owa pani, w rogu siedział młody, wytwornie ubrany mężczyzna, zatopiony w piśmie jakimś.

Usiadła w rogu przeciwległym, tuż przy drzwiach, rzucając na sąsiada od czasu do czasu ukradkowe spojrzenie.

Ten, po skończeniu czytania, złożył starannie gazetę, wydobył papierośnicę i wtedy zwrócił się do nieznamomej z zapytaniem :

— Pani zezwoli?

— Proszę... Pan mnie nie poznaje?

Na dźwięk tego głosu widoczne wrażenie odbiło się na jego twarzy. Odparł jednak spokojnie.

— Przyznam się, że nie.

— A teraz? — I podniosła białą woalkę.

Zwróciwszy się ku niej twarzą, plecami siedząc do okna, patrzył w milczeniu, długo, prosto w jej oczy, jakby zasłuchany w szepty płynące z oddali...

Kiedym spojrzął w jej oczęta
I uściskał dłonie białe,
Na me serce pały pęta,
Kiedym spojrzął w jej oczęta.
Myśl ma była w niebo wzięta,
W sercu — burze rozszalałe,
Kiedym spojrzął w jej oczęta
I uściskał dłonie białe...

Nie widziała wyrazu jego oczu i nie mogła czytać myśli, błyskawicznie w nich odbitych. Słyszała tylko zimne:

— Nie poznaję!

— A tego pan nie poznaje?

I szybko ściągnąwszy rękawiczkę podała mu z palca maleńki żelazny pierścionek, na którym dwie złote litery W.W. splecione były z sobą.

— Czyj to?

— Pański.

— Mój? W takim razie przebaczy pani, — i szybkim ruchem wyrzucił go za okno.

— Jakiem prawem panes to uczynił? — zawołała, chcąc go odebrać, przyczem usiadła tuż przy nim, a rumieniec gniewu oblał jej twarz. — Jaks pan śmiał to uczynić? — powtórzyła.

— Sama pani powiedziała, że to moja własność.

— Nie masz pan pojęcia, jaką przykrość wyrządziłeś mi swym postępkiem!

— W tej chwili mogę przesiąść się do innego przedziału.

— Panie Władysławie, — rzekła — ja wiem, że jestem winna, bardzo winna, dzisiaj może jeszcze więcej, aniżeli da-

wniej. Ty nie wiesz, com dzisiaj jeszcze uczyniła...

— Zapewniam, że nie jestem ciekawy.

Przygryzła wargi.

— O, nie mów pan tak! Sądzę, że powinnam udzielić mu pewnego objaśnienia.

— Z całą szczerością zwalniał pania z tego.

— Więc przeszłość nie istnieje pomiędzy nami?

— Do tego stopnia, że nie pamiętam nawet, czy istniała.

Nastąpiła pauza.

— Panie Władysławie! — szepnęła.

— Słucham panią.

— Niech mi pan pomoże zdjąć z siebie to okrycie. Strasznie gorąco! Duszę się! — rzekła wstając.

A gdy przy zdejmowaniu odwróciła się, Wilski okiem płomiennem objął tę ukochaną tak dawniej kibić, te cudowne zaokrąglenia ramion, które tylokrotnie otwierały się dlań do uścisku,



tę kształtną rasową główkę i kuszącą do całusów szyjkę...

Owionął go ciepły, balsamiczny zapach...

Mgnienie jedno trwało to upojenie i gdy usiedli, znowu był zimny i spokojny.

Wanda jednak, jak gdyby instynktownie, odczuła usposobienie Wilskiego.

— Pan już nie przechodzi? — szepnęła. — Na pogrzebie owej Wandy prosi pana o to dzisiejsza Wanda Niwicka.

— Niwicka?

— Od paru miesięcy... Jestem żoną w rozjazdach, — rozumie pan to? Od czasu ślubu nie byliśmy z sobą ani jednej chwili sam na sam! To mój warunek, który podałam, wychodząc za pańskiego kolegę.

Tu miękko dotknęła jego dłoni.

— Więc pan zostaje?

— Zostaje.

Jednem z pism zasłonił sobie oblicze.

Potrzebował tego, aby nie widziała wyrazu jego twarzy, aby nałożyć maskę

tak ciężko zdobytego spokoju, niezbędnej ciszy, której mu dawniej brakowało, a którą, czuł, iż zabiera mu znowu i to — bezpowrotnie!

Siedzieli tak długo, bez słowa, obok siebie.

Odczuwał każde drgnienie wagonu, jak gdyby w miarę rozpędu kół ubywało mu życia.

Chciałby tak wiecznie przy niej siedzieć, moralnie kłuć ją, szarpać na strzępki jej duszę, znęcać się nad nią za wszystkie przebyte z jej powodu cierpienia, — lecz niechaj, — broń Boże — nie odchodzi od niego!

Pociąg tymczasem pędził całą siłą pary.

Jak błyskawica mijał stacye, zdawał się pożerać przestrzeń.

Wzgórza, lasy, miasta, pola i rzeki, jak gdyby goniły za nim — napróżno!

Zaledwie przycichnął na stacyi, znowu pędził, szalał...

— Gdzie pan był, że tak dawno nie widziałam go, zmuszona jednocześnie podziwiać jego utwory?

Ogromnie pan dużo pisuje i przyznam się, ma pan uznanie. Nawet mama moja ma dlań pewnego rodzaju admirację za jego talent i olbrzymią pracę.

Wilski na wzmiankę o mamie, machnął tylko ręką.

— Praca — oto cała moja zasługa, a właściwie i to nie moja, tylko moich rodziców, którzy dali mi końskie zdrowie i wpoili zasadę, że kto ręką nie pracuje, temu ręka niezdatna uschnie, kto duchem nie działa, od tego duch Boży odstąpi. Reszta poszła sama.

— Zkąd pan wraca obecnie?

— Niech pani zapyta mnie raczej, zkąd nie powracam? Między innymi zwiedzałem Tęczynek. Nie da pani wiary, ile ztamtąd wyniosłem wrażeń dodatnich.

Może to było pod wpływem nastroju chwilowego, może szeregu obrazów, jakie przedstawiła sobie moja wyobraźnia na tle niepowszedniem i tak dalekiem od tych, jakimi zajmuje się obecnie fantazja, dość, że widok ruin tych stokroć trwalsze zostawił wspomnienia, aniżeli najcudniejsze krajobrazy obce.

Parę miesięcy temu, drogą leśną podjechałem do wąskiej ścieżki, wiodącej pod górę i pieszo udałem się do celu podróży.

Im dalej szedłem, tembardziej zwiększała się z jednej strony przepaść mroczna, porośła paprociami, wrzosem i niebotyczną sosną; z drugiej — złote łany kołyszącego się zboża otwierały widok na pełne słonecznego uśmiechu i lazurów nieba przestworza.

Z za wierzchołków tych sosen wycierały ruiny, wysokie baszty, strzelnice i otwory, pozostałe po przeszłości świetnej i potężnej.

Przez bramę, wznoszącą się za obronnym niegdyś rowem, nad którą pozostały łuk, porośły mchem co chwila groził zawaleniem się, wszedłem do wnętrza...

»Wy, co spoczywacie tu!...«

Na lewo utrzymały się jeszcze szczątki krużganków, schodów rozwalonych; na prawo — łuki nad drzwiami do apartamentów...

Tu z posadzek wyrosły krzaki i drze-

wa wyniosłe, podobne do dawnych panów zamczyska...

Tu, pod nogami przechodnia, miasto sług i hajduków, biegnących na spotkanie, zrywały się sowy i puhacze...

Tu gąszcze traw, popstrzone jaskrawymi kwiatkami, i wachlarzowe liście paproci zmieniły ślady kobierców puszystych, gobelinów i makat...

W oddali zakukała kukułka, jak odgłos rogu, który ogłaszał niegdyś potężnych gości...

I ujrzałem dokoła siebie po tych schodach, na tych krużgankach i salach tłumy, bawiące się przy śpiewie pieśni trubadurów, nucących czary życia, miłosnego upojenia, rozkoszy i wesela...

Widziałem lice dziewczę, tryskające rumieńcem, o usteczkach wiśniowych, rozwartych do uśmiechu, o ząbkach precudnych i nad alabastry bielszych.

Widziałem rączki, jakby utoczone, misternych kształtów i stopki rozmiarów muszek...

Widziałem rzeźkich młodzianów, jak

pszczoły koło miodu, snujących się przy gronie powabnych dziewic.

A gdy po chwili wiatr przelotny zaszumiał okolicznymi drzewami, słyszałem szcęk zbroic, rżenie koni, gwar i nawoływania...

Słyszałem toasty biesiadnicze, przekleństwa, rzucone usty gorejącymi żarem namiętności...

Słyszałem trzask pochodni, rzucających migotliwe blaski na tysiączne tłumy zbrojnego żołdactwa, na twarze marsowe, wykrzywione gniewem...

Słyszałem odgłosy komend, zgrzyt łańcuchów, skrzyp co chwila spuszczanego mostu, głuchy tętent wjeżdżających po nim oddziałów.

To znowu, gdy ucichły szумы wicheru, a słońce rzuciło spokojne promienie, słyszałem głosy matron, służ i dziewic modlących się za pomyślną przyszłość ojczyzny.

Rzecz dziwna!

Z tego otoczenia dawniejszego zostało w całości tylko oszklone okno kaplicy z Chrystusem, unoszącym się

w chwale swojej, jak gdyby błogosławiącym — przyszłości...

W zadumie takiej długo siedziałem na głazie, witany przez te mury przeszłości, całowany ciepłym podmuchem wiatru, który rozwiewał mi włosy na czole i ustami aksamitnymi pieścił łagodnie.

Gdy opuściłem zamczysko, przedemną rozwarła się kraina, opromieniona morzem blasków krwawego słońca, ukwiecona łanami najrozmaitszych barw i odcieni.

Nademną skowronek, jak ongi przed wiekami, wyśpiewywał wiecznie jednaki, wiecznie piękne trele, jak gdyby głoszące niezmienną piękność natury i jej wiekuistą, po nad czasy i ludzkie sprawy, trwałość.

Natura!

Czy pani wie, ile ona ma w sobie czaru słodkiego, ile kojącego wpływu?

Jakże często, mając nerwy rozwichrzone wrzawą życia, niepokojem własnej duszy, rwącej się w krainy ideału, przy-

gniecionej ciężarem rzeczywistości, uciekałem na jej łono matczyne!

Wracałem ukojony zawsze, nieraz nawet pocieszony... lecz po to, aby na nowo rzucić się w odmęt ludzi, badać te kawalki brył wszechświata, ożywione dynamitem uczucia, patrzeć w ich twarze, śledzić grę fizyognomii, zrozpaczonych lub wesołych, wykrzywionych trwogą bezgraniczną lub oddanych nadziei dziecinnej...

A im bardziej przytem oddalałem się od natury, tem bardziej przerażały mnie te twarze blade, gorączkowe; ta ich rozpacz bezdena tem bardziej i mnie ogarniała: przejmowałem się znowu wirem kłopotów i kłopotków codziennych, jak gdyby one stanowiły jedyny cel, godny skupienia sił ludzkiego umysłu.

Nie widziałem nic więcej dokoła siebie nad kłęb jeden, potworny kłęb tych ludzi zrozpaczonych, beznadziejnych, gnębiących lub gnębionych, katów i ofiar, tragicznych i śmiesznych, staczających się w ustawicznych ze sobą zapasach w przepaść wszechbytu.

I patrzyłem w twarze blade, zgryzione nędzą lub rozpaczą, długo i pilnie... ach, i oddałbym wtedy wszystkie słodczyce czaru przepięknej natury, cały firmament z radośnie mrugającymi gwiazdami, cały wszechświat, uśmiechnięty jednostajnie i obojętnie cudowny, za odblask szczęścia w tych pigmejowych, a tak posępnie przepastnych źrenicach, za kaskadę śmiechu swobodnego, — wybiegłą z kurczowo zaciśniętej krtani!

Chwyciłem się wtedy pierwszego lepszego szmata myśli, wdzieralem się w tłumy, broniłem, lub sam napadałem, chwilami dziki, beznadziejny, lub wybuchający okrzykiem tryumfu, pijany szalem, jak inni: bo i ja byłem — człowiekiem!

— W jakim pan jest dzisiaj stadyum? — pytała.

— Po wytchnieniu za granicą, widzi mnie pani zupełnie wypoczętym, trzeźwym i gotowym...

— Do boju?... Ale nie ze mną?

— O, proszę pani, — mówił po

raz pierwszy wpadając w ton żartobliwy, — jeżeli mówimy o boju, jadąc do Warszawy, to może pani być pewną, iż mam na myśli tylko bój z paniami, bo co kraj — to obyczaj.

W Madrycie mamy walki byków, na wyspach Sandwich, zdaje się, bardzo popłaca walka kogutów, a w Warszawie pokrewny mu — flirt.

— Ożenimy pana.

— Tego tylko pragnę!

— Ale ja nie żartuję.

— I ja na seryo chciałbym ożenić się, aby, — jak powiada kolega Chrzoński, — nazajutrz po ślubie nic lepszego nie mieć do uczynienia, nad podanie prośby o separacyę, jeżeli nie o rozwód zupełny.

— Znajdziemy dla pana taką żonę, że nawet pański kolega będzie z niej zadowolony, — rzekła śmiejąc się. — Kładę jednak warunek, że ja będę swatką.

— A kandydatką, panna Magot...

— Mniejsza o to, kto taki, dosyć na tem, że pan będzie jutro u nas...

Ale oto i Warszawa! Proszę zająć

się memi rzeczami i odwieść mnie do domu.

Pan jedzie na ulicę?...

— Nowogrodzka...

— To po drodze, ja — w Aleje.

Odzyskała już zwykłą przewagę nad nim, poznając instynktownie, iż ta jego obojętność, zimna krew, są tylko pozorami, kryjącymi zwykłą słabość mężczyzny wobec kochanej kobiety.

— No, Władku, — monologował z sobą Wilski, stojąc u siebie przed lustrem i zawiązując krawat, — jestem z ciebie dzisiaj zupełnie zadowolony. Tylko ci niepotrzebnie tym Niwickim zadano trochę »feferu«, jak powiedziałby Chawłowski.

Ale też wyładniała, bo wyładniała! Nie dziwota, że myśliwy się znalazł...

Dawniej tak, gdybyś dowiedział się, że wyszła za mąż, tobyś usiadł, jak powiada Fracewicz, na »tylne nogi« i zapłakał. A dzisiaj, co? — »Byczo« zawiązujesz sobie krawat — i basta!

W ten sposób, wmawiając w siebie dobry humor, w głębi duszy zaś smu-

tny i zniechęcony, poszedł do Frasuńskich.

Tu nie spodziewano się go tak prędko, siostry jednak były w domu.

Helena czuła się jeszcze bardzo źle i zaledwie podnosiła się z łóżka.

Ogarnęły nią beczynność i apatya.

Lenk tylko jeden, który prawie codziennie przynosił książki i pisma, potrafił doprowadzać jej usposobienie do stanu znośnego.

Po zamienieniu zwykłych słów powitania, pierwszych zapytań i odpowiedzi, Wilski wspomniał o spotkaniu z Wandą.

— I ty po tem, co zaszło, mogłeś z nią jeszcze rozmawiać? — zawołały siostry.

— Nietylko gadałem, ale będę u nich jutro.

— Ależ, Władku, zastanów się, — wołała nagle ożywiając się Helena, — tyle zmartwień, cierpień i kłopotów osobistych!

— Nie mówiąc już o naszych...

— I to wszystko przeniosłeś i prze-

cierpiełeś przez nią, a ona? Zadrwiła sobie z ciebie, z twego uczucia...

— Z uczucia takiego, jak ty człowieka! — dodała Janka.

— I wreszcie sama, dobrowolnie, bez przymusu, — rozumiesz, co to znaczy? — w niecałe pół roku po zerwaniu z tobą wychodzi za mąż. — Teraz zapewne znowu robi do ciebie słodkie oczy?

— Nigdy w życiu nie nadużywałem żadnych słodyczy, — odparł śmiejąc się, — więc i tutaj możecie być o mnie zupełnie spokojne. Przytem jestem mężczyzną, cóż więc może mi się stać złego?

— A kto chorował śmiertelnie? — pytała Helena.

— O, zaraz śmiertelnie! Poleżałem sobie dla wygody w łóżku i z tego robicie taką chryję...

— Bo jest za co!

— Jeszcze raz powiadam, że nie ma. Zrozumcież tylko. Złożyłem najwyklejszą ofertę, której nie przyjęto. I gdzież tu dramat? Farsa najwyżej!

— Rób więc sobie, co chcesz, — kończyła Janka, — tylko, proszę cię, nie staraj się nas tam wprowadzać. My tego Niwickiego znać nie chcemy!

— A! To tutaj sedno! — zawołał, chcąc obrócić w żart całą rozmowę. — Moje siostry nie mogą darować jej tak łatwo Niwickiego?!

Rozumiem teraz wasze zaczepki. Trzymacie się zasady, iż mężczyzna — o tyle przyjaciel, o ile kawaler. No, ale ty, Janko, podobno prędko pocieszyłaś się po nim. Liwski pisał mi już coś w tej kwestyi... Dla Heleny zaś...

Heleno, co ci się stało? — rzekł, widząc, jak blada, tłumiąc spazmatyczne łkanie, wybiega do drugiego pokoju.

Co ci jest? — pytał, tuląc ją serdecznie.

— Nic, zupełnie nic, — odparła, siląc się na spokój.

— Przebacz mi, moja kochana! Nie przypuszczałem, aby moje nie w porę żarty były tak bolesne. Jestem ślepy, nierozważny!

— Ależ, mój Władku, nie obwiniaj siebie o nic. To po tej chorobie czuje się jeszcze tak zdenerwowaną.

— I cóż ci było?

— Ach, nie pytaj! Coś strasznego. Jakiś ogólny upadek sił, osłabienie, jakieś nieznanne mi dotąd przeczulenie, ciągły ból głowy, podczas którego wyrok śmierci na siebie wydałabym bez wahania...

— No, cicho już, cicho, uspokój się, nie płacz!

Nie pójdę już do nich, wszystko załatwi się pomyślnie. Z wami i dla was cały czas wolny poświęcę. A tymczasem przemyj oczki zimną wodą, pójdziemy do teatru na jaką wesołą operetkę, to cię rozerwie.

— Sam widzisz, że już nie płaczę, — mówiła, ocierając chusteczką oczy. — Jakiś ty dobry, — dodała, — jak to ślicznie, żeś przyjechał! Takem chciała jeszcze raz cię zobaczyć, tak potrzebuję twojej opieki...

I znowu wybuchnęła płaczem.

— Janko, co jej jest? — pytał sio-

stry, gdy Helena wyszła, aby przebrać się.

— Bo ja wiem? — odparła.

Od czasu, jakieśmy tu przyjechały, ciągle smutna, zamyślona, mało jada, nie śpi, a nieraz, gdy przebudzę się w nocy, to słyszę, jak przez sen wzdycha i płacze...

— Czyżby ten Niwicki tak zawrócił jej głowę?

— Nic pewnego nie wiem, gdyż jest bardzo skryta. Jeżeli jednak kocha, to jego.

— A cóż Lenk, bywa często?

— Parę razy na tydzień.

— Jakże przyjmuje go Helena?

— Trochę lepiej, niżeli każdego innego. Powiada, że bardzo go lubi i poważa.

— To wiele, ale i mało.

— I ja tak myślę.

— Muszę z nią pogadać!

— Tylko nie obcesowo, mój kochany. Z Heleną nic nie wskórasz pośpiechem, ani natarczywością... Najle-

piej obserwować ją zdaleka i robić swoje delikatnie.

Zaledwie wyszli na ulicę, spotkali Lenka.

Wyglądał paradnie. Miał nowy cylinder i nowy paltot.

— Kogo ja widzę? — zawołał, ścisnąc Wilskiego. — Widzę Władka i pannę Helenę na ulicy! Cuda, cuda dzieją się na świecie!

I podał jej ramię.

— Uważa pani...

— Lenk, idziesz z nami do teatru? Mam lożę, chciałem nawet po ciebie posłać.

— Nie przeszkadzaj mi, bo zacznę prelekcję o...

— Nieśmiertelności duszy? — podchwyciła ironicznie Janka.

— Nie o tem, ale zawsze o czemś pokrewnem.

— No, jakże, idziesz?

— Idę, idę! W tak dobranem towarzystwie, to chociażby na »jaskółkę«!

— Przynajmniej byłbyś pan pewien,

iż nikt nie rzuci mu na głowę skórki pomarańczowej albo »buldygonu«.

— I że nie zaćmi — kapeluszem.

— Czy tam damy zdejmują kapelusze? — pytała Helena.

— A jakże! — »Jaskółka« to takie państwo, w którem obowiązuje równość i uprzejmość ogólna. Oto, co zaleca w teatrze sfery wyższe, w całym tego słowa znaczeniu.

— Nie wiercie mu, bo plecie kosałki opałki. Cały sekret polega na tem, iż owe »damy« przychodzą w chustkach na głowie, bo ich nie stać na impertynencyę kapeluszną.

— Kogo ja widzę? — przerwał im nagle głos, który rozległ się tuż za nimi.

Był to Liwski, który, jak sam mówił, »dziwnym zbiegiem okoliczności« znalazł się na ich drodze.

— E, moi kochani, — rzekł Wilski po przywitaniu się, — tylko tak wszystkiego nie zwałajcie na ten dziwny zbieg okoliczności, bo pomyślę, iż okoliczność nic lepszego nie ma do roboty nad urządzenie przypadkowych spo-

tkań. -- Liwski, -- dodał, -- idziesz z nami do teatru?

— Naturalnie!

-- To spiesz po bilet.

— Już go mam w kieszeni.

— Dziwny zbieg okoliczności!

— Jak zwykle! — Żałuję tylko, — dorzucił Liwski, — że ulica nie jest obecnie salonem, a spacer po niej polonezem, bo bym odrazu urządził odbijanego. Ale, ale, będziesz u mnie jutro?

— Dobrze; mieszkasz, jak dawniej?

-- Tak samo.

— I masz to samo jęczące łóżko?

— A jakże!

— I tę samą maszynkę benzynową?

— Juścić.

— Niech mnie pan zaprosi kiedy do siebie, mój panie, — rzekła Janka, — ponieważ Władek przyjechał, mogę przecież zejść do pana razem z nim na owo zebranie?

— Czego ci się jeszcze nie zachce? — zawołał Władysław. — Bój się Boga, dziewczyno, a coby na to powiedziała matka, nie mówiąc już nic o Chrzońskim, który

na ten temat zapewne machnąłby ze swej strony całą rozprawę.

— Nie, nie wypada, — dorzucił, śmiejąc się Liwski.

— I pan...? — pytała.

— Nie jestem Brutusem, ale...

Po teatrze poszli na kolację.

Wracali już dobrze po północy.

Janka, zasłonięta woalką gęstą, wypadkowo szła sama, naprzód o kilka kroków od reszty towarzystwa, które na chwilę zatrzymało się przed żebrakiem.

Naraz spostrzega przed sobą jakiegoś siwego jegomościa, który przechodząc kilkakrotnie starał się zwrócić jej uwagę i zanim spostrzegła, rozpoczął rozmowę.

— Czy pani pozwoli odprowadzić się do domu?

Był to Frasuński.

— I owszem, — odparła, — i kąciki ust jej skrzywiły się złośliwie. — Tylko nie mieszkam sama.

— Ależ to mi nie robi żadnej różnicy, chociażby nawet pań było kilka. Pogadamy, pożartujemy, możemy po-

jechać na kolacyjkę, a później do pań na kawunię.

— Ja nie przyjmuję nikogo u siebie. Chociaż... doprawdy, dla pana mogłabym zrobić to ustępstwo.

— Więc zgoda?

— Zgoda!

— Proszę na zgodę dać mi rączkę.

— I owszem. Tylko co na to powie pańska żona?

— Moja żona?

Pozostali, poznawszy zdaleka konsula, szli za nim, nie mogąc stłumić śmiechu.

— A to konsul »wdepnął«, — prawie nad uchem zawołał mu Liwski. — Nie ma co, bodaj to mieć talent!

— A to pan? — zawołał konsul, nierad, że mu przeszkadzają.

— Niby ja — pan Liwski; to — panna Helena, to Wilski, a to panna Janina.

— A niechże was, moi kochani, anibym poznał. No, ale teraz, kiedy jest i braciszek pań, to pojedziemy sobie na kawę z likierami. Zgoda?

— Zgoda, — przystał Wilski.

— Szanowny konsul, — ciągnął Liwski, — to tylko jeździ na kawę i na lakiery. Widocznie ma coś do lakierowania. Oj, konsulu, konsulu!

— Nie bałamuć mi pan głowy jakimś tam lakierowaniem... Dorożka!

— Ale pani nic nie powie mojej żonie o tem spotkaniu?

— Niech pan będzie zupełnie o to spokojny, jeżeli powiem, to tylko pod sekretem.

— Do Stępka!

Nazajutrz Wilski zaszedł do Liwskiego. Zastał zwykłe grono. Brakowało tylko Polluksa i Kastora.

Fracewicz, jakkolwiek nagrodzony medalem złotym, żył, pełen rozpacz i smutku.

Miłość jego z dniem każdym rosła, potężniała i spotykając na swej drodze tak nieprzewidziane trudności, dochodziła do rozmiarów dramatycznych. Ów ci wesoły zwykle malarz, stał się naraz mizantropem, wiecznie gderzącym, niezadowolonym z siebie i z innych.

Nieprzyjęty przez Iżę, wbiegłszy do domu, powitał Łaśniewskiego wymówkami:

— Co mi po obrazie, co mi tam po konkursach, — wołał. — I bez tych banialuk mógłbym się pysznie obejść! Lecz spokoju, — rozumiesz, — spokoju, który przez ciebie utraciłem, spokoju — tego mi braknie!

I począł biegać po stancyi, trzymając się za głowę.

Wreszcie naprężenie stosunków wzajemnych z biegiem czasu doszło do punktu kulminacyjnego.

— Słuchaj no, — rzekł pewnego razu Łaśniewski, — jutro w lombardzie licytacja, a nasze ubrania dotychczas nie prolongowane. Może dasz na procent?

— Nie zwracaj mi asan ogona swojemi portkami! — zawołał Fracewicz, rzucając ze złością pendzlem o ziemię.

— Co? Asan?

— A jak? przecież mówię wyraźnie: asan — i basta!

— Ja, — asan? — Proszę jeszcze raz mi to powtórzyć! Chyba źle słyszę?

— Ależ nie! asan masz słuch wyborny, — wrzasnął mu nad samem uchem Fracewicz. — Tylko nie masz asan ambicyi za grosz i dlatego udajesz, że nie słyszysz.

— Panie Fracewicz! cofnij natychmiast te słowa, gdyż inaczej będzie źle z tobą!

— Co? będzie źle? Asan — i będzie źle!... Ha! ha! ha! — Niechże się ubawię siedzący, bo inaczej boki mi pękną, — wołał Fracewicz, śmiejąc się złośliwie na całe gardło.

— Dureń! — wrzasnął Łaśniewski, zatraskując za sobą drzwi.

Wybiegł na ulicę.

W ten sposób rozerwała się przyjaźń Polluksa i Kastora nowożytnych czasów.

— Pędźcie mi natychmiast, kto w Boga wierzy, — wołał humorysta, wpadając na zebranie u Liwskiego, — do tego łajdaka Fracewicza i wyzwijcie go na pojedynek. Warunki: kula w łeb na trzy kroki, ażeby ten podły człowiek z miejsca nie mógł się już ruszyć!

Tyle zrobiłem mu dobrego, tyle mi obo-
wiązany! I tak niecie odpłaca mi za
to! O, łotr!

To mówiąc rzucił się na najmniej winne
w tej całej sprawie, jedyne w swoim ro-
dzaju łóżko Liwskiego, z takim impetem,
iż pod tak niespodzianym ciężarem za-
jęczało najżałośniej.

— Co tobie jest? Gadaj no! — rzekł
Liwski, — poruszony zarówno smutnym
widokiem humorysty, jak i obawą o
łóżko.

— Co mi jest? — Ależ proszę was,
kto mi dobrze życzy, kto z was w Boga
jeszcze wierzy, kto wogóle ma chociażby
kawalek sumienia, a nie cholere w sercu,
jak ten Fracewicz, lećcie do tego łotra
i powiedzcie mu, że Łaśniewski żąda
od niego satysfakcyi. Rozumiecie, — po-
wtórzył kłapiąc zębami, nie wiadomo,
ze strachu, czy ze wzruszenia, — satys-
fakcyi!

-- Nie bądź dzieckiem, — zaczęli
mu perswadować, — tak zawsze kocha-
liście się! I czy ty rozumiesz, co to po-
jedynek? Do tego pojedynek z mężem?

— Więc mi odmawiacie?

— Nie, — odparli mitygując, — zrobimy to wszystko dla ciebie, lecz o co wam poszło?

— O co miało pójść? — Pani Iza spostrzegła przypadkowo konsula, klęczącego u stóp jej z zawiązanymi oczyma... O to poszło! — Krwi, krwi żądam!

Nagle zamilkł...

Drzwi się otworzyły i w nich stanął — Fracewicz.

Był blady, rozczochrany, miał pomiętą bieliznę, krawat przekręcony...

Nie mówiąc ani słowa, nie spostrzegając Łaśniewskiego, już chciał się rzucić na najmniej winne w tej całej sprawie, jedyne w swoim rodzaju łóżko Liwskiego, gdy wtem, jak duch pomsty, stanął przed nim na równe nogi — humorysta.

— Dajcie mi go! — wołał Łaśniewski.

— Dajcie mi go! — wołał Fracewicz.

Obaj bladzi, z roziskrzonemi oczyma stali tak długo naprzeciwko siebie...

I Bóg wie, coby działa się wtedy,
gdyby nie przytomność kolegów.

Fracewicz opuścił zebranie pierwszy.

Łaśniewski noc całą przepędził pod
gołem niebem, aby tylko nie natknąć
się na wroga.

Obadwaj jednak, nie wiedząc jeden
o drugim, robili to samo.

Nieraz, gdy tak krążyli po mieście,
jednemu i drugiemu zdawało się, iż wi-
dzi jakiś cień, czy też istotę żywą, ró-
wnie skuloną i zziębniętą, która to sia-
dała na przeciwległej ławce, gdy drugi
wstawał, to naodwrot wstawała, gdy drugi
siadał, i że ten cień lub osoba, miały wszel-
kie cechy znienawidzonego przeciwnika.

I widząc to, zrywali się z miejsca,
biegli dalej, póki nowe zmęczenie i sen
nie rzuciły ich na odpoczynek.

Padali znowu na ławki skwerów lub
alej, słysząc za sobą pod krzakiem czy
też obok, na ławce, głębokie chrapanie
sąsiadów, lub sąsiadek bezdomnych nę-
dzarzy.

Lecz i tu nie mogli swobodnie ode-
tchnąć.

Widok stróża nocnego, badawczo patrzącego na osobistości, włóczące się po nocy, płoszył ich z miejsca.

Dopiero nad samem ranem, gdy wiatr wschodni począł wstrząsać ich członkami, a zbudzone pierwszym brza-
skim ptactwo świergotać, nie mogli już oprzeć się silniejszej nadewszystko żą-
dzy snu i obaj jednocześnie, cicho skra-
dając się na schodach, znaleźli się u drzwi
mieszkania z ręką uzbrojoną w klucz
i wyciągniętą w stronę zamku.

Fracewicz pierwszy wpadł do mie-
szkania.

Za nim, jakby nigdy nic, wsunął
się Łaśniewski, i za chwilę chrapali już
po bratersku.

Drugiej nocy odbyło się to samo.

Sekundanci, uproszeni przez obie-
dwie strony, nareszcie porozumieli się
względem warunków, — i to najostrzej-
szych. Oznaczono czas, miejsce, odle-
głość, a nawet na ich usilne prośby, zba-
dano teren...

Znalazł się także doktor, który z chę-
cią ogromną ofiarował im swoje usługi.

Chodziło tylko — o pistolety, a właściwie o kaucyę.

W tym jednak czasie Fracewicz nie miał nawet na procent, by opłacić zastawione spodnie, Łaśniewski zaś myślał... czyby na zaspokojenie takiej samej należności, nie dało się gdzie »przybić« samego kwitu lombardowego!

Ztąd nowe powikłania..

Gdy humorysta przypadkowo znalazł się w gronie kolegów wobec Fracewicza:

-- Dawajcie mi go! — wołał, płonąć niezagastą chęcią pomsty.

— Dawajcie mi go! — ryczał przeciwnik.

Obaj bladzi, z roziskrzonymi oczyma, z zaciśniętymi pięściami stali tak długo naprzeciwko siebie.

Bóg wie, coby działo się wtedy, gdyby nie przytomność kolegów...

— Pistoletów! pistoletów!

Te wyrazy, widma lśniących armat małego kalibru, nabitych bodajby dynamitem, śniły się codziennie Fracewiczowi i Łaśniewskiemu.

Dotykali się ich rękoma, nastawiali na siebie, ba, — nawet strzelali!

I to wszystko działo się po to, aby zbudzeni, mogli ocenić całą zgrozę i tragedję ubóstwa!

W ten sposób historia u schyłku XIX wieku będzie miała do zanotowania w swych rocznikach fakt godny uwagi, jak to na bruku warszawskim, zapał, animusz i rycerskość dwóch przeciwników bez strachu i bojaźni nie mogły przybrać realniejszych oznak z powodu tak błahego, jakim jest, wobec kwestyi satysfakcyi honorowej, brak w asygnatach, lub monecie brzęczącej — rubli srebrem stu.

— Panie Frasuński, — rzekł pewnego razu Łaśniewski, — spotkawszy konsula wieczorem na ulicy. — Czyby pan nie pożyczył mi stu rubli?

— A to na co? — zawołał pytany, szeroko otwierając oczy.

— Na kaucyę.

— Zakładasz kantor mamek, czy też współkę wydawniczo-nakładową?

— Kochany konsulu, żarty na bok —

mówił ponurym głosem humorysta. — Tu idzie o rzeczy daleko poważniejsze. Chcę odbyć pojedynek.

Fracewicz obraził mnie.

Ten sam Fracewicz, który tylko dzięki memu poparciu ma obecnie sławę i fortunę materyalną! Otóż ten sam Fracewicz nazwał mnie...

— Mój kochany — odparł konsul — nie powtarzaj głupstw, których nie chcę slyszec. Posprzeczaliście się, to się pogodzicie.

-- Co, my się pogodzimy? To pan mnie nie znasz! Pan nie znasz jeszcze humorysty Łaśniewskiego.

Pomimo rudych włosów, które niegdyś, mówiąc nawiasem, były czarne, jak kruk, tylko niańka w dzieciństwie przez nieuwagę oblała je zarumienionem masłem, przeznaczonem zupełnie do czego innego, — otóż, pomimo rudawych włosów — jestem zawzięty, jak Włoch, jestem pasjonatem w zemście... Chcę drzeć pasy z tego łajdaka, katować go, pastwić się widokiem jego cierpień!...

— O, jeżeli tak, — rzekł, przysta-

jąc Frasuński, — to żegnam pana. Wi-
dzisz, jestem człowiekiem spokojnego
usposobienia, mam jaki taki tytułek, tro-
chę grosza, lubię szelest spódniczek,
świeżą twarzyczkę, ładną łydeczkę, a...
nadewszystko od czasu, jak mi żona
ciągle w domu płacze, lubię spokój,
spokój i jeszcze raz spokój! To mi w zu-
pełności wystarcza. Co mi po twoich
włoskich okropnościach! Ja włoszczyznę
lubię, ale najwyżej — w rosole.

— I czegoż pani Iza płacze?

-- Bóg ją wie! Nie chce się przy-
znać do niczego. Powiada, że pragnie
tylko — śmierci...

Te słowa zastanowiły humorystę.

-- Hm! — mruknął do siebie, —
a może to i podłe, com zrobił? Może
oni kochają się wzajemnie?

Z drugiej znów strony, przecież
w tem, co zrobiłem, nic takiego podłego
nie ma. Bo że posadziłem u stóp jej
konsula z zawiązanemi oczyma, cóż
w tem złego? Kotara spadła, a pani
Iza... ach!...

W każdym razie bardzo gniewała

się, przestraszyła, i była oburzona niedotrzymaniem słowa, lecz gdyby inaczej się stało, nie byłoby »odpowiedniego wrażenia«. Płacze!... Hm! Gdyby to można było naprawić...

— Co mówisz?

— Dokąd szanowny konsul podąża?

— Tak sobie, na polowańko, na sarenki. Lubię bardzo o tej godzinie Warszawę.

— A która teraz? — Zapomniałem zegarka.

— Wpół do ósmej.

— Dziękuję.

— Otóż o tej godzinie, — począł Frasuński, biorąc go pod rękę, — po ulicach Warszawy rozpoczyna się ruch największy dzierlatek i to najsympatyczniejszego gatunku.

Oddawna studyję życie naszego miasta, ztąd znam je dość dobrze i mogę przez sen nawet powiedzieć, gdzie, na jakiej ulicy i o której godzinie spotkasz takiego, a takiego lowelasa, taką a taką gryzetkę.

Studying the street, that's a thing
interesting and interesting!

Around the third hour, for example,
beginning to emerge from the houses of the
elegant, from »company«, for a
matter or return after the completion of
tasks.

It is the hour of closing activity
of offices.

A wave of officialdom from one side,
of elegant ladies, with shimmering
suits from the other, rushes towards each other,
meets, swirls... Thousands of glances
meet, fuse, become kisses... In short,
at this hour reigns flirtation, a
possible, allowed, desired one. Flirtation —
on sacrament.

Just as the sun sets, the first
group changes to the second.

At this time they go for a walk with
cats of a larger or smaller breed.

Recognize them easily.

A shiny, lacquered, handle
pressed in a white glove, with a
grasp of the ends of the fingers
holds itself from the back

sukienkę, aby jej nie splamić, a raczej, aby pokazać jakby utoczone nóżki.

Ubrane są lekko, obciśle.

Dalej na głowie kapelusz wspaniały jak *abbat jour* na lampie stojącej, kusi poprostu przechodniów, woalka zaś biała — podniesiona wesoło, lub spuszczone, stosownie do tego, czy pani oblicza chce ci pokazać lub nie — swoje liczko.

Krakowskie - Przedmieście, Nowy-Świat, latem Aleje Ujazdowskie, Łazienki, a także Marszałkowska — oto ulice uprzywilejowane.

Z wybiciem godziny siódmej, a właściwie wpół do ósmej powstaje, jakem ci to powiedział, ruch dzierlatek największy, lecz i najsympatyczniejszy.

To wybiegają z pracowni tłumy młodych i najrozmaitszego rodzaju szwaczuszek, przeważnie głodnych, bez szyku, bez rękawiczek białych i lakierków, bez szelestu i ruchów eleganckich, ale stanowiących, dla poważnego znawcy źródło niewyczerpanych rozkoszy.

Bucik lub kwiatek, kupiony takiej dziewczynie, wprawia ją w stan zachwytu.

Będzie ci dziękowała tak prawdziwie, tak szczerze, będziesz w jej oczach widział takie zadowolenie, że, dalibóg, każdy szeląg wydany opłaci się stokrotnie.

Nie masz pojęcia, jak wielką satysfakcję...

Na wyraz »satysfakcję« twarz Łaśniewskiego przedłużyła się.

— Co ci to? — spytał konsul.

— Nic, nic... zatem?

— ...Sprawia mi, — ciągnął po tem zapewnieniu stary — wziąć taką dziewczynę na kolację. Ależ ona, powiadam ci, nie je, — ona pochłania, naturalnie, jeżeli zna cię już dobrze i nie wstrzymuje ją żadne śmieszne skrepowanie.

Dla niej pieczyste powinno być dostatecznie twarde, aby szczęki miały nad czem popracować, a zdrowy żołądek co przeżuwać.

Studyuj tylko uważnie jej oblicze w chwili spożywania pokarmu.

Czekacie przedewszystkiem na wódki, a tymczasem kładą chleb, noże, serwetki i t. p.

Gruczoły jamy ustnej już poczynają pracować, wydzielać ślinę na samą myśl mającej nastąpić uczyty.

Podane przystawki nęcą jej wzrok, powonienie, drażnią cały przewód pokarmowy.

Wreszcie poczyzna pić i jeść.

Boże, jakże ona rozkosznie jada!

Gdybyś jej podał nie tylko parę marnych talerzyków przekąsek, ale cały ich tuzin, — wszystkoby zmiotła.

Podają kartę, prosisz, aby wybrała jakie danie, pytasz:

— Co pani lubi?!

— Co lubię?

Tu następuje machnięcie ręką, które ma oznaczać: ależ wszystko jedno, aby dużo, — dużo!

Czy znasz, co to głód?

Czyś widział twarz, wychudzoną przez nędzę?

Widziałeś ten smutek i bladość oblicza?

Te rysy ściągnięte, zwieszane ku dołowi?

Ten wyraz oczu szeroko rozwartych,

nieruchomy, badawczy, sięgający aż do głębin twoich trzew, jakby z zapytaniem: czy one pełne?

I czyś nigdy nie czuł sam, we wnętrzu własnem, bolesnego tarcia, skręcania się pustego żołądka?

Owego osłabienia ogólnego, które zwiastuje upadek sił, energii i skłania umysł ku złorzeczeniu sytym, losowi i Bogu?

Jeżeli znasz to wszystko, jeżeliś sam nawet to przechodził, w takim razie możesz pojmować tę rozkosz, jaką czuje się, widząc twarz taką nagle ożywioną, oczy śmiejące się, szczęśliwe, mięśnie zajęte pracą ożywczą, słysząc śmiech szczery, wesoły, zamiast owych słów przekleństwa i przygnębienia.

Ach, ten śmiech! Ten śmiech, tak potrzebny do istnienia na tej smutnej i zgnębionej ziemi!

Czyż może być coś idealniejszego, sprawiającego wyższą rozkosz dla tego, kto go wywołał, nad ów śmiech homeryczny, swobodny, płynący z pod serca

wesołą kaskadą, a wstrząsający pełnemi kiszkami?!...

— Zacny z szanownego konsula mecenas cnoty drutowanej, — bąknął wreszcie Łaśniewski, który przez cały czas trwania patosu Frasuńskiego, był zamysłony nad czem innym, powtarzając pod nosem od czasu do czasu:

— Gdybym! Gdybym!

— Dziwnem mi się jednak wydaje, — dodał, — dlaczego owe praktyki dobroczynne nasycania zgłodniałych odbywają się w gabinetach?

— Mój kochany, każdy ma swoje wady, dlaczegoż więc i ja nie miałbym ich posiadać?

Ale na czem to ja stanąłem?

— Dalibóg, nie pamiętam.

— Tak, tak, — począł, — przypominam sobie...

Otóż ponad te dwie kategorie dziewcząt, oddających się albo dla gotówki, albo dla chleba, lub wreszcie dla miłości, jest jeszcze jedna, stanowiąca niejako pośród nich stopień wyższy.

Są to w pierwszej linii takie panie,

które nie udzielają się tak łatwo ulicy, a przynajmniej tylko na gumach własnych, to jest, chciałem powiedzieć, znajomego lub remizowych.

W ostatnich czasach, z tej kategorii poczęto rekrutować artystki do teatrów warszawskich.

W drugiej zaś linii można spotkać dziewczęta-pracownice pełne nadzwyczajnego szyku, gustu, skromności w ubiorze i wdzięku w obejściu, a nad to urodziwe...

Ale, ale, — dodał, — jak ci się zdaje, zkąd w tej klasie, przeważnie biednej i gminnej, biorą się naraz takie typowe, rasowe niemal kobiety?

— To już stara, dawno rozstrzygnięta kwestya zapatrzenia się.

— Tak, tak, jest to przeważnie zasługa naszych panków...

Otóż dziewczęta takie, wprost otwarcie są nieprzystępne, ale tak, pocichu...

Powiadam ci, jedzą i piją nie gorzej od tamtego gatunku podlejszego, różnią się tylko od niego hartem i wytrzymałością przy próbach ogniowych, jak również umiejętnym wyborem pieczystego,

a także tem, iż po zjedzeniu, wypiciu i jeździe na gumach, — koniecznie na gumach, — w Aleje, — powiadam ci — klapa! — Nic! — literalnie — nic!

— Zanim szanowny konsul rozpocznie ciąg dalszy tych wspaniałych, jakby notatek na marginesie, niech mi wolno będzie, — rzekł Łaśniewski, przystając przy cukierni Bliklego, — dać mu jedną radę, a właściwie powtórzyć wierszowaną radę starego romantyka.

— Jakaż to?

— »Nie podnoś nazbyt skoro do apoteozy

»Tej, co na cię zbyt skoro patrzy po anielsku«.

W tej skromnej sentencji streszcza się zdanie także rzetelnego znawcy ruchu »linij« i »kategorij«.

Wtem rozległ się szelest atlasów i koło nich mignęła postać wysokiej, szykownej brunetki.

— Bronka...

— Kto? gdzie? — pytał Frasuński.

— Bronka!

— Ona? — Mój kochany, biegnijmy za nią. Pójdziemy na kolację.

— Nie wiem, czy zechce.

— Oto masz, — ta należy do drugiej kategorii.

Łaśniewski, podążając za Frasuńskim, nieznacznie uśmiechnął się.

— Ale jednak, co to z niej zrobiło się w tak krótkim czasie!

— Ba, nie napróżno konsul ma oko i pieniądze.

— Cóż, kiedy wszystko na nic.

— Jakto?

— Leci na męża.

— Tak! A szanowny konsul leci na?...

— Ha! ha! ha! — przecież mam żonę.

— Która ciągle płacze! A Bronka... hm, możeby warto było zastanowić się nad tem...

— Dobry wieczór pani, — dodał, — kłaniając się z gracyą byłej pokojówce.

Ta wdzięcznie kiwnęła główką i podała małą rączkę.

— Dobry wieczór! Dokąd to? — spytała.

— Konsul prosi na kolacyę.

— Ale — bez konsula?

— A któż w takim razie zapłaci?

— Damy sobie jakoś radę.

— Złota dziewczyna, — szeptał do Łaśniewskiego konsul, — gdybym jej cnoty już nie wypróbował, tobym mógł sądzić, iż rzeczywiście leci na ciebie...

— No, co tam, weźmy tymczasem fundatora, — proponował Łaśniewski, — niech i na nas popatrzy, jak to my »wstawiamy«.

— Jedźmy!

— Rzeczywiście, powiem kochanemu konsulowi na ucho, to — kokos, nie dziewczyna, — mówił Łaśniewski po kolacyi i po odwiezieniu Bronki do domu, idąc z nim pod rękę Chmielną.

Czyś pan słyszał, jakie ona ma śliczne zasady?

Wszystko dobrze, — powiada w rozmowie z szanownym konsulem, — ale »szaconek« — przedewszystkiem!

A jak to ona uroczym wymówiła ten »szaconek«!

Dziwię się, że konsul nie ucałował ją za to w usteczka różowe.

— Ba, kiedy nie da się.

— Nawet pocałować?

- Nawet.
- Kokos! kokos nie dziewczyna!
I nie płacze? — pytał.
- Nigdy! zawsze uśmiechnięta.
- A serce?...
- Złote... Ach, co jabym dał za to,
żeby z nią być tak, — poufnie.
- Wie konsul co, — rzekł Łaśniewski, przystając pod latarnią, jakby zdecydowany na krok stanowczy, — wie konsul, co? — powtórzył. — Gdybym był takim szczęściarzem, jak pan, tobym zaryzykował...
- Co takiego?
- Może pójdziemy tylko na kieliszek winka? Teraz ja funduję, — prosił Łaśniewski. — Ot niedaleko, do Podgórskiego.
- Już jedenasta!
- Bagatelka! Mam jeszcze całą noc czasu.
- Jako?
- A no, pokłóciłem się z Fraciewiczem.
- I cóż?
- I przeważnie sypiam po hotelach.

— W jakim?

— Rozmaicie, najczęściej w Europejskim. Żal mi jednak traconych na takie bagatele pieniędzy, z chęcią przepędziłbym zatem czas z konsulem.

— Ha, to wstąpmy, ale ja płacę.

— Ależ nie mogę przyjąć!

— Inaczej, ani kroku!

— No to chyba w takim tylko razie — dodał z pozorną niechęcią, zgadzając się na propozycję.

W handelku, po wypiciu półbutelki, Frasuński kazał podać drugą.

— Szanowny konsul, — począł Łaśniewski, gdy nalano w nowe kieliszki — ma gust, — ma bardzo nawet dobry gust, a przytem szalone szczęście do kobiet. Lecz ponieważ wiadomo, iż powodzenie obowiązuje, ztąd trzeba z niem liczyć się — i to bardzo.

Bronka wprost szaleje za konsulem, a to uczciwa i dobra dziewczyna, chociaż z drugiej znów strony Fracewicz ma też u niej łaski. Figlarz z pana!

Przewiduje to jednak i mówi dziewczynie, iż konsul chce ją poprostu, jak

pierwszy lepszy nicpoń z ulicy, zbałamucić, a potem — rzucić.

— Zrobiłbym dla niej wszystko, cóż, kiedy stawia warunki wprost niemożliwe: chce zostać — panią konsulową!

— A Fracewicz je przyjmie! Lecz ona jeszcze wzdraga się...

— Jaktó?

— A no, mówiąc tak pomiędzy nami, — tylko słowo, że konsul nikomu nic nie powie?

— Ależ słowo! I cóż Fracewicz? — pytał, przysuwając bliżej krzesło.

— A no cóż? — Fracewicz od niejakiego czasu, to istny pan! Ma sławę, rozgłos, jada same homary, ostrygi, — pieniędzy ma, jak lodu, a gdy idzie po ulicy, to złoto na nim kap!... kap!.. kap!... kap!... aż kapie...

— Tak? Nie wiedziałem o tem. Dla czegoż w takim razie zajmuje ten sam pokóik na trzeciem piętrze?

— To z przywiązania do mnie.

Otóż ten Fracewicz, ten pan całą gębą, proponował jej...

— Co? — Mój kochany, co on jej mógł proponować?

— Konsul nie domyśla się?

— Gabinet?

— Bah! — Nawet z całym utrzymaniem.

— Niedoczekanie jego! — zawołał stary, zrywając się z krzesła. — A cóż ona?...

— Czeka na decyzję konsula. Szeptała mi nawet teraz ukradkiem, że dłużej nad dni parę nie wytrzyma z tym Fracewiczem.

— A to położenie! Bez wyjścia!

— E, bajki! Na świecie wszystko możebne.

— Co mi tam gadasz!

— Możemy pomówić otwarcie?

— Co ty mi możesz powiedzieć nowego otwarcie? Że Bronka prześliczna?!

— A pani Iza płacze... Za zdrowie pani Izy!

— Za zdrowie!

I trącili się kieliszkami.

— A no, płacze, płacze, — kończył stary.

— Ztąd widać, że nie jest z konsulem szczęśliwa!

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego? ptasiego mleka chyba jej braknie.

— Zapewne... Konsul »byczy« facet, tylko — łydki ma nieco sfatygowane.

— Jeszcze ujdą!...

— I kolanka mu się trzęsą... Za zdrowie konsula!

— Dziękuję; głupstwa pleciesz!

— Pani Iza widocznie potrzebuje czego innego...

— Rzekłem: ptasiego mleka...

— A konsulowi mleka — brak! Bronka zaś taka zakochana w konsulu, że patrzy nań, jak w tęczę.

— Czy aby na seryo mówisz?

— Jak zawsze z konsulem.

— Za zdrowie twoje!

— Dziękuję! — Przepadam za tym toastem! Chociaż Fracewicz nie bardzo...

Jucha Fracewicz!!

— A to węzeł, a to węzeł, — mówił do siebie konsul, przechadzając się po izbie.

— Przeciąć go! — dorzucił Ła-

śniewski. — Tylko prędko, bo termin zwłoki przechodzi... Za zdrowie Aleksandra Macedońskiego!

— Nie rozumiem, — rzekł towarzysz przystając, aby trącić się, — jakto przeciąć?

Łaśniewski zająrzył do butelki, — świeciły pustki.

— A no, w zgodny sposób pogadawszy z panią Izą, podać się do rozvodu.

— Co? Ja? — Do rozvodu?! — wrzasnął stary, uderzając w stół kieli szkiem, — niedoczekanie twoje! Czyś oszalał? Dać taką ładną, taką młodą kobietę byle kpowi? Ani myślę!

— Pchi! — brzęknął wargami Łaśniewski. — Przepadło! Kochany konsulu, — proponował — jeszcze chwilkę. Za zdrowie Bronki!

— Nie chcę! Ani myślę! — Już nie piję i wracam do domu!

Garson, płacić! — zawołał na chłopaka.

— Fu! Aż mi gorąco! — monologował Łaśniewski, sunąc samotnie po

ulicach. — Bo też po jakiego djabła wdaję się w to wszystko? — Co mnie obchodzi Iza, Fracewicz, Bronka, Frasuński, co do którego nie jestem pewien, czy był kiedykolwiek jakim konsulem, — i co mógł wizować?!

Tfu! taki partacz!

— Garson, płacić! Wielki mi pan!

I jabym mógł to samo zaśpiewać, gdybym miał choć szeląg złamany przy sobie, naturalnie, przy sobie.

Przecież każdemu wiadomo, że w domu mam ruchomości, i to jakie jeszcze!

— Garson, płacić! — Nie mógł poczekać jeszcze parę godzin i o świcie poszedłbym wprost do domu, a tak... Włócz-że się teraz po ulicach «syreniego grodu», jak powiadają kurjerki, i to tak, aby nie zaintrygować »stojącego«.

Podłe życie! Psie życie!

Trudno być nawet filozofem, nie tylko humorystą!

I skąd tu czerpać humor?

Byle kiep bierze ci z przed nosa najładniejszą dziewczynę, daje atłasy na

przystrojenie grzesznego widoku, funduje kolację, roztrąca na gumach, stawia wreszcie dwie butelki wina, a ty?

Co ty możesz postawić? Ty, który nie masz nawet tradycyjnego parasola w tradycyjnym kącie.

I wszystkiemu temu winien Fracewicz!

Poczekaj, łajdaku, będę ci na drugi raz wyszukiwał pokojówki i wprowadzał je w świat, jak papa.

Dam ja ci modelki! Dam ci konkurs!

Lecz co tu winna Iza? — dodał po chwili, — ta dobra, wesoła, trzpiotowata, i jak dziecko, nieopatrzna Iza? Za co ona cierpi?

Fracewicz co innego, a ona co innego.

Hm! a może i ty w niej kochasz się, Łaśniewski?

Mniejsza o to, jej idzie o Fracewicza, kiedy nad charakterem tego łajdaka tak płacze.

A może ich pobrać? pomyśl nad tem!
Pasyami lubię swaty!

Tandem tedy możeby z miejsca ruszyć do Bronki, niech kandydatka na konsulową zaleje staremu sadła za chudą skórę...

Nie będę humorystą, jeżeli nie zmuszę go, aby wybrał: albo wóz, albo — tu zrobił odpowiedni ruch kolaniem — przewóz.

Nie, do niej można iść dopiero jutro. Stary przepłaca szpiegów. Zatem — do domu!

I począł nucić:

Do domu, do domu, do domu pójdźmy wraz,
Bo już jest słuszny czas...

Cichaczem przesuwając się koło łóżka Fracewicza, usłyszał, jak ten jęczał przez sen i wołał Izy.

— Bydle! — szepnął. — Ośmiela się w niewykrochmalonej bieliźnie wspominać słodkie imię tak delikatnej osoby! Poczekaj, dam ci zaraz »asana«.

I nie mogąc dłużej powstrzymać sprawiedliwego gniewu, błyskawicznym ruchem trzech palcy prawej ręki dotknął się twarzy śpiącego, czyniąc z niej tak zwanego »lewka«, poczem uspokoił

jony już i zadowolony z siebie, rzucił się pod kołdrę mamrocząc:

Bo już jest słuszny czas...

Po chwili spał snem kamiennym, — pomszczonego humorysty.

* * *

Wilski długo nie pokazywał się u Niwickiego. Ten jednak wpadł do niego zaraz na trzeci dzień, a nie zastawszy, po tygodniu znowu przyszedł z Liwskim.

— Cóż się z tobą dzieje? — wołał na widok kolegi. — Przyjeżdżasz po tak długiej nieobecności do Warszawy i ani wstąpisz do nas. Mam do ciebie mnóstwo interesów i nieco projektów, wiele roboty; żona z swej strony ma jakieś niebezpieczne na ciebie zamiary, jakieś swaty, jakieś asystowania przy wyprzedażach. A ty, taki chłop modny, ani się pokażesz. Tak nie postępuje się ze starymi znajomymi.

— Przedewszystkiem, czuję się jeszcze znużonym, — odparł Wilski po

zamienieniu zwykłego powitania, — powtóre, musiałem zająć się siostrami, a po trzecie — czytać, a raczej przerzucić stosy pod pewnemi względami ciekawych listów.

Patrz, — dodał — oto są owe dokumenty.

Sądziłem dotychczas, iż opowieść, którą gdzieśśić słyszałem, czy też czytałem: jak piękne panie, i to ze sfer »wyższych«, pode drzwiami pewnego hotelu wyczekiwały na kolej widzenia się z jakimśiście włoskim tenorem, przybyłym do Warszawy, a odznaczającym się nie tyle głosem, ile reklamą i pyszną budową atlety, — jest farsą.

Tymczasem nie jestem ani tenorem, ani Włochem, ani odznaczam się zaletaniami fizycznemi, zaledwie cośkolwiek nabazgrałem, a — przerzucicie okiem te listy!

Co tu naznaczonych spotkań, co tu wyznań sympatyj, ba, nawet miłosnych westchnień, nawet propozycji ożenku, z wyliczeniem niezbędnego posagu!

O, kobieto! wołam, wobec tego kapitalnego stosu głupstw i głupstewek, —

z jakiejże ciekawej strony te listy ciębie przedstawiają!

— W każdym razie dowodzą, że kobiety nie tylko interesują się ruchem umysłowym, ale i przejmują.

— Tak, nawet zabardzo, jak każda jednostka, która nie jest silną fizycznie, jest raczej chorą na nadwrażliwość nerwową, która z tego powodu we wszystkim, w nauce, w sztukach pięknych, w przemyśle, w rękodzielnictwie, w jakiegokolwiek gałęzi pracy, szuka tylko igraszki, zadowolenia swoich zmysłów, swoich nerwów, szuka tylko pozorów do flirtu, jak kotka jakiegokolwiek przedmiotu ruchomego, aby pokazać całe swoje niebezpieczne bogactwo: pazurki.

— Ja widzę, — rzekł Liwski — pomiędzy tymi listami są nawet, i to przeważnie — listy, pisane charakterem bardzo szykownym, stylem wyszukany, na papierze ozdobnym.

— Poczekajże, zaraz urządzimy auto-da-fe.

To mówiąc, wrzucił je go kominka i podpałił.

— Liwski! — możebyś ze szmeru ognia i kształtów płomieni wysnuł jaki nowy »kawalerski poemacik«, »nie pozbawiony bicia serc, namiętności, przestróg i złamego łóżka«.

— Gadasz, jak humorysta na pogrzebie własnych złudzeń, — rzekł Niwicki.

— I ja też wiem cośkolwiek o tych paniach, — rzekł Liwski.

Redakcye warszawskie mają też kilka takich okazji, które przychodzą ni byto z rękopisem, ni byto po odbiór gazety, lub pod jakimkolwiek bądź innym pozorem, a w istocie, aby móżdż zaimponować swoim koleżankom słowami: »gdym mówiła z Sienkiewiczem«, albo: »Dąbrowski powiedział mi poufnie«.

Dowcipny Łaśniewski zwie te, jak powiada »panny oblatane« — »kaczkami redakcyjnymi« w odróżnieniu od kaczek dziennikarskich.

— Jakże idzie twoje wydawnictwo?— pytał Wilski Niwickiego, po załatwieniu się z listami.

— Społeczeństwo nasze lubi blichtr

odwagi i śmiałości słowa, ztąd zdaje mi się, żem zaimponował i pozyskał swym systemem czytelników.

— Jakimże?...

— Systemem amerykańskim: białe rękawiczki i rewolwer. To popłaca. Ja już więcej nie żądam, tylko powodzenia pieniężnego bądźcobądź, w taki, czy owaki sposób. Naturalnie, mówię to w zaufaniu, jako do pisarza, który stojąc na gruncie odrębnym, nie wiele robi sobie ze sposobów i sposobików dziennikarskich, zgotowanych na łapkę dla prenumeratorów innych pism.

Zdaje mi się, iż moja łapka — zręczniejsza. Ma więcej mechanizmu i, mówiąc otwarcie, bezczelności.

Ztąd wściekłość amputowanych.

— Tak, czytałem nawet, po ogłoszeniu twego prospektu, zapytanie w jednym z pism: »wszystko to jest bardzo piękne, ale czego właściwie nowa redakcja żąda?«

— Taka naiwność udana jest dobra! Czego żądam? Haruspeksy! jeszcze cię pytają! Tego, czego i oni — pieniędzy!

Wilski popatrzył chwilę na tego eleganckiego bruneta, który energicznym ruchem popierał wymawiane słowo:

— Pieniędzy! — i nie mógł nic zauważyć.

— Nie chciałbym w lesie spotkać ciebie sam na sam.

— Ha! ha! ha! — To mi się podoba! — rzekł tenże, widocznie ukontentowany. — To mi się podoba, — powtórzył. Zatem konstatujesz, że mam wszelkie dane do powodzenia?

— Tak, masz minę ucywilizowanego bandyty.

— Dziękuję! — ha! ha! ha! — śmiał się.

No, kiedy przychodzisz do nas? Przyjmujemy wieczorami we wtorki i czwartki. Dla ciebie jednak jesteśmy codziennie.

— Jak tylko odetchnę, nie omieszkam skorzystać z zaproszenia.

— Dziękuję. Liwski, zostajesz?

— Zostaję, a raczej zabieram z sobą Wilskiego.

— To do widzenia! Spieszy mi się.
Wyjeżdżam jeszcze dzisiaj na noc.

— Do widzenia!

— No, spiesz się, — rzekł Liwski do Władysława.

— Zaraz będę gotów. Wezmę tylko chustkę, rękawiczki, a teraz — cylinder i — jazda!

— Chodźmy.

— Nie wiesz, — pytał Wilski, gdy wyszli na ulicę, — co się stało z Chrzońskim, i gdzie jest obecnie?

— Wdał się w pewne sprawy i zdaje się, wyjechał w niespodziewaną podróż.

— Na długo?

— Wątpię.

Idąc Marszałkowską, ujrzeni gromadkę ludzi, stojących przed jednym z sklepów.

— Wyprzedaż! — rzekł Liwski, torując drogę. — Tak, już siedzi parę osób.

Wtem przed sklep zajechała błyszcząca kareta i wysiadła z niej jakaś pani.

— Jak ta dobroczynna dama, — szepnął Wilski, — wspaniale sunie przez

chodnik, unosząc do góry brzeg bogatej sukni...

— Tak, wygląda wspaniale! prawdziwie, w całym tego słowa znaczeniu, dobroczynnie. Wygląda, jakgdyby miała chęć powiedzieć:

— Pójdźcie tu wszyscy, którzy smuceni jesteście, a ja was pocieszę...

Przechodząc koło nich, spojrzała im prosto w oczy, a jednocześnie Liwski uczuł, iż ręka towarzysza, oparta na jego ramieniu, ściska go.

— Wanda! — szepnął Wilski, uchylając kapelusza.

Ta rzekła:

— Proszę ze mną.

Wilski podążył posłusznie.

— Zostanie pan z nami, — dodała, — po zarekomendowaniu go obecnym. Mąż mój wyjeżdża dzisiaj do Łodzi i nie mógł być tutaj.

— Z całą ochotą, — odparł Wilski.

I pożegnał Liwskiego, który kupował jakieś fraszki, prosząc go o wytłomaczenie przed siostrami.

— Najlepiej, — dodał, — nic nie

gadaj o spotkaniu mojem z Wandą.
Po co im psuć humor?

— Kiedy pan ma być moim *attaché*, — rzekła doń Wanda, — to zaczynij swą uprzejmość od odprawienia karety. — Każ im powiedzieć, aby nie czekano na mnie z kolacją.

Słowom tym, wypowiedzianym głosem cichym, towarzyszyło takie spojrzenie, iż Wilski czuł, jakby mrowie, przechodzące go od stóp do głowy.

Pospiesznie spełnił jej rozkaz.

Bez względu na to, co zaszło kiedyś między niemi, spostrzega obecnie siedząc, ot tak, z boku, niby obojętny, niby zajęty ożywioną rozmową z sąsiadkami, patrząc na nią, iż kocha ją może nawet goręcej, aniżeli wtedy, gdy zarzucała mu ręce na szyję i tuląc do swej miękkiej piersi, wołała:

— Wierz mi i kochaj!

A chociaż z minionemi dniami boleści zniknęła i Wiara, jednak cały swój udział przelała na towarzyszkę: Miłość, która w ten sposób zyskała na głębokości.

— Tak, kocham! — szeptał, przy-

mykając oczy z nadmiaru tej rozkoszy, iż po tak długim rozłączeniu, po tylu dniach pielgrzymki i ukrywanej przed okiem obojętnem rozpaczy, może chociaż jedną chwilę przepędzić w jej towarzystwie.

— Kocham! — szeptał, pieszcząc myślą jej sploty krucze, dotykając tych jedwabnych włosów, kędziorów, zwieszających się w cudny sposób nad suchym muskularnym karczkiem...

— Kocham! — szeptał w myśli obejmując ramionami łagodny spadek jej ramion silnych i mięsistych, jej tors, wybiegający z ciekawością lubieżną, kształtny i ponętny...

— Kocham! — szeptał, biegnąc, myślą za rozkoszną linią jej kibici, obejmując pożądliwie okiem zgięcie kolana i wychylający się z pod sukni błyszczący koniec bucika...

I znowu otwierał oczy i drżał, widząc jej spojrzenie, nieznacznie i jakby w upojeniu zwracanie na niego, jakby szepczące mu tak ukochane słowo:

— Kochaj!

I patrzył w jej oczy siwe, duże, przepaściste, dotykał w myśli ustami jej ustek mięsistych, maleńkich, wargi górnej przezrzystej omszonej, zachwycał się kształtnym, rasowym noskiem, łagodnym zaokrągleniem brody i szeptał:
— Kocham! kocham!

Burza uczuć poczęła szaleć w jego piersi.

Bo już tak bywa na tym pełnym powikłań świecie, iż nieodstępną towarzyszką miłości jest zazdrość, która podsyca płomienne ognisko swej drużki, nie zawsze mogąc poszczycić się jej wzajemnością.

Ach, bo jakże kochać kogoś całą potęgą młodego i zdrowego serca, — a czuł, iż od dzisiaj, od tej chwili, kiedy ujrzał ją znowu w całej sile wdzięków i powabu, należy do niej niepodzielnie, — i wiedzieć, iż te drogie oczy, usta, nossek, włosy, głowę, szyję, karczek, ramiona, tors, kolana i stopy ma prawo całować i pieścić — inny!

I siłą woli kładł obrożę na te myśli, na te wybuchające płomienie żywiołu,

który, — nieokiełznany, — pożarem swoim mógłby spopielić też wolę.

— Boże! Boże! — szeptał.

— Idziemy? — zapytała cicho Wanda.

Machinalnie wstał, pożegnał z rozchodzącymi się paniami i podał jej ramię.

— Odprowadzę panią.

Śnieg pruszył.

Przymrozek chwilowy ściał ulice szronem.

Musieli iść ostrożnie, zbliżeni do siebie, aby nie upaść.

Co chwila przystawali przed wystawami sklepów, których okna ustroił mróz miliardami różnolistnych kwiatów.

Bezmyślnie patrzyli przed siebie, nie zamieniając ani słowa...

Jednocześnie odsuwali się od tych okien i szli dalej, ciężko, pomału, poważnie...

Wilski co chwila podpierał się laską, lub kreślił nią na trotoarze zygzaki.

Raz nawet dotknął gałęzi drzewa, okrytego bujną okiścią, które rzuciło na nich łyzy śnieżnych gwiazdek..

Tak milcząc, przeszli Aleje.

Gdy zbliżyli się ku Nowogrodzkiej,
silniej przytulił jej rękę...

Za chwilę weszli w bramę.

Sięgnął po klucz...

Gdy znalazła się u niego, zsunęła
z siebie futro — i blada, drżąca, weszła
do pokoju.

A wtedy ruchem serdecznym po-
dała mu obie ręce zimne, skostniałe,
i nachyliła ku niemu usta...

— Za twoje cierpienia, — szepnę-
ła, — winnam to wyznanie, iż ciebie
tylko, ciebie jednego tylko kochałam
i Kocham: masz mnie pierwszy!...

Runął na ziemię i okrywając poca-
łunkami jej stopy, szeptał:

— Wando! Wando!

.....

— Bój się Boga, co się z toba dzie-
je? — wołał Lenk chwytając go na
ulicy. W domu nigdy nie można cię
zastać, wiecznie drzwi zamknięte, szwaj-
car ani piśnie, gdzie jesteś, do sióstr
ani zaglądasz, do Liwskiego także. Je-

steś blady i zmizerowany, jakgdybyś był cierpiący. Gadajże, co ci jest, czyś chory, czy też masz coś na sumieniu?

— Ani choruję, ani nie mam nic na sumieniu, — mówił Wilski, odwracając oczy przed badawczym spojrzeniem Lenka.

— Bo uważasz, od tygodnia już szukam ciebie. Mam pewien interes, a właściwie prośbę, lecz nie wiem, jak wziąć się do niej.

— Z góry zapewniam, że wszystko zrobię, co będzie w mocy mojej.

— Ba, kiedy tu nie idzie o żadne wsparcie.

— Może tego jednego nie mógłbym udzielić...

— Ale za to możesz mi udzielić poparcia.

— W czym takim?

— Może pozwolisz do Lursa? O tej porze będziemy tam mogli swobodnie pogadać.

— Dobrze.

— Kawa czarna i koniaki! — dysponował Lenk

-- Widocznie masz jakieś niedobre myśli, kiedy chcesz mnie przekupić.

— Przekupić? -- nie, tylko dobrze usposobić, gdyż złych zamiarów nie mam. Czuję pewną tremę.

— Zatem, mówiąc prosto z mostu...

— Kocham się.

— Cudownie robisz. Jakiś rymopis powiedział:

»Przez miłość szczęśliwi bogowie

»I ludzie równają się z niemi.

»Przez nią nieba przybywa w połowie

»I niebo się staje na ziemi.«

-- Ba, żebym miał niebo! Przeciwnie, siedzę po uszy w piekle niepewności.

— I to dobre — dla kontrastu, jak korniszon przy sztuce mięsa.

— Widzę, że przy takim usposobieniu nie daleko zajadę z tobą.

— Jedź, jedź, i nie zwracaj na mnie uwagi. Może i ja siedzę w piekle?

I począł nucić półgłosem, palcami bębniąc po stole:

»Na świętego Walentego

»Znika nocy cień...

»Puk w okienko do lubego,

»Śląc mu dobry dzień«.

— Ostatecznie słuchasz, czy nie?

— Mówiłem ci już, nie zważaj na mnie! Gadaj, co ci ślina do ust przynieście. Jestem nieco zdenerwowany.

I nucił dalej:

»Przed dziewczyną Walentyną
 »On się kryje w kącie,
 »Dziewczkę wchodzi, lecz dziewczyną
 »Już nie wyjdzie ztąd!...«

— Otóż kocham się.

— Z góry udzielam błogosławieństwa tobie i potomstwu twemu!

— A niech cię!...

— Dziękuję, a co dalej?

— No, żenić się chcę!

— Błogosławię, jak wyżej, chociaż nie wiem, z kim przyjemność?

— Właśnie w tem sęk!

— Przecie nie z jakim »rumpudłem«? — jak powiada Chawłowski.

— Wręcz przeciwnie...

— Z pudłem?

— Nie! z tobą nie można mówić seryo! kończę kawę i do widzenia!

Wilski wypił kawę, odsunął kieliszek, i obcierając batystową chusteczką wąsy, rzekł:

— No, a teraz, mówmy poważnie. W czym ci mogę być pomocnym? Mów, tylko lakonicznie.

— Myślę o pannie Helenie.

— Zgoda! Masz moją rękę na to, że będę ci pomagał. Idzie tylko, abyś również miał za sobą Helenę. Rozmawiałeś z nią w tej kwestyi?

— Nie.

— To idź do niej! Gdy będziesz składał cioci Mani życzenia, — jutro jej imieniny, — powiedz Helenie, coś mówił teraz, dodając, że już rozmawiałeś o tem wszystkim ze mną.

A teraz, — dodał, wracając do poprzedniego tonu, — powiedz-no mi, jak ci się wydaje owo poprawianie Szekspira przez zacnego tłumacza? Szekspir kończy swą piosnkę o dniu świętego Walentego wykrzyknikiem:

»A jam z tobą spał!«

Tłumacz, — jak powiada, — »dla przyzwoitości« dodał westchnienie:

»Żal, że ci ją dał!...«

Ja, naturalnie, wybrałem drugie, bo my wszyscy, jak jesteśmy, nie mamy

w sobie nic szczerego, żywiołowego, bo my wszyscy, jak owi mandaryni, tysiącami głupstw i głupstewek zatruwamy sobie życie — idyoci!

Tu powstał.

— Do widzenia! — rzekł. — Skończyliśmy konsylium, dałem ci lekarstwo, urządzaj się, jak chcesz, a moim dolegliwościom — daj spokój!

Uścisnął go serdecznie i tak rozeszli się.

Był źle usposobiony, bardzo źle!

Świat cały wydał mu się wstrętnym, plugawym!

Wewnątrz siebie nie znajdował także spokoju, harmonii, lecz zamiast nich jakąś burzę, pełną zgrzytu, zgiełku, śmiechów wichru, drwiących i zgryźliwych, pełną mgły niezdrowej, mrocznej...

Brrr!... wstrząsał się co chwila.

Jakże świat jest brzydki, gdy nie świeci nam słońce pogody, nie błyszczy lazur świetlany spokoju sumienia!

Głupio jest wtedy na mrocznym padole, brzydko, podle, nieznośnie!...

Mimowoli skierował swe kroki na wystawę sztuk pięknych.

Za chwilę znalazł się przed obrazem Fracewicza.

— Tak, — szeptał do siebie, patrząc na cudowne kształty Fauny, — dusza nasza w wiecznej walce z zmysłami, świat ideału w wiecznej rozterce z światem rzeczywistości. I wiecznie ucieka ona myślą od swego satyra — ciała, który z szyderczym na te wysiłki uśmiechem trzyma ją w swych objęciach, pograżając w nową rozpacz i coraz to nowe rodząc bunty.

— Witaj, — usłyszał za sobą cichy głos, przerywany suchym kaszlem.

— Wszelki duch! — zawołał, ciesząc się serdecznie z widoku Chrzońskiego, — jakże czujesz się po tej drodze?

— No, teraz, mówię ci szczerze, czuję, że jestem człowiekiem, tylko ten kaszel, gdyby nie ten kaszel!

Bo ja tak pragnę żyć! Tak pragnę pracować dla dobra swoich!

Ci ludzie wobec ogromu nędzy istnieje-

nia, pomimo swych błędów, są tacy dobrzy!

I gdy ich wypadnie mi krytykować z zawodu swego, to nieraz na ustach zjawia mi się pytanie, jak można takich nędzarzy, stawianych przez los pod pręgierze, chłostać biczem satyry?

Dzisiaj, — tych ludzi, — podłych i szlachetnych, wzniosłych i niskich, mądrych i głupich, — mogę tylko kochać, kochać bez granic, i współczuć ich nędzy, jednocześnie łzy lejąc nad nimi...

Był blady, schorowany, mówił cicho, pokaszłując.

Od czasu do czasu, jakby zwykłym odruchem, chwycił się za piersi.

— Jakże ma się panna Helena? — pytał. — Takem jej dawno nie widział.

I rumieniec blady wykwitnął na jego żółtych licach.

— Dobrze! — dziękuję. Zajdź do nich, bardzo będą ci radzi. Nie uwierzysz, jak często, z panią Izą na czele, wspominają o tobie.

— Dobrze, zacne kobiety. — A ty,

jakże, widujesz się, — tu chwilę przystanął, — z Niwickim?

— Widuję.

— Cóż on?

— Serdeczny i przyjacielski, jak zawsze.

Rozmawiając tak, wyszli z gmachu i z wolna sunęli Krakowskim Przedmieściem do Saskiego placu.

— Słuchaj, — rzekł Chrzoński, przystając, gdy weszli do ogrodu. — Przebacz mi, że zadaję ci tak drastyczne pytanie, lecz ty i twój talent obchodzicie mnie bardzo, jako jedna z liczb poszczególnych sumy ogólnego dobra, ztąd nie posądzaj mnie o prywatę...

Tu znowu nastąpiła pauza.

— Powiedz mi, jak jesteś z obecną panią Niwicką?

— Rozmaicie...

— Rozumiem! — Nie chcesz być ze mną szczerym! — przepraszam. — Jednak, Wilski, zaklinam cię na wszystko, co masz najświętszego, unikaj tej kobiety, która już raz o mało nie zgubiła ciebie.

Strzeż się, abys po raz drugi nie wpadł w podobne opaty.

Nie wierz jej, chociażby u nóg twoich czołgała się i jak o kawałek chleba prosiła o przebaczenie w imię miłości, bo jej nie o miłość idzie, jeno o rozpustę.

Ona jadem zmysłów zatruje ci życie, odbierze jasny pogląd, pozbawi równowagi i uczyni godnym pogardy, wstrętnym dla samego siebie.

I rzuci ciebie, gdy zostaniesz pusty, czczy i suchy, jako sitowie, które lada wichur jesienny łamie i skazuje na igraszkę po polach...

— Ależ ty, jak widzę, masz tyle pojęcia o kobietach i miłości, co hotentot o sztukach pięknych, — odparł Wilski, chcąc w żart obrócić słowa kolegi.

— Śmieję się, lub udawaj, że się śmiejesz, a ja powiadam ci, że szkoda takiego, jak ty człowieka, szkoda każdego wogóle, kto może coś lepszego jeszcze zdziałać nad szafowanie bezcelo-

we zdolnością kochania w zakresie tak ciasnym.

Wznies się wyżej na szczyblu doskonałenia ducha!

Nie marnuj życia swego na gonienie za bezcelową rozkoszą, rozstrzelające siły na tysięczne promienie bez światła i ognia, na tysięczne łachmany bez znaczenia i pożytku: zogniskuj je lepiej na cel jeden jedyny, godny wysiłku i pracy — na ogół, który jest tak biedny, tak biedny!

— Ależ nakręcili cię, bo nakręcili! — Gadasz, jakgdybyś conajmniej wracał z puszczy i posilał się bożą manną. — No, jakże, kiedy będziesz u Frasuńskich? Jutro cioci Mani imieniny — może zajdziesz?...

W tej chwili uwagę ich zwróciła na siebie grupa mężczyzn, idących boczną aleją, którzy nagle zatrzymali się i naraz uformowali dwa niewielkie koła. W środku, z jednej strony stał jakiś rudawy jegomość i, wywijając kijem, groził drugiemu, stojącemu w przeciwnym kole także z laską w ręku.

Obaj zdawali się bardzo zacierzewieni.

Wilski z Chrzońskim z łatwością poznali Łaśniewskiego, Fracewicza i kolegów.

Lecz zanim zdolali ruszyć ku nim, spostrzegli, iż obydwa przeciwnicy, nagle, jakby na czarodziejskie skinienie, cisnęli precz kije, rozwarli ramiona i po chwili rzucili się sobie w objęcia.

— Niech żyje przyjaźń! — zawołał Wilski, witając się z nimi.

— Fu, — rzekł tymczasem Łaśniewski, wrywając się z ramion druha, — mało mi kości nie połamałeś!

— Bo też jest za co! No chodź, niech cię jeszcze raz uścisknę!

— A no, to chodź!

I znowu padli sobie w ramiona.

— *Vivat pax! vivat amicitia! pereat discordia!* — łącząc im głowy w wzajemnym uścisku wołał Liwski, któremu ni ztąd ni zowąd zebrało się na łacinę.

— Oblewamy, — proponował Sękowski, gdy Kastor i Polluks, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, wzięli się pod rękę i poczęli iść naprzód.

— Oblewamy — powtórzył Frace-

wicz, — panowie, proszę do mnie. Każdą radosną nowinę należy odpowiednio uczcić, aby i na drugi raz nie omieszkała dać znać o sobie, a że przed chwilą odebrałem pieniądze za obraz...

— Zatem — biba!

I hurmem poszli na Hożą.

Po drodze Wilski dowiedział się, że Frasuński, za radą Bronki, podał prośbę do konsystorza o rozwód i że uzyskanie go jest możliwe.

— Nie macie pojęcia, — rzekł Łaśniewski, — jaka to dzielna dziewczyna. I z kąd jej wzięło się tyle sprytu! Wszak niedawno, pamiętam, z największą pewnością siebie gadała zamiast: twarz — »ćwarz«, zamiast wolantu — »walantu«, zamiast kasta — »kasta« ludzi... A dzisiaj? — Z jakim to ona wdziękiem mówi dzisiaj do starego:

— Wszystko dobrze, ale »szaconek« przedewszystkiem! — jakby już dzisiaj była panią konsulową. A że nią zostanie, za to dałbym cały swój majątek...

— Jakto, otrzymałeś spadek? — pytał Wilski.

— Jaki tam spadek? — rzekł za Łaśniewskiego Fracewicz, gdyż tamten w tej właśnie chwili począł z wielką uwagą przyglądać się zgiętym ku sobie nogom wron, podskakujących na placu Wareckim.

— Mówiąc o całym majątku swoim zapewne kolega Łaśniewski miał na myśli trupa głowę z fezem i cybuchem w zębach, która pozostała mu z wszystkiego, nie biorąc w rachubę tego, co ma na sobie.

Tak, tak, wojna trzydziestoletnia zapewne do tego stopnia nie zubożyła narody, jak nas tę parę tygodni niezgody.

— Nie masz znowu czego tak martwić się, — pocieszał go Łaśniewski, — im mniej będziemy mieli gratów na ziemi, tem bliżej będziemy nieba. Tylko boję się, aby te pieniądze, któreśmy dostali za obraz, nie pogorszyły nam marki u świętego Piotra... Puśćmy je czemprędzej!...

— Czyś także coś namalował i sprzedał? — pytał Sękowski.

— Nie, od niejakiegoś czasu dora-

biam tylko tytuły do obrazów Fracewicza, ale i to popłaca. Mamy za to papu, mamy lokal...

— Jakto mamy lokal? — Nasz lokal! — poprawił go Fracewicz.

— Mój kochany, nie sprzeczasz się ze mną, — mamy lokal...

— Nasz lokal!

— Poczekaj, niech ci wytłomaczę w sposób zgodny, bo widzę, znowu masz zamiar sprzeczać się, a ja tak jestem osłabiony przeszłemi awanturami, iż nie mam najmniejszej ochoty studyować ulicę nocą *da capo*.

— Ani myślę się kłócić!

— Zatem mówmy delikatnie: ja mam lokal?

— Masz lokal.

— Ty masz lokal?

— Mam lokal.

— *Ergo* — mamy lokal.

— Nie, nasz lokal!

I tak idąc pod rękę od Wareckiego placu do samego domu darli się »delikatnie« o ten »mamy lokal«.

W mieszkaniu przyjaciół można było stwierdzić wiarogodność słów malarza.

Umeblowanie zaiste godne było smutku.

Ale Łaśniewski, jako gospodarz, rozpromieniony zgodą, rozwinął taki zasób humoru i pomysłowości, a Fracewicz gotówki, głowy zaś i biusty gipsowe tak wybornymi okazały się stołkami, iż zapomniano wkrótce o ruchomościach, przenosząc się myślą w dawne olimpijskie czasy...

— Jakże to stało się, — pytał ktoś z obecnych, — że Frasuński zwykle zazdrosny o swoją żonę zgodził się na krok tak niezwykły w jego wieku?

— To już nie moja rzecz, — odparł Łaśniewski. — Sądzę, iż to sama zazdrość powiodła go w stronę przeciwną. A dlatego radziłbym, aby Fracewicz nie włąził mu w paradę.

Przedstawcie-no sobie, ktoś mu powiedział, iż Fracewicz bierze Bronkę na...

No, rozumiecie na co?

— Na »fis?« — pytał Chawłowski.

— Coś niby...

W tej chwili gospodarz wniósł wazę ponczu.

Zapalono arak.

— „Pieśń ma być już w grobie, już chłodna — zaintonował Łaśniewski, a inni poszli za jego przykładem.

Jeden tylko Wylski nie brał udziału, mimowoli porównyując swoje usposobienie dawne i obecne.

— Spodlałem, — szepnął, i spojrział na zegarek: było wpół do szóstej.

O szóstej miał zobaczyć się z Wandą.

— Żegnajcie, — rzekł, gdy skończono ucztę upiorów i zabierano się do zwykłej szermierki językowej.

— Zostań jeszcze chwilę. Przejdziemy się do Łazienek.

— To chodźcie, odprowadzicie mnie później do domu.

Wieczór był jasny, księżycowy.

Gwiazdy mrugały na szafirze ciemnym mroźnego nieba.

Drzewa przydrożne, pokryte sutą okiścią, lśniły w świetle migotliwym latarni, drżącym za lada podmuchem silniejszego wiatru...

A jakże będzie z Izą? — szepnął Fracewicz do Łaśniewskiego, — a nuż nie zgodzi się na rozwód?

— Jutro cioci Mani imieniny. Wybiorę się do nich umyślnie. Nie przypuszczam, aby była, mówiąc delikatnie, naiwną i nie skorzystała z okazji. Przytem trzebaby, abys się z nią zobaczył.

— Bah! — Wiem z pewnego źródła, iż zabroniła wpuszczać mnie do domu.

— Czyż to »pewne źródło« takiego samego kalibru, jak nasza »droga polubowna«, którąśmy chcieli urządzić Frasuńskiemu, gdy przyszedł do nas z pierwszą wizytą?

— E...

— A mnie wpuszczą?

— O tobie nie było mowy.

— No, to będę konkurował.

— Serjo? — wołał Fracewicz z pewnym niepokojem w głosie.

— Hm! A cóż to mi szkodzi? Czyż nie jestem chłop, jakby umyślnie stosowny do zalotów? Patrz! — Łeb w płomieniach, wąs *ditto*, nawet broda głu-

— i gdybym jej starannie nie go-
lił, powiedziałaaby, że mi gore w łonie:

«Gore w łonie, pędzi koń.

»A dziewczęta klaszczą w dłoń!...«

Cóż, nie prawda?

To mówiąc podkręcił wąsa.

-- A że ze mnie frant nie od pa-
rady, -- dodał, -- więc myślę, że pani
Iza — skapituluje.

-- A w czymże pójdziesz? — py-
tał złośliwie malarz.

-- No, przecież pieniądze za obraz
mamy, frak się wykupi, lub wynajmie,
zważając na to, co będzie taniej, po ręk-
kawiczki możemy wstąpić zaraz, a o re-
szczę — furda!

-- Pamiętaj, — rzekł Fracewicz, —
jeżeli odbijesz mi Izę, co cię napewno
nie wpuszczę na noc do domu.

— Bądź spokojny! Jeżeli mnie nie
zechce, — boć trudno, i Herkules prze-
ciw spaczonemu gustowi baby nic nie
pomoże, — w takim razie może sobie
wybierać — ciebie.

— Wilski, co się z tobą dzieje? —
pytał Liwski towarzysza. — W domu ni-

gdy nie można cię zastać, wiecznie drzwi zamknięte, szwajcar ani piśnie, gdzie jesteś, do siostr nie zaglądasz, jesteś blady i zmizerowany, jakbyś cierpiał... Co ci jest?

— Czem mogę służyć? — odparł tenże, przypominając sobie rozmowę ranną.

— Mam pewien interes, a właściwie prośbę, dosyć drażliwej natury.

— Chcesz żenić się?

— Jakbyś był jasnowidzącym!

— Ponieważ wspominałeś mi o twej sympatii do Janki, a jesteś człowiekiem solidnym, ztąd wnoszę, iż twoją przyszłą znam dobrze.

— Jesteś nieoceniony, — rzekł Liwski, ściskając go serdecznie za rękę. — Dziękuję ci bardzo.

— Jednak pogadaj z Janką.

— Zdaje mi się, że mam jej zgodę.

— W takich razach nie może być żadnego »zdaje się«. Jutro popołudniu będziesz na imieninach pani Maryi, załatw sprawę formalnie.

— Dobrze.

— Życzę wam wszystkiego najlepszego.

To mówiąc, uścisnął go i ucałował.

— No, żegnajcie, — rzekł do towarzyszy, gdy doszli do placu św. Aleksandra. — Na mnie już czas!...

— Do widzenia.

— Ale, ale... Liwski! — zawołał za odchodzącymi. — Mój kochany, jeżeli będziesz mógł, znajdź jeszcze dzisiaj do Janki, może ją zastaniesz, i powiedz, że Lenk słowo w słowo mówił mi to samo zrana, co ty wieczorem, mając na myśli, naturalnie, Helenę. Dlatego proszę cię, jako przyszłego członka naszej rodziny, — urządzcie tak, aby Helena przyjęła go przychylnie. Nie mogę być u nich i porozumieć się w tej kwestyi, a znam Lenka, iż z jednej strony jest niezmiernie wrażliwy na byle bagatelę, z drugiej zaś godzien ze wszechmiar poparcia.

— Dobrze, idę zaraz, — odparł Liwski, kontent z misyi, która dawała mu możność dziś jeszcze zobaczenia Janki — może zastanę panie. — Z temi słowami rozeszli się.

Wilski szybko podążył ku domowi.
Była szósta.

W skrzynce od listów nie znalazł żadnej kartki.

— Zatem przyjdzie! — szepnął do siebie.

Na myśl o spotkaniu pierzchły wyrzuty sumienia i skrupuły, jakie dręczyły go od pewnego czasu, a które, nie wiedząc o tem, jeszcze bardziej rozognił Chrzoński.

Czuł się szczęśliwym, podnieconym...

Przymknął okienice, pozapalał lampy, skropił subtelnemi perfumami dywany, portyery, firanki, otomanę i, oczekując przybycia kochanki, co chwila niecierpliwie patrząc na zegar, wyzierał przez okno lub nasłuchiwał znanego sobie szmeru.

Wanda nie przychodziła.

Niecierpliwiał się, gorączkował, przewidując najrozmaitsze komplikacje, które mogły przeszkodzić przybyciu, drżąc za najmniejszym szmerem...

Wandy nie było!...

Przeszło jeszcze kilka minut...

Czuł się nieszczęśliwym niezmiernie, opuszczonym, samotnym..

I cóż on bez niej pocznie?...

Jak będzie mógł żyć bez niej?...

To gorączkowo biegał, to, przymykając oczy, bezsilny, padał na otomanę, powtarzając w przygnębieniu:

— I znowu powracacie ku mnie, smutki i utrapienia... Zgrają lotnych ptaków, kraczących na żer, spadacie na pierś mą, cichą i bezdomną, wołając dumom tęsknym: bywajcie!...

Gdzieżeś, spokoju mój, gdzieżeście miarowe bicie serca, niefrasobliwa twarzy?

Tak, gdy wichry zachodnie powieją, gałęzie drzew, okryte cudnem kwieciem na wiosnę, zerwane, żółkłe, biedne i samotne, polecą w jesieni w strony obce..

I znowu zrywał się, znowu biegał, tęsknił...

Wtem nagle w przepokoju rozległ się trzask klucza, jedwabie zaszumiały...

Po chwili, zapominając o przebytych cierpieniach, w długim namiętym uścisku tulił — kochankę...

— Proszę tylko zachowywać się grzecznie, — rzekła, zdejmując przy pomocy Władysława woalkę i kapelusz.

Takem biegła, takem zmęczona, tak obawiałam się, aby mnie kto nie spostrzegł!

— Może pani moja rozbierze się? — prosił, wskazując na futro.

— O tyle, o ile... — szepnęła z uśmiechem. — Muszę niedługo uciekać. Idziemy na bal. Będziesz na nim — prawda?

— O tyle, o ile...

— Proszę...

— Prosi się inaczej i tylko my prosimy.

— Ciekawam, o coabyś mnie pan mógł prosić? — A jeśli to ma nastąpić, niechaj nastąpi ładnie.

— Najpierw, — rzekł Wilski, oczarowany pięknnością i elegancją kochanki, z uśmiechem biorąc jej rękę w swe dłonie, — najpierw uchylam skórę brzydką, która ośmiela się zasłaniać białutką i delikatną rączkę i przytulam usta w miejscu, w którym puszek drobny tak dziewczęco ją pokrywa, prosząc, abyś pani zdjęła te tortury średniowieczne...

Potem dotykam się guzików futra, odchylam bobry, które zasłaniają przed

mym wzrokiem szyjkę o liniach wprawiających każdego śmiertelnika w dreszcz zachwyty i, całując karczek, proszę, abys raczyła pozwolić zsunąć z siebie to okrycie nieznośne...

— Ach, nie całuj... Jesteś natrętny!-- I nie zdejmuj futra, przecież i tak zaraz iść muszę...

— Bojąc się dostać zawrotu myśli, — w chwili, gdy na jedno mgnienie jestem tak blisko twych ustek, które mogą mnie wepchnąć w przepaść namiętności, — tulę pozyskane rączki i ręką drugą ujmując twą wzbudzającą dreszcz kibić, proszę, abys raczyła spocząć tu — przy mnie.

— Dobrze, tylko... zdaleka!

— Weź pani, — proszę, — te róże, cudne i białe, jak twoje łono... Lecz nie — niechaj usta moje nie szepcą dzisiaj żadnych sag o twojem łonie! One pokalane pocałunkami tych śnieżnych płatków róż, które, nie mogąc doczekać się mej pani, — myśląc o tobie i szepcząc twe imię — niebaczny! — tuliłem...

— Myślałeś o mnie? — szepnęła, pieszcząc podane sobie kwiaty.

— Kiedy ja o tobie nie myślę?

Gdy wstaję, najpierwszym obrazem, najpierszą myślą, najpierwszem słowem pozdrawiam ciebie. I już tak przez dzień cały chodzę, tylko mając ciebie przy sobie i patrząc na ciebie... A wieczorem, ostatni obraz, ostatnia myśl, ostatnie słowo mówi mi znowu — o tobie!

— Kocham! — szepnęła... Tylko zda-le-ka, — dodała kładąc paluszek na ustach.

— Zda-le-ka!... powtórzył cichutko, jak echo, zaledwie dotykając się ustami warg jej.

— Nie, daj pokój, — prosiła, — bo się pozjadamy! Ot, lepiej, naucz mnie konjugacyi. Jak będzie po łacinie — kocham!

— Amo.

— Kochasz?

— Amas.

— Kocha?

— Amat.

— A dalej?

-- Amamus, amatis, amant.

— Teraz mnie wysłuchaj... Tylko siedź grzecznie... proszę bardzo!

Twarz jej pokryły cudne purpurowe rumieńce, oczy rzucały blaski, usta rozchyliły się, ukazując śnieżne ząbki, gdy poczęła.

— Amo, amas... Dalej już nie umiem!..

Olśniony, zapatrzony w tę kobietę kochaną, siedział niemy i drżący, wodząc ręką po bujnych jej splotach, które nie dbale zsunęły się na ramiona...

Po ciele jego biegły dreszcze rozkoszy, zachwytu...

Przytulił się ustami do ust jej...

— Ach, nie całuj mnie, — wołała — bo... bo cię... uduszę!

Wstała na chwilkę i przeszła się, zatrzymując przy lustrze, aby poprawić włosy.

— Proszę cię, na drugi raz zasłoń to lustro. Nie chcę patrzeć na siebie w takich chwilach...

-- A jabym posiadać chciał jeszcze więcej luster, aby zewsząd patrzyły na mnie oczy twoje!

— Poczekaj, — kiedyś taki nieznosny i nieposłuszny, to na drugi raz przyjdę tak zawoalowana, że nie będziesz mógł zobaczyć nawet moich oczu...

— W takim razie należy mi się dzisiaj podwójna miara wszystkiego...

— No, dobrze! Przysuń twarz, nauczę cię w zamian za twą lekcję — pocałunku motyli.

-- Zawsze byłem chętny do nauk, szczególnie w kwestyi pocałunków.

— Tylko stój spokojnie.

Podsunęła ku niemu swą rozpaloną twarzyczkę w ten sposób, iż czołem dotykała jego policzka i poczęła delikatnie mrugać powieką, przyczem rzęsy jej długie, jak skrzydła motyle, drażniły mu oblicze.

— Ach, ty, pieszcotko moja. — zawołał, gdy po wywołanem wrażeniu, śmiejąc się, rada, odskoczyła na bok. — Zkąd ci do głowy przyszedł pomysł pocałunków tak oryginalnych?

— Od koleżanki.

-- To powinszuj-że tej koleżance genialnego pomysłu, jeżeli jej matka już tego nie zrobiła.

Ale — dodał, — może pani moja pozwoli teraz trochę owoców i likieru?

— Podaj mi to złote winogrono, — rzekła, siadając na otomanie, — i chodź do mnie, podzielimy się... Słodocy nie pijam.

— To może koniaku?

— Nie, nic więcej nie chcę, tylko siądź tutaj... Czy nie widzisz, — dodała, odsuwając na bok podany kieliszek, — jak wyglądam?!

Jak upiór!

— Jeden tylko — prosił. Ręczę nie zaszkodzi.

— To do połowy.

— Dobrze... Dotknij usteczkami.

Dziękuję.

— A teraz ty...

— Dobrze, ale troszeczkę.

— Dziękuję, — mówiła, bawiąc się jego wąsami. — Władeczkę, jesteś dzisiaj cacy...

— Teraz ty...

— Ale — odrobinę.

— Tyle co i ja, — nie więcej!

Dziękuję.

— A teraz, — rzekła, — zamknij oczki, otwórz buzię: dam ci winogrono.

Wilski spełnił życzenie.

Wtedy Wanda cichutko przysunęła swe wargi do jego ust i delikatnie pocałowała.

— Ach daj pokój! — wołał, porywając ją w objęcia. — Bo oszaleję z nadmiaru rozkoszy!

Lecz ona wetknęła mu w usta grono.

— Na, masz, zamiast całusa! i daj mi połowę...

— Masz...

Oparci plecami o poduszki otomany, zwrócenii twarzami do siebie, spleceni w gorącym uścisku, magnetyzując się wzrokiem, siedzieli w zachwycie, w milczeniu, w cichości...

A ta chwila, ta świadomość bliskiej obecności jednego przy drugim, tamowała im oddech, przyspieszała pulsowanie krwi, napływ jej do głowy...

— Tyś moja!

— Mój, mój... ach, mój!

.

Na wychodnem rzekła:

— Słuchaj, za tydzień wyjeżdżam za granicę, może do Włoch, może do południowej Francyi, gdyż bez ciebie tak dłużej żyć nie chcę. Niwicki, — tak mówiła na męża, — naturalnie zostaje w Warszawie. Ty jedziesz ze mną?

— Chociażby — na księżyc!...

A gdy jej już nie było przy nim, nie mogąc ukoić znowu rozbudzonej tęsknoty, uciszyć rozkołysanych nerwów, ani przerwać biegu myśli, rzucił się na otomanę, całował pozostawioną chusteczkę, wołając:

— Boże, jakiż ja szczęśliwy, ach jakiż ja szczęśliwy!...

I tak długo, długo leżał na poły we śnie, w pół przytomnem zdrętwieniu...

Oddawała mu się z taką prostotą, tak pocziwie, a jednak tak bezwzględnie, iż drżał pod wspomnieniem chwil przebytych na myśl samą, aby szczęście to, jakie posiadał, nie rozwiało się, nie znikło.

— Raczej życie! — szeptał...

I zdawało mu się, iż lampa, doga-

sając, przybiera oblicze żółte, schorowane Chrzońskiego, który staje przed nim i szeptem, a głos jego brzęczy mu nad uchem, jak bzykanie osy:

— Nie marnuj życia swego na gonienie za bezcelową rozkoszą, rozstrzelające siły ducha na tysiączne promienie bez światła i ognia, na tysiączne łąchmany bez znaczenia i użytku: zogniskuj je lepiej na cel jeden, jedyny, godny wysiłku i pracy — na ogół, który jest tak biedny, — tak biedny!...

I zdawało mu się, iż na głos ten przedmioty w jego pokoju przybrały wszystkie właściwości ludzi, siebie zaś ujrzał, jakby na ławie oskarżonych.

— Oto pierwsza lepsza pokusa stanęła na twej drodze, — szeptała chusteczka, — i cała przeszłość tak mierzalnie zdobywana i utrwalana — runęła.

— Bo, wszak, nie owijając rzeczy w bawełnę, — z widoczną zawiścią dodał zmięty płatek róży, kurcząc się w rogu otomany, gdzie został porzucony — czem jesteś, jeżeli nie prostym, zwykłym złodziejem, który przywłaszczył sobie leżącą

na drodze rzecz, na chwilę pozostawioną bez opieki i pana?

— Z drugiej znów strony, — mówiła wonna poduszka, — takiego samego postępkę dopuściłby się dziesiąty i setny na jego miejscu. Śmieszne, dziecinne skrupuły!

— Tak, — mściła się róża, — ale postępek tamtych, nie przesądzałby złego, nie przesądzałby podłości czynu.

— Podłości! — syknął oskarżony na ten zarzut.

— A jakżeż to nazwać twój postępek względem kolegi, który całym wpływem popierał i popiera ciebie?

— Tak, ale ten sam kolega grubo zarabia na mnie i kto wie, czy nie zamyka rozmyślnie oczu na postępek żony?

— Więc sądzisz, że gdy właściciel oczu zamyka, udając sen, to tobie wolno bezkarnie wyciągnąć mu z kieszeni zegarek? — Gorzej jeszcze, bo dybać na rzecz najdroższą dla każdego: na cześć!

— Ba, jemu wolno szafować jej pieniędzmi... — poczęła poduszka.

— To jej wolno szafować jego honorem, — kończyła róża. --- Cudowna logika! — Roześmiej-że się, — mówiła, zwracając się do oskarżonego, -- nad tą dobraną spółką, jeżeliś mocen roześmiać się nad pogrzebem własnej uczciwości.

— Tst! — Tylko ostrożniej!

— Bo świeżo... pomalowana! Ha! ha! ha! — szydził pusty kieliszek. — Bardzo jesteś wrażliwy na słowa.

— Moi kochani, nie bądźcież smarkaczami, — wołała poduszka. — Cóż on złego robi?

— Kradnie! — syknęła róża.

Oskarżony usiadł chwilkę przy biurku i głowę wsparł na dłoni.

— Kradniesz, — powtórzyła lampa.

Kradniesz uczucie kobiecie, która bez ciebie zapomniałaby o tych bzdurstwach, jakie płodzi miłość płocha...

Okradasz się z zapału i ognia, który tli się i płonie bez potrzeby, bez pożytku, trawiąc samego siebie.

Kradniesz dnie i noce, spędzając je w tęsknocie i bezczynności.

Jak fakir, zapatrzony w koniec swego nosa, wymawiający świętą zgłoskę »om« wpada w stan błogiej ekstazy, tak samo zapatrzony w obraz kochanki, przypuszczasz, iż świat kończy się na szpicu — jej pantofelka.

— A spojrz-no choćby przez okno — szeptały szyby. — Patrz! Tu idzie głodny, zziębnięty, zgarbiony pod ciężarem pracy i cierpienie wyrobnik, okryty łachmanami i drżący z zimna i głodu; tam — pod murem, stoi dziewczyna blada, skurczona pod ciężarem hańby, chyląc ku ziemi poradlone czoło; ówdzie dziecię, pozbawione światła nauki i przykładu pracy, bosem nogami drepce po zmrożonych betonach, od rana do nocy trwoniąc czas na bezmyślnej bieganinie, na żebractwie, ciemnocie i nędzy...

— Spojrz dalej, — wołał księżyc, wychylając ku niemu swe jasne oblicze, — obejmij okiem szersze widnokręgi! Czy słyszysz tę wrzawę, jęki, te przekleństwa, skargi i pytania, jak huragan, jak powietrzna trąba wstrząsające podwalinami ustroju społeczeństw?

Patrz, widzisz te milionowe twarze, skurczone bólem, cierpieniem istnienia, deptane — i dumnie wznoszące czoło? Ze wschodu i zachodu, południa i północy, biegną do ciebie, przypadają do nóg twych i pytają:

— A ty?!

— Jam człowiek, jam tylko człowiek, nic więcej, — jęczał oskarżony. — Dajcie mi odetchnąć, dajcie mi zaczerpnąć u źródła rozkoszy i szczęścia, by zwilżyć spragnione usta...

A wtedy z mgieł obłoku stanął przed nim duch starca z długą siwą brodą i z groźnym gestem zawołał:

— Kto ręką nie pracuje, temu ręka niezdarna uschnie, kto duchem nie działa, od tego duch Boży — odstąpi!

Na głos ten Wilski zerwał się na równe nogi.

Spojrzał na zegarek: była dwunasta.

Szybko począł się ubierać.

— Tak jest, — szeptał do siebie, — te senne marzenia były wyroczne.

Niech świat, jak chce patrzy na to, postępuję podle, całkiem podle.

Tu nie ma dwóch zdań!

Zależy tylko teraz, czy będę miał tyle hartu, aby strząsnąć z siebie, a przynajmniej przestać uprawiać podłość i świecić bezczelnem obliczem pośród ludzi.

No, Władku, — rzekł, — stajesz na pazury, czy nie?

Wandę kochasz, to fakt. Ach, dusza cała rwie ci się ku niej!

Lecz kochać, a bezcześcić, czy jedno?

Władku, w imię tej miłości, basta!

Zapalił świecę, siadł przy biurku i począł pisać:

Droga moja!

Gdy odczytywać będziesz te słowa, żyć będę w smutku i tęsknocie, daleko od ciebie... Tyś jest gwiazdą moją promienną, tyś jest szczęściem mojem.

Ale i ty przyznasz mi słuszność: uciekam od twych pieścizot, od pocałunków twoich, bo one przyniosłyby ci żalobę, a ja pragnę twej doli... Tyś jest gwiazdą moją promienną, tyś jest szczęściem mojem...

Żegnaj! żegnaj!

Gdybym mógł słowami wyrazić to wszystko, co czuję, gdyby papier ten był sercem mojem, to nie wątpię, że uzyskałbym słowo przebaczenia i zachęty do wytrwania na tej drodze pracy w mroku i — smutku.

O, nie odmawiaj tego
 Twojemu do zgonu
 W.

I odłożywszy list na bok, za chwilę wyjechał na bal.

* * *

Okoliczności tak złożyły się, iż dzień następny, dzień imienin cioci Maryi, miał być znamienym nie tylko w dziejach Lenka i Liwskiego, ale również Łaśniewskiego i Fracewicza.

Łaśniewski, wierny danej obietnicy, od samego rana własnoręcznie »pucował« buty i inne akcesorya swych wdzięków, nie wyłączając ognistej głowy.

Frak wynajęty leżał na nim, jakby ułał.

Trochę tylko był za długi, trochę

za szeroki, ale takie pozowanie na za-
możność ogromnie podobało się hu-
moryście.

Rękawiczki natomiast kupił nieco
obciślejsze.

— Niech wiedzą, -- mówił, — że
mam rączkę małą, arystokratyczną, i że
nie kupuję niczego na wyrost.

Krawat biały godnie się bratał ze
śnieżnym kołnierzykiem.

— Wyglądasz, jak nieboszczyk, —
szydził Fracewicz.

— Boszczyk, czy nieboszczyk, mniej-
sza o to, dość, że mi będziesz zazdro-
ścił sukcesów. Wiesz co, — dodał po
chwili, — możeby tak pokazać się przy-
szłej pani konsulowej? — Nigdy jeszcze
nie widziała mnie w takim majestacie.

— Powiadam ci, zrobisz na tem ko-
kosowy interes: obleziesz, coprawda, tro-
chę pierzami, ale za to gęba ci się za-
różowi

-- Podaj no mi paltot!

-- Ani myślę!

-- No, chłopcze, spiesz się! — Sły-
szysz? — Paltot! -- Będziesz miał, ga-

moniu, zaszczyt otulać Łaśniewskiego i jego szczęście. Rozumiesz?

— Ani myślę!

Jednak, pomimo tego zapewnienia, Fracewicz gorliwie pomógł mu wsunąć ramiona w wąskie rękawy, które, jak mówił humorysta, skrojone były według ostatniej mody. Tylko o możliwości dopięcia się nie mogło być nawet mowy.

— Cudowne rzeczy, — mówił Łaśniewski, — takie paltoty obcisłe: przynajmniej człowiek nigdy nie potrzebuje fatygować się zapinaniem...

— Bo nie może! — dodał towarzysz.

— No, do widzenia! — przekamarał się jeszcze we drzwiach. — Pamiętaj, bądź ubrany, jak na wizytę, bo może przyjdę po ciebie, a w każdym razie życzę ci, abyś mnie witał — kosmato.

Za całą odpowiedź, Fracewicz trzasnął drzwiami.

Znalazłszy się na schodach, Łaśniewski przystanął.

Zdawał sobie sprawę z trudności

wyprawy po rączkę pani Izy, a właściwie, co na jedno wychodziło, po zgodę jej na rozwód.

— I cóż ja, proch mizerny, mogę tu zrobić? — szeptał do siebie, czytając napisy na drzwiach:

»Marya Kłosowska«

»Izabela Frasuńska«.

I ogarnęła go trwoga niepewności, jaką zwykle czują wielcy wodzowie, wogóle wielcy ryzykanci w przeddzień spełnienia śmiałych pomysłów.

— *Alea est jacta*, — szepnął kładąc rękę na klamce. — Nie, jeszcze nie *jacta*, — zastrzegł się, cofając. — Wyglądam szykownie, mam rękawiczki, cylinder, biały krawat, — wartoby się przejść po ulicy.

Zaledwie wyszedł z bramy, tuż za sobą usłyszał wołanie:

— Łaśniewski! — pst! panie Łaśniewski!

Obejrząwszy się, ujrzał za sobą odmłodzonego eleganckiego — konsula.

— Ależ pędzisz, bo pędzisz, mój drogi, — wołał tenże, dysząc z trudno-

ścią, — a ja mam taki pilny interes!
Może wstąpisz na szklaneczkę wina?

Ale — dodał po chwili, oglądając go na wszystkie strony, — jakiż z ciebie zwykowny chłop! No, no...

— Co? Czy nie prawda? — pytał Łaśniewski, okręcając się wkoło.

— Ależ prawda, prawda! — Fiu! fiu!

— Pozwól tedy, konsulu kochany, — ciągnął z odpowiednią powagą, — że dzisiaj ja poproszę cię na szklaneczkę i to tylko na szklaneczkę: mało mam czasu, pilno mi...

— Chyba po moim trupie, — wołał stary energicznie.

— Za kogo mnie masz? — certo-
wał się Łaśniewski.

— Nie o to idzie: ja proszę i ja płacę.

— Zostawże i mnie jakiś udział w danym wypadku i pozwól, kochany konsulu, kiedy już inaczej być nie może, pogodzić te dwie drażliwe strony: ja proszę, a — ty płac. Będzie kwita!

— Zgoda, tak — to zgoda, — mówił, śmiejąc się stary.

Poszli.

— Słuchaj, — rzekł konsul, — pijąc w ręce Łaśniewskiego, — nigdy ci nie zapomnę, coś dla mnie dobrego uczynił.

-- Dajmy sobie buzi, — mówił rozczulony towarzysz.

— Dajmy! kochajmy się!

Nastąpiły całusy.

— Ta Bronka, to istny skarb, który tem bardziej się ceni, im więcej się poznaje.

— I ja coś wiem o tem, — mruknął Łaśniewski.

— Co mówisz?

— Że pannę Bronisławę trzeba tylko poznać...

— Tak, tak... To też za to, że mi dopomogłeś w tej sprawie, będę ci wdzięczny do grobowej deski, — obiecywał stary, obowiązany tą »panną Bronisławą«.

— Dajmy sobie buzi!

— Kochajmy się!

Nastąpiła powtórna porcyca całusów.

— Takich ludzi, jak konsul, to lu-

bię. Niechaj sto lat żyją! — rzekł Łaśniewski, trącając się kieliszkiem.

— Dokończ tylko rozpoczętego dzieła, a raczej prowadź go dalej...

— W to mi graj, — mruknął towarzysz.

— Co mówisz?

— Że życie moje i kieszeń moją poświęcam na usługi konsula, jego konsulatu i — konsolacyi! — Za zdrowie przyszłej pani konsulowej!

— Dziękuję. Bóg ci zapłaci, — mówił stary, — obściskując młodego faccyonistę.

— Czem mogę służyć konsulowi?

— Idź do mojej żony, to jest do byłej mojej żony, i proś ją na wszystkie skarby, jakie są na świecie...

— Nie wyłączając panny Bronisławy?

— Ten skarb ma inny paragraf... Aby zgodziła się na ten rozwód, bo inaczej w łeb sobie palnę.

— A to konsulowi pilno!

— Bo Bronka, powiadam ci, to delicje; to — nektar, to — ambrozya...

— Dlaczego nie jednym słowem: bakalje?

— Co mówisz?

— Że lubi bakalje!

— Pamiętaj, pomóż mi, a będę ci wdzięczny. Masz tu dokument już gotowy, przezemnie już podpisany. Niech go tylko podcyfruje, niech go tylko podcyfruje, — powtarzał.

— Dobrze, — rzekł Łaśniewski spokojnym tonem, skwapliwie jednak chowając papier. — To prezent na imieniny, — pomyślał.

— Zatem ostatni kieliszek: za pomyślność sprawy.

— Za pomyślność! — Dajmy sobie buzi!

— Dajmy! Kochajmy się!

Po raz ostatni ucalowali się i rozeszli.

— Jednakże ta »panna Bronisława« sprytna, — myślał Łaśniewski, wracając na Hożą. — Czyżby to kto pomyślał, że konsul, który na samą myśl rozwodu z takim hałasem wołał:

Garson — płacić! — dzisiaj, będzie

prosił o niego tak pokornie!.. O, kobieto, kobieto, — powiada Szekspir, — i ma rację!

Tak kombinując, delikatnie naciągnął rękawiczki, obcisnął paltot, gdyż zbliżał się do celu podróży.

Wtem z za węgła domu, jakby w lustrze, ujrzał wysuwającego się samego siebie w dwóch osobach: także same cylindry, białe krawaty, także same białe rękawiczki... Brakowało tylko do kompletu rudych włosów.

— Cóż u licha, kto to taki? — Czyżby już dowiedziano się o zamiarach konsula?

— Dzień dobry koledze, — mówił jeden z sobowtórów.

— A, to kolega Lenk, — witał Łaśniewski, patrząc nań kwaśno. — Fiu, fiu, — jak na pogrzeb!

— Na wesele, — poprawił, mimo-woli błędąc tenże. — Nie możesz raz już dać pokój dowcipnym żartom?

— Łaśniewski, — wołał, nadbiegając drugi sobowtór, tak samo ubrany, jak poprzedni, — a ty co tak zamiatasz

ulicę temi szosami? Czy nie znasz przepisów policyjnych, że nie wolno zamiać w godzinach niewykreślonych?

— A, to kolega Liwski... Ależ, proszę, wyglądamy, jak trzej królowie, — rzekł, złośliwie patrząc na nich Łaśniewski, w przewidywaniu konkurentów do ręki pani Izy. — Brak wam tylko darów... Ja bo mam... Ale co tam, — dodał, — wszak wiadomo każdemu:

»Tyś mi żadnego nie dał podarku, —

»Ach, Janku, tyś mój kochanek!«

Proszę, proszę na górę, ja tu jestem gospodarzem!

I jednocześnie weszli na schody.

Pani Iza dnia tego była czegoś bardzo niespokojna. Wogóle, od chwili zamknięcia przed Fracewiczem swego domu, czuła się tak smutną, tak smutną!

Posiadając lat dwadzieścia parę, rzeczywiście była jeszcze, jakby dziecko, i to dziecko wieku, w którym zwolnienie więzów obowiązku, religii i wogóle, wszelkich więzów, doszło do szczytu; dziecko — popsute pieściami ciotki, która ją prawie wyniańczyła,

popsute losem, szcędzącym jej najmniejszej nawet przykrości.

Dziecku temu nieznanem było, co to wolno lub niewolno; nieznaną mu była etyka życia towarzyskiego: najwyższem dla niego prawem było własne chęć, lub nie chęć.

Jakkolwiek jednak postępowała nieraz w sposób, kategorycznie godny potępienia, wobec głosu własnego sumienia zostawała czystą i bez zarzutu.

Prośba męża o rozwód ani ją obezła, ani ucieszyła.

Od dnia ślubu uważała go za osobę do »towarzystwa« — nic więcej — i do tego osobę nie bardzo zachwycającą.

To też, gdy ta »osoba« wymówiła jej »towarzystwo«, nie uczuła różnicy. Bez słówka nawet protestu podpisałaby wspólne podanie, gdyby nie duch dziecinnej przekory, szepczącej, aby zazna-
czyła, że i ona coś znaczy.

Zamkniętej obecnie w domu, jakby czegoś brakowało. Przyczem to »czegoś« łatwo było określić.

Brakowało jej nie męża, który wiecznie był po za domem, lecz tych dwóch wesołych, dobrych do szpiku kości, i uczynnych ludzi, którym tak ufała, a którzy zawsze delikatni i na każde najmniejsze skinienie czuli, nigdy w niczem nie uchybili jej, nawet wtedy, gdy przez płochość swoją nastęrczała im sposobność uroczą...

Nie, stanowczo, — myślała, — podobnie zacnych i przychylnych dla siebie ludzi, nigdy już chyba nie znajdzie.

A im bardziej oddawała się krytyce i rozpamiętywaniu swego postępowania, tem więcej w oczach jej nabierali względów.

Ach, gdyby nie ten Fracewicz!

Ach, gdyby nie on, gdyby nie to jego ostatnie wystąpienie, to narażenie jej! To niedotrzymanie słowa!

Fracewicz! Fracewicz!

On wszystkiemu winien!

On winien, że musi siedzieć teraz w domu, że minęło dla niej bezpowrotnie to życie koczownicze, restauracyjne, za którem tak przepadała, owe zachwyty

nad ogromnemi porcyami schabu, nad antałkowemi kuflami piwa, — które taką miało w sobie ponętę!

Minęły owe sielanki w Łazienkach, we trójkę pod jasnym niebem, kiedy to za cały napój służyła im woda z okrągłaka, a za jadło — »całuski«.

— »Na objad dam ci czystą wodę,

»A na kolację nie dam nic!«

szeptał jej wtedy malarz do ucha...

Minęły bezpowrotnie owe przejażdżki we trójkę na Saską Kępe, do Natolina i Jabłonny, podczas których tenże Francwicz szkicował dla niej na pamiątkę do albumu tak cudowne i pełne poezyi krajobrazy...

Nieznośny! Nieznośny!

A jednak musiał kochać, kochał ją!

I łzy rzewne płynęły po ściągniętej kurczowym bólem twarzyczce, i szeptała:

— Nieznośny! Nieznośny!

Gdyby nie on, jakżeby teraz, — gdy przyjechała tak wesola Janka i Helena, — jakżeby teraz mogło im rozkosznie przechodzić życie...

Myśl o Fracewiczu coraz częściej wplątywała się w tkankę jej marzeń.

Przyczyniały się do tego i pisma, które od owego konkursu coraz częściej wzmiankowały o jego pracach, przyznając mu ogromne zdolności.

Medal otrzymany zagranicą otoczył go jeszcze większym obłokiem chwały.

Słowa Janki i Heleny, które, widząc, że to jej sprawia ogromne zadowolenie, często dzieliły się wiadomością o tryumfach lub zamiarach jego na przyszłość, znane im z pierwszej ręki, bo nieraz z ust samego bohatera, — robiły swoje.

Słowem wszędzie go chwalono, na wszystkich ustach on, tylko on, — ten łotr skończony, — jak go przed innymi z oburzeniem nazywała.

Ach, gdyby go chociaż raz jeden mogła zobaczyć! Ach gdyby go zobaczyć!

Powiadają, że jest taki smutny, biały, że cierpi...

Ta wiadomość, nie mogąc wytłoma-

czyć sobie dla czego, sprawiała jej mimowolną radość.

Wpadła do kuchni i udawała ogromnie czynną, mieszała w garnkach, miesiła, nawet przypasywała fartuszek, co wzbudzało w ciotce taki przestach i obawę, aby siostrzenica z nadmiaru pracy nie rozchorowała się, iż brała ją w pól, jak dziecię, unosiła do góry i stawiała w sali, zatrząskując za sobą drzwi.

— Ależ trzeba być waryatką, aby tak zapracowywać się! — wołała.

— Tak, ciotka chce wykierować mnie na leniucha, na darmozjada... Mój Boże, jak to znać, że jestem sierotą!

— Aby mi nie płacz! Aby mi tylko nie płacz; bo znowu cię osmolę! — mówiła ciotka, przestraszona ostatnimi jej wyrazami.

I następowały pocalunki, pieszczoty i prośby.

To znowu, parę razy napróżno wybiegłszy na ulicę w godzinach, kiedy wiedziała, że Fracewicz wraca lub wychodzi, — siadała zasmucona do forte-

pianu lub brała książkę i najczęściej, pochyliwszy głowę na dłonie, płakała, dopóki sen nie zmorzył jej powiek...

W taki sposób poczyna się tęsknota, w taki sposób rodzi się — miłość.

— Ach, gdyby zobaczyć Łaśniewskiego!

To życzenie zjawiło się tak nagle, tak niespodzianie, a było przytem takie proste, iż sama zdziwiła się, dla czego dawniej nie przyszło jej na myśl.

Czuła, że gdyby ten wesoły, dobry i krotochwilny Łaśniewski pomówił z nią, minęłyby i smutki, i żale, i tęsknota.

Śmiałyby się tak szczerze, serdecznie, jak nigdy... Jak owego pierwszego dnia, kiedy przedstawili jej się w Alejach...

Gdyby te chwile powróciły! Gdyby zobaczyć Łaśniewskiego!

Życzenie to jeszcze w silniejszej wystąpiło formie w dniu imienin ciotki Mani.

W wigilię tego dnia, w południe, po paru miesiącach niewidzenia, ujrzała nareszcie owego bohatera konkursów zagranicznych i miejscowych.

Boże, jakże godny pożałowania przedstawiał widok!

Był żółty, wychudły, oczy mu popadały gdzieś głęboko, tylko blask silny, ognisty, mówił o żyjącej w nich iskrze ducha.

Spotkali się na schodach.

Teraz — ciągle ma w pamięci te jego oczy, i słyszy za sobą, jak żalosną skargę, jego słowa:

— Pani Izo! Pani Izo!...

Więcej nie mógł mówić, ani też słyszała, by coś mówił, gdyż bojąc się, aby sama nie wybuchnęła płaczem, obie rękoma tłumiąc bicie serca, bez tchu, bez świadomości i zastanowienia, wpadła w rozwarte drzwi swego mieszkania, w pośpiechu potrącając Helenę i Jankę.

-- Co ci się stało? -- pytały.

— Nic, nic, ach, — dajcie mi trochę wody!

I biegła do swego pokoju, na swoje łóżko...

Nazajutrz, — a był to dzień imienin, — całując ciocię Manię, pytała.

— Czegóż mam cioci życzyć?

— Życz, abym raz już ujrzała cię rozchmurzoną, wesołą, jak dawniej, — pamiętasz — wtedy, kiedy przyjechała z letniego mieszkania.

Iza westchnęła.

— Bah! — ten czas już nigdy nie wróci. Albo wróci, — dodała, widząc smutek solenizantki, — ale wtedy, gdy ciocia — wyjdzie zamąż...

A myśl ta tak jej przypadła do gustu, że aż klasnęła w ręce.

— Heleno i Janko, czy nie prawda, że byłoby dobrze, gdyby ciocia wyszła zamąż? Mieszkałabym przy niej w oddzielnym pokoiku, pielęgnowała ją, jak ona mnie teraz, gotowała za nią, myła statki...

— Co? Ty? — Gotowałabyś? — O, święty patronie kucharzy, czy słyszysz, co ona mówi? Ależ nie-doczekanie twoje!...

— To już nie będę gotowała, lecz niech ciocia wyjdzie zamąż, moja ciociu... Wie ciocia, za kogobym ją wydała?

Tu pytającym okiem rzuciła na to-

warzystki, przystrojone odpowiednio do tak ważnej uroczystości.

Wtem weszła pokojówka.

— Pan Łaśniewski, Lenk i Liwski, — anonsowała.

— Za Łaśniewskiego! Ciociu moja kochana, pozwól, abym cię swatała z Łaśniewskim.

I uradowana tą myślą, a może i czem innym, podbiegła aż do drzwi przedpokojku, wołając:

— Pan Łaśniewski! kochany pan Łaśniewski! — Kogo ja widzę! Kogo ja widzę!... I to jeszcze jak?! — No! no!...

»Pan Łaśniewski« w całej swojej okazałości stał już w progu salonu i składał głęboki ukłon gosposi i znajdującym się w nim paniom.

— Jestem — do usług. Najśłodsze życzenia załączam solenizantce!

— Ach, jak to dobrze, żeś pan przyszedł, — mówiła Iza, rumieniąc się z radości. — Właśnie nam pana potrzeba. — Niech panowie siadają, — proszę bardzo, — rzekła, zwracając się

do pozostałych, którzy witali się z paniami. — Musimy pana wyswatać!

— A to mi pani utrafiła! — Bo i ja mam zamiar żenić się; właśnie rzucać okiem po szerokim świecie, upatrując sobie jakiej panny — nie-panny, wdowy — nie-wdowy, rozwódki — nierozwódki... Coś takiego, coby miało trochę pierza, trochę mięsa... a pieniędzy, ani dudu. To już moja głowa o nie.

— Kolega Łaśniewski, — rzekł Lenk, nie mogąc mu zapomnieć owego pogrzebu, — już znalazł niezawodny sposób zebrania majątku: prześlicznym rondem dorabia wiersze do obrazów Fracewicza... Szczęśliwy!

— Niech panie nie wierzą temu głosowi zazdrości! — to Fracewicz dorabia obrazy do moich podpisów.

— Tak, czy nie tak, — ma pan być ustalony.

— I honorarium pewne. Ten Fracewicz zrobił się dzisiaj takim niezdara, że gdyby nie opieka moja i troskliwe oko, aniby pomyślał o należności.

— Cóż to się stało panu Fracewiczowi?

— Kocha się, -- rzekł krótko i węzłowato humorysta.

Pani Iza nieznacznie uniosła się na krześle i spuściła zarumienione oblicze, a chcąc ukryć swe pomieszenie, zerwała się z miejsca, biegnąc do okna.

— Panie Łaśniewski, jakże dzisiaj na dworze?

— Mróz! — odparł zbliżając się, a powstanie ich było hasłem dla innych do podzielenia się na grupy. Ciocia Mania podążyła do kuchni.

— Czy nie ma pan jakiego sposobu na te przebrzydłe zamarznięte okna, przez które nie można nic widzieć? — Zaledwie służąca otworzyła na chwilę górny luźnik i oto, co się dzieje!

I przysunęła nosek do szyby.

— Jest jeden, jedyne i radykalny środek, który jeszcze moja prababka skutecznie aplikowała.

— Jakiż to?

— Czy nie znają panie dziesięciu łysych?

— A jakże!

— No, to wyliczmy, a mróz — odrazu ustąpi.

— Pierwszy, — poczęła Iza — pan Łaśniewski.

— O, przepraszam, — protestował. Moje włosy dopiero poczynają rosnać, a pani myśli, że już uciekły...

Poczekaj, — szeptał dotknięty w najczulszą strunę, — zemszczę się na tobie za tego łysego, — poczekaj!

— Niech pan nie oponuje, bo nie lubię kłótni... Drugi...

— W takim razie drugi niech będzie — Fracewicz.

— Jakto? — przecież pański kolega, o ile wiem, ma włosy na głowie.

— Tak, miał, ale obecnie ich nie ma. Wypadły mu ze zmartwień, kłopotów, i...

— I z czego? — szepnęła niby myśląc o czem innym.

— I z miłości...

— Czyżby tak kochał? — Lecz co prawda, — dodała poprawiając się, —

to pierwszy raz słyszę, aby komu wypadły włosy z miłości...

— A, naprzykład, nie przymierzając,
— psu — na wiosnę?

— Fi! — Jaki z pana grubijanin!

— Przecież pani już skończyła rachunki z malarzami, mogą zatem traktować ten wesoły naród bez ceremonii — jak na to zasługuje!

— A czy posiada przynajmniej wzajemność?

— Właśnie dowiem się o tem dzisiaj.

— To pan nietylko dla nas przybrał tak powabnie postać?

— Tylko — i wyłącznie dla pań!

— Zatem? — pytała, a twarzyczka jej nieco przybladła, co najwidoczniej znać było na pokrywającym się potem nosku.

— A będzie pani dyskretną i pomoże mi?

— Dyskretną — zgoda. Pomoże — nie.

— W takim razie — nie bawię się z panią!

I odchodził w przeciwną stronę salonu.

— Panie Łaśniewski!

— Słucham.

— W kim kocha się pan Fracewicz?

— A pomoc? — przyrzeczona? Nie?

— Przyrzeczona.

— Słowo?

— Słowo.

— Ale nie to — damskie?

— Nie, — męskie!

— To niechże pani nadstawi uszko, tylko — sza!... Bo to pod sekretem...

— W kim? — pytała, nadstawiając ucho, a serduszko zabiło silnie...

— W kim?

— No, tak — w kim?

— Ale, — pod sekretem? Cichutko!...

— Dobrze.

— W cioci Kłosowskiej! —

— Ha! ha! ha! — Ciociu, kochana ciociu — wołała, dzwoniąc na służbę, — poproście mi tu cioci... Ha! ha! ha!

— Co takiego? — pytała soleni-

zantka, wbiegając z impetem do salonu, a pod nosem miała znowu nieśmiertelne wąsiki z sadzy, — co ci się stało? — O, Boże, ona dostaje takich samych spazmów, jak ta narwana Magot! —

Laurowych kropli! panie Łaśniewski, biegnij pan czemprowadź do apteki, — albo przynieś co innego, — pan masz w tym fraku tak porządną minę, że ci może wydadzą bez recepty... Moje dziecko, co tobie?

— Ha! ha! ha! — jeszcze głośniejsza śmiała się siostrzenica na widok tych wąsów, gdyż Łaśniewski szeptał jej do ucha:

— Żeby ciocia miała wąsy, to byłaby — dragon!

— Ha! ha! ha!

— Co tobie? — O, mój Boże... panie Łaśniewski, mówiłam już...

— Nie, nie potrzeba, — rzekła Iza, — nie chodź pan nigdzie. Ja śmieję się, ale — ze szczęścia! Powiedziałam cioci, że znowu wrócę do dawnego humoru, ale wtedy, gdy ciocia wyjdzie za mąż.

Otóż pan Łaśniewski w imieniu pana Fracewicza oświadczył mi się o cioci rękę.

— Czyżby ten malarz był taki głupi? — pytała pani Marya, niedowierzająco patrząc dokoła, niepewna, co o tem wszystkim sądzić.

Lecz Łaśniewski zdołał niespostrzeżenie szepnąć jej do ucha:

— Jeżeli pani pragnie zdrowia siostrzenicy, to niech pani żąda, aby przyszedł tu Fracewicz.

— W takim razie, nie chodź pan już do apteki, tylko po Fracewicza.

— Ależ ciociu, — oponowała Iza, — przecież to tylko żarty.

— Co? Żarty? Ze mnie? — Ładne mi żarty z kobiety w moim wieku! Ani chcę słyszeć o podobnych żartach! — Panie Łaśniewski, proszę bardzo, niech pański kolega pofatyguje się dzisiaj do nas...

— Czy zaraz? — pytał, dając jej znaki oczyma.

— Naturalnie. Kto czekał tyle lat, dla tego każda chwila droga. —

Pomimo pozornych protestów pani Izy, Łaśniewski pobiegł na górę.

— Fracewicz, — wołał do malarza, — chodź, chodź czempredzej, zostałeś już przyjęty! Tylko spiesz się, bo narzeczona powiada, że jej bardzo pilno...

Fracewicz nie chciał wierzyć własnym uszom.

— Jakto? narzeczona?!...

— O, zostaw te romanse na później, a teraz duchem »syp« na dół...

Posłuszny, oszołomiony zeszedł.

Po chwili weszli do salonu.

Malarz wyglądał, jak skazaniec: był blady, drżał ze wzruszenia...

Gdy ujrzał przed sobą twarzyczkę ukochaną, małą, która tak często zjawiała mu się w sennych marzeniach ze słowami pociechy lub pieśczoły; gdy uczuł w dłoniach swych rączkę, drżącą, jakby ze wzruszenia, i spostrzegł łzy, nieoschłe jeszcze na rzęsach, nie mogąc się pohamować, nie widząc dokoła nikogo po za tą jedyną, — runął przed nią na kolana, wołając:

— Pani Izo, ty mi przebaczasz, Izo...

ja ciebie tak kocham!... Dziękuję! Dziękuję!...

I do ust swych tulił jej dłonie, których mu nie broniono.

— Ależ panie Fracewicz, — przestań pan, — szeptała Iza.

— To jakaś mistyfikacya, — zawołała nagle pani Marya, domyślając się wszystkiego.

O, przepraszam pana, — rzekła do Fracewicza, robiąc minę poważną, — ta sprawa nie tak znów łatwo się skończy! Serce zakrwawione nie tak snadno się goi...

— Jakto? — pytał, stając przy pani Izie, jakby szukając jej opieki.

— Jakto? — Ależ pański kolega, obecny tutaj i przytomny — pan Łaśniewski, przed chwilą, zanim pan tutaj przybył, przy tych oto świadkach, — wskazała na obecnych, — mówił, że pan się we mnie kocha, w imieniu pańskim prosił o moją rękę i — otrzymał ją.

— Tak? — rzekł Fracewicz, nie wiele rozumiejąc z tego wszystkiego,

a raczej słuchając bardziej tego, co mu szeptała do ucha pani Iza. — Tak? — powtórzył, patrząc na kolegę, stojącego jak gdyby nigdy nic, — to tenże mój kolega zapewne rad będzie, że tę rączkę — zatrzyma, gdyż nieraz mi się zwierzał, iż od najmłodszych lat kocha szanowną panią i pragnąłby jej dozgonnego towarzystwa.

— Jeszcze bardziej cenię pana, panie Łaśniewski, — rzekła, śmiejąc się pani Marya, — za pańską skromność i miło mi, że mogę udzielić mu odpowiedniej nagrody, tembardziej, że i pan nawzajem bardzo mi się podobał. Przyjmuję pana: oto moja ręka.

Łaśniewski z gracyą pocałował jej rączkę.

— Dziękuję, — rzekł — ale tym razem, — dodał — zupełnie seryo — postawię tylko ten warunek, że ślub nasz odbędzie się wtedy, gdy dorobię się majątku, bo dzisiaj, aczkolwiek obie encyklopedye umieściły mnie już na liście znakomitych swojskich humorystów, mam najwięcej szans do konkurowania o na-

grodę najznakomitszego -- tureckiego świętego!..

A że w tej chwili podano obiad, więc, ująwszy rączkę panny Maryi, poprowadził ją do stołu, a za nim szli Fraciewicz z panią Izą, Lenk z Heleną, Liwski z Janką... Brakowało tylko Wilskiego.

Lenk miał twarz smutną, Helena poważną...

Oczy Janki były zroszone łzami, uśmiech jednak na ustach mówił, że łzy te nie płynęły ze źródła goryczy.

— Możecie mi państwo złożyć życzenia, — rzekła. — Oto, — dodała, wskazując na Liwskiego — mój narzeczony, — jeżeli mama pozwoli...

Naturalnie, zastrzeżenie ostatnie uczyniono dla formy. W domu wiedziano o sympatyj Janki ku Liwskiemu i przeciw temu nie miano nic zgoła.

— Jaka szkoda, że nie ma Władka, — rzekła Helena.

— Zapewne wkrótce przyjdzie, — zapewniał Liwski.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy rozległ się dzwonek i wszedł Wilski.

Był blady, smutny, lecz pewny siebie.

— Niech panu Bóg da zdrowie, żeś przyszedł na czas, — wołała pani Marya, witając go i dziękując za życzenia, — boć dla gospodyni nic nie ma gorszego nad zostawianie porcyj: i objad nie-smaczny i sama nie może pochwalić się swoim dziełem.

— Oto mój narzeczony, — rzekła Janka, wskazując na Liwskiego.

— Szczerze jestem kontent, -- rzekł ściskając ich, a że jadę do rodziców, wieść tę osobiście im zakomunikuję.

— Jakto, już pan wyjeżdża? — pytała Iza.

— Niestety, jadę nieodwołalnie: za długo odpoczywałem.

— To zabierz mnie z sobą, — rzekła Helena, — już zatęskniłam do wsi.

Wilski usiadł pomiędzy Lenkiem, a panią, która właśnie robiła mu miejsce.

— Jakże? — pytał na ucho sąsiada.

— Jeszcze nic.

— Mogę zrobić to dla ciebie, że

zatrzymam się do jutrzejszego wieczora.
Namyśl się...

— Niechże i ja pochwalę się przed panem: oto mój narzeczony, — rzekła pani Marya, wskazując na Łaśniewskiego, zawzięcie zajętego pulardą.

— Winszuję — i to szczerze.

— Ha! ha! ha! — śmiała się pani Marya, — tylko — kłopot, że mój narzeczony, zwykle taki gadatliwy, jakoś dziwnie odrazu zaniemówił.

— Niechże narzeczona moja nie nigrawa się tak ze mnie, — mówił Łaśniewski ustami, zapchanemi kompo-tem, który mu nałożyła własnoręcznie solenizantka, — bo, jeżeli będzie mi pani tak dalej dogadzała, jak obecnie, to, wobec tylu powabów, zginę sercowo i do tego -- z kretesem.

— A gdzie panowie stołują się? — pytała pani Iza, patrząc badawczo na ciotkę.

Ta nieznacznie skinęła głową.

— My? — pytał Łaśniewski, — rozmaicie.

Ja, przeważnie u Boqueta, lub Stę-

pka, — Fracewicz, jak Bóg da, — prze-
ważnie łązi po kominkach, albo w do-
mu opycha się serdelkami.

— Niech mu panie nie wierzą, —
zaprzeczał Fracewicz.

— No, to proszę, — rzekła panna
Marya, abyście stół nasz uważali za
własny. Sądzę, że nie odmówicie mej
proście, chociażby ze względu na to,
że mam na widoku dobro swoje i swe-
go narzeczonego: przez żołądek — do
serca.

— Panna Marya myśli, że jestem
kurakiem, — szepnął do Janki humorysta.

Fracewicz wzdragał się.

— Panie Łaśniewski, — rzekła Iza, —
zrobi to pan dla mnie?

— Dla pani? — No, to trudno,
kapituluję!... Ale chyba pod tym warun-
kiem, że zapłacę za kwartał..

To mówiąc, dotknął się bocznej kie-
szeni fraka.

Obecni parsknęli śmiechem.

— Zgoda, — ale — z dołu, —
rzekła ciocia, zadowolona bardzo z bie-
gu rozmowy.

Podano wina...

— Pozwólcie zatem, — rzekł Wilski, nastrajając się do ogólnego tonu, abym, jako odjezdny, już dzisiaj mógł wypić za zdrowie tu obecnych skojarzonych i nieskojarzonych par — i podzielić się z wami pewną anegdotką, jaką w podobnych okolicznościach słyszałem opowiadaną.

Niechaj ta oracya starczy za mówkę weselną i będzie wskazówką przy dalszem postępowaniu, boć na weselu zapewne, nie będę.

Zwilżył usta winem i począł:

— W pewnej pustelni, zdaleka od gwaru miejskiego, wśród ciszy leśnej, wiódł żywot samotny powszechnie znany z swej mądrości i ascetycznego życia starzec, do którego przybyła w pewnym dniu wiosennym, pełnym rozkwitających uczuć, młoda i dobrana para, — jak łatwo odgadnąć po uśmiechu szczęścia i złotych obrączkach, — zaślubiona.

Ci, stanąwszy przed starcem, rzekli:
— Drogi ojczy! W wieku ogólnego

rozprężenia obyczajów, więzów religii i moralności, poznawszy siebie, zakochani, przysięgliśmy przed ołtarzem miłość, wierność i posłuszeństwo aż do śmierci, boć wiemy, iż próżnem byłoby szukać drugiej takiej kobiety, lub drugiego takiego mężczyzny.

Tu oboje jednocześnie zachwyceni, szczęśliwi, spojrzeli sobie w oczy.

— Boimy się jednak, my, dzieci nieodrodne tego wieku, aby, wobec czyhających na nas i na szczęście nasze ułud świata, pod zjadliwym oddechem jego, nie zamarło przedwcześnie to nasze szczęście, nie osłabła ta nasza miłość.

Powiedz, co mamy czynić, aby nigdy, nawet przez sen nie przyszedł nam na myśl zamiar zerwania złotych kajdan hymenu, — aby zwierciadło naszego pożycia ustrzedz od mgły niesnasek?

Pustelnik, spojrzawszy na tak młodą i dobraną parę, uśmiechnął się do nich życzliwie i rzekł:

— Drogie dzieci! To, czego ode mnie żądacie, jest rzeczą trudną, bar-

dzo trudną. Kto wie nawet, czy możliwą do spełnienia. Pomyślę jednak chętnie nad tem, boć widzę i młodość waszą i urodę, dobre chęci i czułe serce, odbijające się na twarzy i w uśmiechu, a odpowiedź przyślę wam wkrótce. Lecz musicie przyrzec mi ze swej strony, a nawet przysięgą poprzeć to przyrzeczenie, iż ściśle będziecie spełniali przepisy moje.

Słyszając te miodopłynne słowa, młoda a dobrana para przypadła mu do nóg, całowała świątobliwego starca po rękach, przyrzekając to, czego żądał, i przysięgą stwierdzając przyrzeczenie z szczerym zamiarem, bądźcobądź, dotrzymania słowa.

Od owej porady przeszło nieco czasu.

Minęła wiosna urocza, nadeszło lato upalne, przyszły dni krytyczne much jednodniowych i komarów natrętnych, to też i humor młodej, a dobranej pary uległ wraz z naturą niepożądaney zmianie, ot tak, — bez powodu.

A pustelnik, chociaż odebrał przysięgę tak szczerą, jednak przepisów, jak przedtem, tak i teraz nie przysyłał!

— Co mamy robić, aby znowu powróciły pod dach nasz, bez względu na zmiany atmosfery, — dni wesela, dni czarującej wiosny?

Takie pytanie zdawały się rzucać jego spojrzenia, smutne, nadęsane, zdawały się rzucać jej oczki zaplakane, jej nosek zaczerwieniony od szlochania.

Wreszcie, pewnego dnia, otrzymali duży pakiet.

— Ach, to od pustelnika! — krzyknęli jednocześnie i ręce ich, jak dawniej, zwały się w uścisku.

Jakież jednak było ich zdziwienie, gdy, wewnątrz, zamiast listu, znaleźli tylko białą tabliczkę, a na niej — czarno na białem, — trzy litery:

K. Ż. T.

— To żart! — zawołali w pierwszej chwili. — Pustelnik z nas zadrwił!

Później jednak przyszła rozważa.

— Nie, on nazbyt poważny, by miał drwić z nas. Szukajmy znaczenia tych liter!

I znowu minął pewien czas, znowu powróciły szlochy i wyrzuty.

— Do separacyi! Pójdźmy do separacyi!

Takie wyrazy, wystrzeliwszy, jak korek z szampańskiej butelki, sprawiły odpowiednie wrażenie.

Wtem żona, jak każda kobieta, większą od mężczyzny obdarzona ruchliwością umysłu, zwłaszcza, gdy idzie o własną skórę, wpada raz do męża:

— Wiem, wiem już, co o tem myśleć, — zawołała.

O, pustelniku! niech będzie błogosławioną twa mądrość. Toć on najwyraźniej zaleca:

Kochać Żonę Trzeba!

— Ależ, droga, czy ja ciebie nie kocham! Jak jeszcze! Więcej, aniżeli siebie samego! Jesteś tylko nieznośna, jak — mucha.

Pomimo jednak tego zapewnienia, uczuł pewne skrupuły...

— A może pustelnik ma rację? —
Może ją zamało jeszcze kocham?

A żonce w to tylko graj!

Zjawiły się nowe zachcianki, kaprysy,

żądania... Nowe stroje, kapelusze... Czego tam nie było!

I znów nie obeszło się bez zaczerwienienia oczu i noska.

— O, pustelniku! — wołał przytem młody żonkoś po ostatniej scenie domowej, — nie, tak dłużej być nie może: albo sam pojedę do ciebie, albo co...

Wtem wpada do pokoju męża pani, trzymając jeszcze chusteczkę przy oczach, i woła:

— Pustelnik miał rację! — Tylko ty jesteś nie honorowy, nie potrafisz dotrzymać słowa... ty!... ty!...

I poczęła wytykać go palcem.

-- Jam nie honorowy? — Kiedym komu nie dotrzymał danego słowa?! -- Cóż zatem mam robić? Mów, spełnię wszystko, bo wierzę w cnotę znanego z swej mądrości i ascetycznego żywota starca.

— Kaprysy Żony Tłomaczyć, —

przedstawia pani na swą obronę, uśmiechając się przez łyzy.

— Bah! to mi tak gadaj! — Zobaczymy jednak, co z tego wypadnie?

Znowu parę dni było cicho.

Zjawiły się nowe żądania, nowe zachcianki, nowe pokusy.

A po nich znowu pękł spokój domowy:

— Do separacyi! Do separacyi!

Wtem pewnego razu wbiega pani do pokoju męża, trzymając jeszcze mokrą chusteczkę przy oczach i zaczyna tak, jak wyżej.

— Cóż zatem mam robić? — Już mi włosów nie starczy na głowie, tak je drę z rozpaczny nad tą łamigłówką i nic nie mogę wymyśleć!

Każde Żądanie Tolerować, —
powiada żona.

— Zgoda! Może masz rację.

I znowu literalnie powtórzyło się to samo.

Wreszcie, młoda a dobrana para, nie mogąc sobie poradzić, niepewna znaczenia owych liter, udała się do instancyi wyższej — do teściowej.

Niech ona po matczynemu osądzi, kto ma rację.

— Ależ mój kochany, — powiada do zięcia teściowa, rezolutnie mrugając na córkę lewem okiem, — nasza Dziunia nie ma racyi! Dziwię się tylko tobie, chociaż posiadasz wyższą edukację, że nie mogłeś odrazu pojąć znaczenia tych liter. Toć tu, jak wół stoi:

Koło Żony Tańczyć!

Cóż na to można było powiedzieć?

— Nie, dłużej tak nie wytrzymam! ryknął pewnego razu pan domu, widząc, iż nie może dojść z żoną do ładu, chociaż najpewniejszym był jej miłości. Jaki sens tych liter?!

A że nie miał wiele czasu swobodnego we dnie, więc, przypomniawszy sobie owe dawne szkolne lata, kiedy to zasypiało się na poduszce, wypchanej laciną lub greckiem, bierze tablicę do sypialni, kładzie ją pod głowę i...

Nie wiadomo, czy spał, czy nie spał tej nocy, dość, że nad ranem biegnie do pokoju żony i woła:

— O, błogosławiony pustelniku!
Uwielbiam twoją mądrość! Ależ otwórz,
żono, uszy do słuchania, i zrozum, co
mówi starzec.

— Cóż takiego? — pyta pani nie-
pewnie, a kolanka jej lekko zadrżały.

— Co mówi? Ależ to cała litania!

- 1) Kaprysy Żony Tępić.
- 2) Każde Żądanie Tłumić.
- 3) Krótko Żonę Trzymać.
- 4) Kijem Żonę Trzepać...

Ot co!

Tu aż przeląkł się własnych słów
i wrażenia, jakie one wywołały.

— Ach! — krzyknęła pani i omal
nie zemdląła.

Szczęściem małżonek był już przy
niej.

Odtąd życie płynęło im spokojnie
i szczęśliwie.

Pani, znając męża, jako człowieka
pełnego honoru, nigdy nie starała się
zasłużyć na to, co radził mu pustelnik,
pan zaś, nie będąc pewnym siebie, ro-

bił to wszystko, co żona i teściowa rozumiały pod inicjałami mądrości starca.

I ja też — kończył Wilski — nie wiem, co oznaczają właściwie te trzy litery K. Ż. T.

Zalecam odgadnienie ich młodemu małżeństwu, a może znajdą jakiś sposób zgodnego pożycia — do śmierci.

Bo pustelnik wiele widział, wielce był mądry i — praktyczny.

Słuchacze dali mu chętnie »brawo«.

Na kawę przeszli do salonu.

Lenk nareszcie postanowił zdobyć się na odwagę.

Obecność Władysława, rozmawiającego z Heleną w małym buduaru pani Izy, była mu na rękę.

— Uważa pani — rzekł zbliżając się do nich — że... najpiękniejsze ze wszystkich są zasady filozofii buddyjskiej!

— Bah! — szepnął mu na ucho Wilski, — tą jazdą na filozofii buddyjskiej nieprędko zapewne zajedziesz do celu.

— Słuchaj-no, Helena, — rzekł do siostry, usuwając się od nich dyskre-

tnie, — kolega Lenk zakomunikował mi wczoraj pewne swe zamiary względem ciebie. Ponieważ znam go oddawna i poniekąd bardzo dobrze, ztąd proszę cię, miej go dzisiaj w szczególnej pieczy.

— Pani! — począł Lenk po odejściu Wilskiego, — jakkolwiek wszelkie znaki na niebie i ziemi, na jawie i we śnie, ostrzegają mnie, abym zwlekał z krokiem stanowczym, — jednakże, mając na uwadze możliwy jej wyjazd z Warszawy, ośmielam się zapytać, czy usposobienie pani względem mnie pozwala mi poprosić — o jej rękę?

Byli zdala od innych.

Rozłożyste palmy, chińskie parasole, makaty i dywany na ścianach i podłodze, tłumili głosy ich i rzucały na twarze cienie, niedozwalające rozpoznać wrażeń, wywołanych oświadczeniami.

Patrząc na zmizerowaną twarzyczkę Heleny, na ruch nerwowy jej ręki i lękliwe drżenie powiek, zrozumiał, iż znaki na ziemi i niebie nie były daremne.

Helena ukryła twarz w dłonie

i długo siedziała tak bez ruchu, bez słowa.

— Pani moja... kapłanko moja...

Podniosła głowę i wtedy ujrział łzy, płynące po jej twarzy.

— Co pani? — Ależ ja nie chcę robić jej przykrości, cofam oświadczenie swoje...

— Nie, panie, to nie pan przyczyną mego smutku. Oddawna już byłam przygotowaną na pańskie oświadczenia, czując, że nie jestem mu obojętną. Z drugiej strony, wierz mi pan, posiadasz całą sympatyę, cały szacunek niezbędny do pozyskania tego, o co prosisz, i to — oddawna.

-- Mam-że dziękować?

-- Tylko...

Tak, — rzekła po chwili, jakby przemógłszy samą siebie i zdobywając się na krok stanowczy, — tak, — powtórzyła, wyciągając doń ręką: — ja pana nawet — kocham!

Lenk ujął podane dłonie.

-- Dzięki! Dzięki!

— Pomimo to pańską żoną być nie mogę, — dokończyła ciszej.

— Dla czego?

— Wobec tego, com panu dotąd powiedziała, słusznie należy ci się wyjaśnienie, chociaż... sił mi już braknie.

I znowu wpadła w zadumę cichą, bolesną...

— Widzisz pan przed sobą, — poczęła wreszcie, — kobietę wykolejoną; kobietę, wobec istniejących zasad i pojęć moralnych, skazaną na śmierć cywilną. Nie walczę z temi pojęciami, o, nie, bo rozumiem, iż w nich zawarta logika Najwyższa, z którą musi liczyć się każdy, kto chce się liczyć z czemkolwiek. Jednak cała dusza moja protestuje przeciw tej śmierci, na którą jestem skazana.

Czyja w tem winą?

Czy moja? Czy pojęć szerzących się, jak zaraza wśród naszego społeczeństwa, jakkolwiek może mniej, aniżeli gdzieindziej, a jednak zatrważająco zgubnych, które od kołyski, zjadliwą atmosferą otaczając, niby jad zatruty, sączą krew

swej ofiary, pchając do czynów karkołomnych — na szczyty — skały... tarpejskiej!

Oglądam się jednak po za siebie, zanim ręka losu zepchnie mnie w przepaść czarną nicości i drzę pomimo woli — i łza boleści spada na to życie moje złamane, przeszłe, które mogłoby popłynąć inaczej, o, inaczej!

Czy potrzeba jeszcze szczegółów?

Małem dzieckiem oddano mnie na pensyę, i tu, z biegiem czasu, znalazłam się pośród istot zebranych ze wszystkich kątów kraju, istot ruchliwych, obdarzonych bujną imaginacją, niezadowolonych ze swego położenia, nieumiejących patrzeć trzeźwo i krytycznie, pragnących »czegoś«, a to coś dla tych umysłów słabych, nierozwiniętych, przedstawiało się, jako swoboda, jako niezależność przedewszystkiem moralna, przykryta pewnymi pozorami.

Znałeś pan między innemi niektóre z moich koleżanek, Władysławę, Zosię, Stasię, dalej tak zwaną Magot, Wandę, panią Izę, jesteś człowiekiem pracy

umysłowej, znasz zatem ich sposób myślenia.

I ja byłam zwolenniczką tych idei, pchana może do wyznawania ich nie tyle z przekonania, ile z temperamentu.

A dola kobiet w podobnych razach wobec niezmiennych praw, jakie rządzą społeczeństwem, zależy od lada powiewu, od lada przypadku.

Dla mnie los nie był łaskawy.

Potrafiiono wyzyskać wszelkie wadliwe strony mego wychowania, mego charakteru i mego temperamentu; potrafiiono wzbudzić uczucia, pożądane dla zdobywców, jakkolwiek krótkotrwałe, i przysięgą, obietnicami, zniewolono do uległości....

O, nie zżymaj się pan na to wyznanie, proszę!

Bólem swoim nie zdwajaj mego nieszcześcia!...

Ja tak cierpię!

Tak strasznie cierpię!

I łkanie spazmatyczne wstrząsnęło jej piersi.

Lenk siedział błądliwy, milczeniem

posepne^m zwiększając dramatyczność chwili.

— Tak, to — nauka, — szepnęła przez łzy, — że kobieta z pewnego koła powinna liczyć się z przyszłością.

— Pani, — przemówił wreszcie, — wyznanie jej zastało mnie zupełnie nieprzygotowanym, rujnuje cały gmach marzeń moich, gruzami swymi zagłusza bicie mego serca.

Pozwól jednak, — tu ukląkł przed nią i, zanim spostrzegła się, począł całować jej kolana i ręce, — pozwól jednak temi pocałunkami złożyć hołd i uznanie — i wyrazy współczucia dla twoich cierpień, które z brudnej rudy mogą wytopić złocisty metal... bo innych słów w rozbitem sercu na razie znaleźć nie umiem.

Dla czegom to usłyszał z ust pani?

Po co własnymi rękoma rozdarłaś zasłonę, która kryła bóstwo moje — tak poniżone...

Pani, panno Heleno, przebac, ale nic więcej powiedzieć ci nie mogę nad to, że kocham ciebie, niezmiennie, stale,

jak promień słońca, z jednakim żarem
całujący liście zielone i żółte, — ko-
cham cię — i szanuję twe postępowanie.

— Żegnaj pan, — rzekła Helena,
widząc jego straszną męczarnię, — że-
gnaj, i niech Bóg cię uczyni szczęśli-
wym.

To mówiąc, ustami dotknęła czoła
wciąż jeszcze klęczącego przed nią
Lenka i wycisnęła na nim długi po-
całunek.

Gdy znalazła się na wsi, wspomnie-
nie owej chwili, wspomnienie zboląłego
nad wyraz, prawie obłąkanego oblicza
Lenka przejęło jej wrażliwą i namiętną
duszę takim bólem, tak silnie odczuła
własną stratę, iż we łzach, nieprzytomna
prawie, poczęła szeptać:

— Com ja zrobiła! — Com ja zro-
biła, jeżeli ten, który tak mnie kocha,
przebaczyć mi tego nie może!

I myśl straszna, tragiczna, nawiedza-
jąca ją przelotnie od pewnego czasu,
poczęła kiełkować w jej umyśle.

— Tak, śmierć, jedna śmierć tylko może dać ukojenie!

Poczęła przypominać sobie to wszystko, co jej powiedział kiedyś Lenk o owej przyszłości, która czeka każdego.

Ach spokoju! spokoju! — Wprowadzenia umysłu w stan spoczynku, wyzwolenia od pragnień, niedoznawania cierpień, ani radości!

Pragnienie to stawało się coraz gorętsze, coraz silniejsze, — wstręt do życia, do jego bólów — tak namiętny, iż o niczem innem nie myślała, tylko — o śmierci.

Przeglądając notatki, paląc niepotrzebne, między innymi wzięła do ręki ów poemacik Lenka, pod tytułem: »Ostatnia Spowiedź«.

Jakże początek jego dokładnie przedstawiał jej własne myśli!

Przeczytała go po raz wtóry, trzeci, doznając silniejszych, aniżeli kiedyindziej, wrażeń.

Słyszała w nim siebie...

Skoro cichaczem świt trwożny i szary
Wbiegnie przez okno do mojej komnaty,
Spotka wejrzenie trupich oczu pary,
Przybranych w śmierci popielate szaty.
Ach, może na tej marmurowej twarzy,
Niemej i zimnej, — wszystko to wyczyta,
Co w duszy, w chwili ostatniej się żarzy!

Nim noc ubiegnie — umrę, to jest ciało,
Podległe prawom rozkładu, utraci
Jędrność, rumieniec życia i tę całą
Wdzięczną powabność: ruch, giętkość i ciepło,
Które widomem są świadectwem życia.
Z łona, jakoby z zręcznego ukrycia,
Wybiegną tłumnie czyhający kaci:
Przemiana formy; na tę krew zakrzepłą
Napadną skrzętni śmierci robotnicy...
To serce, które wycierpiało tyle,
Czoło, pod którym myśli wyły burze:
Będzie podobne chłodnej, niemej bryle...
Ach, i te oczy, co w wiecznej tęsknicy
Ignęły do światła, zagasną i spłyną,
A na ich miejscu pozostanie ino
Ślad — taki smutny, — próżne jamy duże!

Umrę! — choć mary zewsząd ku mnie biega...
Umrę! — choć każda szepce mi: — dlaczego?!

Patrzaj! — wołają, — tam każdy, kto młody,
Przy uczcie bytu w rówieśników gronie
Pragnie żyć — użyć. Starzy, jak w zawody
Z młodymi, bieżą, cisnąc do ust czarę
Drogą istnienia: wszelkie dumy szare
Każdy odpycha, aby w ich oponie
Nie zmierzchnął promień czarującej wiosny!
I nędzarz nawet rzuca wzrok miłośny

Na życia swego cuchnące łachinany,
 On, — który łyż ma bolesne od świtu! —
 Każdy — w minionym i przyszłym dniu kocha
 Ducha swojego cząstkę.

Świt różany

Żądzą płomienną przedłużenia bytu,
 Dlaczegoż ciebie nie mamy ni trocha?! —

Umrę! —

— To wybryk bezmyślny, junaczy! —

Umrę! —

— To wybuch tchórzliwej rozpaczy,
 Co nie śmie jutro spojrzeć prosto w oczy!
 A może jutro przed tobą roztoczy
 Miraże szczęścia, co z oddali biega? —
 Umrzeć! Tak młodo umrzeć! O, dlaczego??

Węgiel kamienny kładę na żarownię,
 I drzwi zamykam, na klucz, na dwa spusty;
 Kiedy zapłoną rozżarzone głownie,
 Już będę, jako dzieciak, troski pusty.
 Zamykam okno... księżyc rzuca smugi..
 Noc... Cisza wokół... Cień upada długi..
 Wszystko usnęło... W domach cicho wszędzie:
 I w moim sercu wkrótce spokój będzie!..

— »I w moim sercu wkrótce spokój będzie!« — powtarzała wielokrotnie.

A myśl ta, chęć śmierci tak natrętnie nią ogarnęła, iż przeszła w rodzaj manii.

— Po co żyć, gdy to życie nic już nie da więcej, prócz tego, co dało?

I poczęła unikać ludzi, zamykać się w swoim pokoju, nie przyjmować pokarmów, z całą namiętnością jednocześnie oddając się wstrętnemu niegdyś dla niej paleniu tytoniu, postępując tak dopóty, dopóki — sił starczyło...

* * *

Gdy na jednym z zebrań »Towarzystwa mizerya«, Chrzoński, wspominając o śmierci Heleny, rzekł, iż to jest jedna, ale nie jedyna z tych pochodni, jakie zapala fałszywie pojęta emancypacja wśród jednostek, obdarzonych czulszem i szlachetniejszym usposobieniem, które we właściwym czasie nie zdołały wyrwać się z błędnego koła sofizmatów, — i proponował, czyby nie było lepiej, aby panie, zamiast spędzania czasu na lichych i czczych debatach i ubliżających im ucztach, zajęły się utworzeniem jakiej poważnej spółki kobiecej handlowo-przemysłowej, mogącej na tem zaległym polu przynieść po-

ważne rezultaty, albo wogóle czemścić podobnem, — odparła mu na to Magot:

— Panu, to od czasu śmierci tej mimozki Heleny wszystko się nie podoba, co tylko uradzimy. Ale to nas zupełnie nie obchodzi, gdyż od dawna znamy pana jako — starego tetryka!

— Bo też panie, gdy dotkną się chociażby najpoważniejszej sprawy, to wnet ją obracają w »mizeryę«, — tak przecież wiecznie być nie może!

— To się pan powieś! — zawołała, pogardliwie zmierzając go od stóp do głowy...

A pod tym wzrokiem schorzały, smutny i krwią już plujący Chrzoński, miał taką minę, jak gdyby chciał powiedzieć:

— A może ona i ma rację?!



Warszawa, dnia 1 stycznia 1898 r.



Handwritten notes in blue ink:
 Gardła... jest
 moja symp...

50
18802/83615

Zandycera.

Biblioteka UJK Kierce

UJK



0472750